

CHIMERA

TOM 1. ZESZYT 2. LUTY 1901.
REDAKCYA I ADMINISTRACYA:
WARSZAWA — KSIĄŻĘCA 7.

TREŚĆ.

№ 2. — LUTY 1901.

Ozdoby odbijano pod nadzorem artystycznym
STANISŁAWA KRZYSZTAŁOWICZA.

Klisze rysunków wytrawiono w Zakł. Warsz. Tow. Akc. Artystyczno-Wydawniczego pod kierunkiem F. W. AMSELA.

Papier wyrobiono dla Chimery w fabryce C. A. Moesa „Pilica."

Składali: WACŁAW KORAL i CEZARY DMOCHOWSKI.

Łamał ANTONI HURKIEWICZ. Odbijał na maszynie KAROL MALINOWSKI.

Pod zarządem JÓZEFA LENARTOWICZA.

List do Walentego Pomiana Z.

(Zwierzając mu rękopisma, następnie
w XXI tomie B. P. P. wyszłe *).

ABSURDITE. — Toute chose avancée par nos antagonistes, contraire à notre routine ou au dessus de notre intelligence.

Dictionnaire contemporain.

I.

Zaledwo się myśl tego wydawnictwa wszczęła,
Pytasz mię, jak je nazwać — Pisma, *albo* Dzieła?
Jakbyś do obu nazwisk tajemne miał wstręty.
Pojmuję to, i wraz ci odpowiem, Walenty!
— *A naprzód: gdyby na myśl przyszło księgarzowi*
Zebrać regestra, listy, notatki *i* kwity,

---

*) List niniejszy miał być umieszczony, jako *Epilog*, w niewydanym do dziś zbiorku poezyj Cypryana Norwida p. t. *Vade-mecum*. Autor poprzedził w rękopisie ów epilog takiemi słowy: „Nie wahamy się dać tu miejsce Listowi następującemu, którego treść, lubo poufna, tem więcej jednakże należy do niniejszego zbioru, iż *dziennikarstwo* nasze nie zatrzymuje i nie obejmuje nigdy bieżących wrażeń, a przeto znane są nam tylko *apoteozy pośmiertne* i monumentalne owacye. Ukształcić zaś współczesnego sądu nie jesteśmy w możności — owszem, takowego unikamy przez drażliwość zrazu *oględną*, potem *systematyczną*, a nareszcie *nieszczerą*.“

(Przypisek redakcyi.)

Któremi Voltaire (lubo pisarz znamienity)
Zaszczepić usiłował swemu powiatowi
Rękodzielnię zegarków) — o! powiem ci szczerze,*
Iż książkę ztąd powstałą, że taką agendę
Zwałbym Dziełem *i, więcej że jest dziełem, wierzę,*
Niż mnóstwo innych, których i zwać tu nie będę.
— Tak samo: nie tragedye rozwlekłe Byrona
Dziełami jego nazwałbym, lecz te namiętne
Powiastki greckie, których nić u jego łona
Snowała się, a strofy ulatały smętne,
Jak duchy, którym wcieleń czas odmówił chyży,
I płaczą, że nie były armii-biuletynem,
Kochankiem, bohaterem, męczennikiem, czynem,
Że czas skąpił im gwoździ i drzewa — do krzyży...
— Jakkolwiek co innego z tragedyą Shakespeare'a:
Dramy jego są dzieła; *i u Danta niemniej*
Pieśń dziełem jest, *na pozór całej i przyjemniej*
Zamknięta, i dzwoniąca rytmem wkrąg jak sfera.
— Owszem: im większy sztukmistrz, tem słowo a dzieło
Bliżej się (nie w bliźnięcy) w trzeźwy uścisk wzięło,
I jedno znasza drugie, posiłkując wzajem,
Jak prawo, *gdy przekwitnie, ludu* obyczajem.
Zwij więc, jak chcesz. Współczesność minie niestateczna,
Lecz nie ominie przyszłość: KOREKTORKA WIECZNA...

. . . .

Powiem ci tylko, ani ukryć się poważę,
Co myślę, gdy wyrzecze kto słowo: POETA!

---

*) 1. *Promethidion,* dyalogi o sztuce. 2. Pisemko *O sztuce.* W pierwszej z tych dwóch książeczek zapowiedziane było w formie dyalogu to, co drugiej stało się powodem!... — Dziś nastąpiły już *fakta* i pokryły polemikę. *(C. N.)*.

Im zdaje się, że dziewięć panien kałamarze
Noszą mu — a warkocze każdej jak kometa,
A wzrok? jak nieba lazur, lub noc południowa,
Szaty? jak obłok, poszept? jak mgła porankowa;
Że jaw, *że jawu złoty wół i lew miedziany,*
I że nietoperz-dziejów, którego wciąż głowa
Dysze, a tułów bywa co wiek wypychany,
Że płowy lampart, tudzież innych bestyj stado,
Mijają go! że łacno do stóp mu się kładą . .
Więc czoło wieszcza taką otoczone szczwalnią,
Są, którzy chłodzić radzi słowem przyzwoitem,
I myślą, że sprostują cię i urealnią,
A ty, przy owem *cierpiąc, cierpisz jeszcze przy* tem.

— Jakoż gdyby Mickiewicz, po owych już wstrętach
Zapanowawszy; gdyby nie zostawił wieści
O krytykach warszawskich i o recenzentach**),
Nie jeden dziś z objętych w pisma tegoż treści,
Nie jeden z onych, którzy żółć mu nieśli zgniłą,
Przeczyłby: „jako żywo! *(mówiąc)* tak nie było,
„Wcale nie! — *uczciliśmy poetę, aż miło.*
„I żaden wiersz Adama, boleścią wyparty,
„Nie spotworzył się, *prawdę zapisując w karty,*
„*Ni gdzie, w* poety *szale, ulgi szukał* człowiek.
„*Czytelnik to połyka, odkupuje to wiek...*
. . . .
„*Nie! — wcale grzechu tego nie mamy na sobie.*
„Składka jest — jest i posąg — i kwiaty na grobie.“
. . . .

**) *O krytykach i recenzentach warszawskich,* pismo ś. p. Adama Mickiewicza, zakończone temi słowy: „... szczęśliwi! Pisałem w Petersburgu, etc.“ *(C. N.).*

Podobnież Juliusz, gdyby, w Beniowskim lub w owych
Feuilles-volantes ***), *nie zostawił o współczesnych śladu,*
Że nie on, *oni raczej, przy zmysłach niezdrowych*
Będąc, nadziei jednej szukali — z nieładu!
Aż po niemałej trudów i bólów kolei
Przypomnieli nareszcie... POTRZEBĘ IDEI!
Czy mniemasz, że ciż sami dziśby nie głosili:
„Jako żywo!! — mniej więcej Juliusza-śmy czcili!“

Również — gdy mam już prawdę mówić tym Ichmościom —
Zgon Zygmunta też winien Polskim wiadomościom ****).
Inaczej bowiem: „Owszem,“ *rzekliby,* „przy zgonie
„Czuliśmy blask, co jego usłoneczniał skronie,
„Rok żałoby, jak Grecya, nosząc, po Byronie!“
A ktoby śmiał zaprzeczyć, byłby to już istny
„*Machiawel, i Demagog, i człowiek zawistny!*“

Więc — z tego wniosek, ile rzeczą jest poczciwą,
Różę zwać różą, tudzież pokrzywę pokrzywą;
Ani że głosić zdrajcą godzi się człowieka,
Który mówi, iż gwóźdź jest podobien do ćwieka,
I, w Chrystusowe wierząc szczerze człowieczeństwo,
Wielbi gwóźdź, *drugim wszakże odradza męczeństwo,*
Głosząc przytem, iż śmierci zniknie z czasem skaza
Przez zwycięztwo — wszelako, że gwoździe z żelaza!

***) *O potrzebie idei*, proza Juliusza Słowackiego, tudzież inne *feuilles-volantes*, w których powiada: że rodacy tak dalece Ideę lekceważą, iż życzyliby sobie, ażeby *Lord Palmerston sam, własnemi rękoma, bomby rzucał na mury chińskie*, nie zaś myślą stanu wojnę czynił. *(C. N.)*.

****) *Wiadomości polskie.* Numer pisma, w którym jest doniesienie, jak była uszanowaną chwila zgonu świętej i coraz wiekopomniejszej pamięci największego poety czasu swego Zygmunta Krasińskiego — co wszelako następnie wraz się zatarło i pokryło. *(C. N.)*.

Otóż — tych rzeczy wcale ubarwiać nie skory,
Marzyłem o powieści bynajmniej okaźnej,
A która działaby się prozaicznej pory,
Nie czasu fantastycznej doby niewyraźnej,
Nie czasu świtów mgławych, czerwonych zachodów,
Co dziwne tła dla ludzi mają i narodów.
I chciałem właśnie ową że wykazać prozę,
Której się pisarz dotknąć uważa za zgrozę!
W pałace z tęcz, w tęcz szlaki wabiąc czytelnika,
By mu się świat tam zamknął, gdzie książkę zamyka.
— Owszem więc, moj bohater i jeden i drugi
Wielkich nie czynią rzeczy, to zaś ich spotyka,
Co ludzi miernych albo małoznaczne sługi.
Homo - Quidam, *z wejrzenia* coś do ogrodnika
Podobny... *acz przez łzawe oczy Magdaleny*
(I Chrystus Pan nie większej wydawał się ceny,
Ani się jej jak Jowisz *nagłe stawił* Stator,
Ani jak mąż wielmożny i rzymski senator).
To więc w nawiasie kładąc, dodać mam niewiele,
Jedno iż: do dziś jeszcze mądrość nasza cała
Składa się z Greckiej, Rzymskiej i tej, co w Kościele
(A która przez żydowski ród nam się dostała).
Zaś, Artemidor *Grek jest i* Zofia *z Hellady,*
Mag *z Izraela — — Młodzian, co upada blady*
Pomiędzy tłumem, wszystko miał na bohatera!
Lecz prawdy chciał i, idąc za mistrzami w ślady,
Tuła się — i fatalność jakaś go obdziera.
Trud - współczucia zawodów nastręcza obficie,
Ten i ów, nim mu prawdę da, zabierze życie,
I pięknym będąc, nie jest ukochan od onej,
Miękkością *popsowanej, a* rytmem *natchnionej,*
Która ma wiele z Grecyi, lecz perska tkanina,
Azyacki płaszcz, jak wężów owija ją ślina.
— I, jakby nie czas już był na miłość, — mój młodzian,

Wywróconego kosza kwiatami przyodzian
Przypadkiem, *więc pogrzebion, jak zabit* przypadkiem
W miejscu, gdzie go sprzeczności zawiodły przypadki;
Prawdy nie znając (lubo może jej był świadkiem),
Bohater! a za pole bitw cóż znalazł?... jatki!
Miałżeby to być przeto obraz pokolenia,
Co w wilię Chrześciańskiej prawdy objawienia,
Między zachodem Greckiej i Żydowskiej wiedzy,
Dziko rośnie *i ginie jak zioło na miedzy,*
A za patronów jeśli w niebiosach ma kogo,
To chyba rzezi ciosem duszki wypędzone
Z ciał, które żołdak rzymski popychał ostrogą,
Przedmęczeńskie i w wieków wieki uwielbione.

. . . .

II.

To, coś dotąd przeczytał, pisać miałem wstręty,
Przeto iż Chemią trąci — trąci alembikiem,
I jest jakobym w bajce handlował bydlęty,
Wołając: zapęd głupi nazywam tu dzikiem,
Wół *z rogi złoconemi jest bursowy cielec,*
Żołądek? *to publiczność, doktryner?* widelec.
— *Któżby chciał tak wycinać w pień gaje majowe,*
By widz leniwy w stronę pozierając owę
Coraz to nowszy przedmiot odbitym czuł w oku,
Niedomyślił się ruszyć — i umarł... w szlafroku!
Ale widziałeś! — ale dotknąłeś rękoma
Publiczności - prywatnej, *ile nieruchoma!...*
I jako z autorem, gdyby który raczył
Nieco się współutrudzić, pierwejby zrozpaczył.
Aż przyjdzie czas niebardzo i wiele czekany,
Gdy jako za Shakespeare'a dni, iż był nieznany,

Wołano, z koni ciężkich zsiadając o mroku:
„William! potrzymaj strzemię — a z którego boku!
„Cóż? będę z lewej strony zsiadał — czyś oszalał?
„Nierozgarnięty chłopiec! lub wódką się zalał..“
I Shakespeare ztąd, gdy stylu jasnego kryształy
Przejmie, — Falstafów lepsze poda ideały!
I będzie postęp wielki w grubiaństwa stronę,
Jakkolwiekby je cudza słodziła ogłada,
Kupiony polor *wdzięczył, guziczki złocone,*
Ton *obcy, który zawsze, czyj jest? się wygada.*
A skoro przez lat wiele cichości i nocy
Pisarz jaki zacniejsze poczucia rozbudzi,
I poczną drgać nasiona czy kamienie w procy,
Czy serca, ku wskrzeszeniu poruszonych ludzi,
I on od niwy własnej wezwany poszeptem
Żywiołów — „jestem!“ *rzecze, — nazwą to konceptem.*
A choćby rzekł „męczeństwo — prawdy jest świadectwem,
Bez względu — krwią, toporem, inkwizycyi śledztwem
Znaczone, czy obelgi pogodnem przeżyciem,“
Katechistyczną nocyę *tę nazwą:* odkryciem!
Jest bowiem męczennika palmy nadużyciem
Nie być wymalowanym z suchotniczą twarzą,
Na węglach, które, iż są gorejące, parzą!
(Indyjskie *to: o ile boli; ile ludzi* —
Francuskie; *a o ile ułomne — to,* ludzi!)

— I koniec jest: że marność ta, pod dni ostatnie
Zygmunta, gdy rozrywał skrzydłami tę matnię,
Nawpół już ulatując; że ta powiatowość
W imię kapusty *(rzeczy zkądinąd wybornej)*
Pozwie go, iż pominął swoją narodowość,
Człekiem *że był zanadto, że minął grunt orny,*
Brzozy płaczące, bydła wracające trzody,
A szukał, szukał kędyś pomiędzy narody,

Gdzieś — u świętego Piotra grobu, lub w nowinie
Apokalipskiej... *perły że rzucał.......*

III.

O! tak, o! tak, mój drogi... czas idzie... śmierć goni,
A któż zapłacze po nas — kto oprócz Ironii?
Jedyna postać, którą wcale znałem żywą,
Pani wielka, i zawsze w coś ubrana krzywo,
Popioły ciche stopą lekką ruszająca,
Z warkoczem rudym, twarzą czerwoną miesiąca.
Ta jedna!... A cóż więcej ci powiem na wstępie?
Oto, że w świat wchodziłem, gdy w największej sile
Poetów trzech *(co właśnie zasnęli w mogile)*
Śpiewało! — *że milczałem — i znów pióro strzępię,*
Jak kłos o sierpa ostrze: a powiedz mi, proszę,
Kto przy mnie jest i fałsze wyrzuca macosze?
Owszem: quantumque reges delirant, Achivi
Flectuntur... *i jest w błędzie, kto się temu dziwi.*
— *Jako więc w świata tego którejkolwiek stronie,*
Na mchu jeśli w odludnym przylegniesz parowie,
Planeta ci się zaraz pod twe małe skronie
Zbiega, i czujesz globu kulę za wezgłowie;
Tak mówię ci, że skoro istota Poety
Zebrać u piersi swoich nie umie planety,
Całego chóru ludzkich współłez i współjęków,
Od ziemi do macicy tej najwyższych sęków,
Od karła do olbrzyma, od tego co kona
Do tego co zawisnąć ma jutro u łona:
Zaiste — niech mnie taki nie uczy, CO CIEMNE?
A CO JASNE?—on ledwo że wie, co przyjemne!
Bo jam nie deptał wszystkich mędrców i proroków...
Ale mię huśtał wicher, ssałem u obłoków

I czułem prochów atom na twarzy upadłej.
Sfinksy znam, czerwieniły się zkąd? czemu bladły?
Boga, że ZNIKAJĄCY NAM PRZEZ DOSKONAŁOŚĆ,
Nie widziałem, zaprawdę, jak widzi się całość.
Alem był NA PZEDMIEŚCIACH JEGO JERUZALEM,
W wodzie obloków krzyżem pławiąc się czerwonym,
Zwierzokrzewowe psalmy mówiłem z koralem,
Z delfinem pacierz, glorię *z orlem uskrzydlonym...*
I właśnie, gdy rzecz wszczynam poziomego toru,
To nieprzeto ażebym sługą był wyboru,
Lecz, że mię wciąż dolata trumny zatrzask nowej.
Dziennik donosi: „ten się struł, zabił się owy:
„Pracował w Ossolińskich księgozbiorze sporo,
*„Zbyt czuwał, konstytucyę niedość krzepił chorą...“ *)*

. . . .

Prawda! prawda! lecz jakżeż może być inaczej??
Skoro, na grobie każdym rozwartym z rozpaczy
Porzucawszy gałązki, zasłonicie przepaść —
Mówiąc: „idź... uszczknij listek!“ Ale któż ci powie,
Że się załamie ziemia i nie możesz nie paść
Nogą na obróconej ku niebiosom głowie — —
Owszem — tę prawdy stronę uważając za rdzę,
Malowany samotrzask zastawią ci w rowie,
Na korzyść serca....
....sercem tem — szkołą tą — gardzę!

1859. Cypryan Norwid.

---

*) *Felicyan Lobeski* (pisarz - malarz) — a *następnie i ten, do którego niniejszy list był pisany!...* Przyczyna tragiczna, dla której wiersza tego nie położyło się na wstępie do przypowieści *Quidam* — raz, że zalegał list ten w papierach zgasłego, drugi raz, że boleśnie było przez długi czas do rękopismu tej treści, *i treści naprzód określonej,* zbliżać się. *(C. N.)*

Synowie ziemi.



Szedł przez plantacye, smutny i zgnębiony.

Cały dzień się męczył, próbowal pracować, ale jakby kto z jego mózgu wszystkie myśli wymiótł... Czuł: w sercu nie było tej męki, tego cierpienia, które było źródłem jego tworów. Zobojętniał. Wystygł. I nic tylko jakaś bezmierna pustka, niepokój, lęk przed tem, co czeka, przed tą ciemną, głuchą przyszłością.

Przerażał go ten cichy, apatyczny smutek, nurtujący mu duszę. Już się nie szarpał, nie szamotał, już nie umiał zacinać zębów i zaciskać pięści — tylko jedna głucha, samotna pustka, jałowy, szronem pokryty ugór w dżdżysty wieczór Zaduszek.

Szedł, jak we śnie pogrążony.

Ludzie przesuwali się obok niego jak czarne sylwetki. Nie słyszał gwaru ani śmiechu. Raz po raz ktoś go potrącił, ale on nie zważał na to.

Lęk go zdjął, bo nie słyszał odglosu kroków.

I zdało mu się, że wszyscy ci ludzie są tak smutni i tak cisi, jak on, że lękają się mówić i głośno stąpać, by nie zakłócać spokoju, bo każdy odgłos musiałby wywołać straszne przerażenie i trwogę.

Tak musiał wyglądać świat, gdy ludzkość oczekiwała sądu ostatecznego. Niebo czerwone, jak szafran. Pory roku się zmieniły. Śnieg padał w lecie, piekielny upał w zimie, ludzie przerażeni oddychać nie śmieli, tylko ptactwo szukało w śmiertelnej trwodze, gdzieby się ukryc mogło.

I zdawało mu się, że on tych wszystkich ludzi zaraził swym smutkiem, że smutek jego „jak dżumy plama przeszedł z serca do serca“ — ale nie! przecież się śmiali, chociaż śmiechu nie słyszał, przecież rozmawiali, mieli miny obojętne i wcale nie smutne...

Ocknął się i rozejrzał ciekawie, jakby przedtem ludzi nie był widział.

I uczuł dziką nienawiść i wstręt. Twarze poczęły przybierać jakieś ohydne, potworne kształty, ciala kurczyc się, naginać w kabłąk, garbiły się, to znowu rosły lub malały — usta wydłużały się w dzioby gryfów, chciwych jastrzębi, to znowu w ryje lub pyski ośle, końskie, wielbłądzie — dusze poczęły się obnażać, odsłaniać swą potworną nagość: zdrada, obłuda, zazdrość, chciwosć rozpanoszyły się pod czarnem sklepieniem wspaniałych drzew... Czuł się otoczony zgrają tych potworów wrogich, nienawistnych, gotowych w każdej chwili rzucić się na niego, oplwać, obrzucić śmieciami, zmieszać z błotem i kałem, — ranić kamieniami — zdradzać — oszukać — —

— O!... o!...

Chory jestem, zaświtało mu w mózgu.

I oprzytomniał.

Zkąd ta nienawiść w mojem sercu? pomyślał.

Nienawidzą mnie, zdradzają, oszukują, ale to moja wina.

Byłem dobry, ale to nie dobroć serca, tylko dobroć pogardy.

Kochałem, ale nie sercem, tylko... no? czem? Bo ja wiem? Wcale nie kochałem, tylko mówiłem, że ko-

cham... A potem, gdy się znudziłem, gdym duszę wyssał, gdym poznał na wylot to, co mnie nęciło, odrzucałem jak zgniłe jablko.

Okradano mnie, bom ich zmuszał do okradania. Czy nie mówiłem mej służbie: kradnijcie, tylko nie dużo? — Ha, ha, ha... Dobrze powiedziałem, bardzo, bardzo dobrze...

I przetrząsał swoje sumienie z jakąś wściekłą zapalczywością, wdzierał się z okrutną rozkoszą w najskrytsze zakątki swego serca, wywłóczył wszystkie śmiecie swego życia i coraz większą pogardę czuł dla siebie i dla wszystkich.

Kłamałem, zdradzałem, oszukiwałem, podchodziłem podstępnie ludzi cichego serca, bawiłem się czystemi gołębicami, by im potem szyjki ukręcać, byłem okrutny, rozciągałem dusze ludzkie na strasznych torturach: oto jest obraz i podobieństwo ich wszystkich.

Zdradziła mnie — ale ja ją do tego pchałem, tak! zmuszałem, bo — bo... byłem opryskliwy, i kapryśny, i złośliwy, i mówiłem jej tak: wola twa poddana będzie mężowi twemu, a on nad tobą panować będzie...

I jeszcze jej mówiłem: twój gyrus frontalis tertius w mózgu jest mniejszym od mego. — ha, ha, to nieprawda — ja kieruję się rozumem, a ty instynktem — ja mam ambicyę, by tworzyć, a ty próżność samiczki, by samców ku sobie wabić — a więc jesteś niższem zwierzęciem i musisz podlegać mej woli... codzień mówiłem mnóstwo podobnych rzeczy.

A mówiłem jej to ustawicznie, tylko delikatniej, złośliwiej, z zadziwiającym sprytem i zręcznością, godząc z wielką pewnością w czarny punkt jej duszy.

Na to przyszedł taki pan, ot! taki sobie pan, i mówił jej tak:

Ty jesteś rajem, w którym błogo i rozkosznie spocząć — wprawdzie pod drzewem świadomości, ale to nie szkodzi...

Ty jesteś słońcem, które światy zapładnia... Wprawdzie musiałoby się w tym wypadku dziać to na odwrót, ale to też nie szkodzi.

Ty jesteś gdyby dąb, naokoło którego ja, biedny, słaby bluszcz się owinę — usycham bez ciebie, żyć nie mogę bez ciebie...

Jesteś najpiękniejsza i najmędrsza — jesteś źródłem i aniołem natchnienia — wszystkie wielkie anielice natchnienia nie warte prochu przed tobą zmiatać, ani Hańska, ani George Sand, ani Delfina Potocka...

Ha, ha, ha! No, i jakże się oprzeć tak słodkiej mowie?

A ty, panie Czerkaski, uderz się z całej mocy w piersi i powiedz sobie: jestem łotrem, zimnym, rozważnym łotrem.

Poczekaj, poczekaj, szepnęło mu coś w duszy. Jeszcze nie mów tego, bo tyle rzeczy cię usprawiedliwia.

Żadnych usprawiedliwiań! — Czerkaski zaciął zęby. Łotrostwo jest łotrostwem!

Uwiodłeś biedną kobietę, osaczyłeś, omamiłeś — jednem słowem uwiodłeś. Wierzyła ci, ślepo byłaby przysięgała na twoje słowa, oddała ci z wiarą i bezgraniczną ufnością swoje serce, a ty je zbrukałeś, a potem porzuciłeś brutalnie, jak parobek, bez jednego słowa, bez jednej kartki papieru.

Boś musiał, krzyknęło coś w sercu.

Nie! bo byłem tchórzem, bom nie umiał, ja, wielki pan przyrodzenia, zrobić tego, co ona zrobiła, bom nie umiał, nie miał odwagi zrzucić z siebie ciężaru, który mnie do ziemi przygniatał, zerwać kajdan, które mnie do galery przykuwały, bo...

Czerkaski wżerał się zębami we własne serce, szarpał je i targał z zapalczywą wściekłością.

Oszukałeś Glińską, zdradziłeś, czemuś to zrobił? Przecież ją kochałeś? Kochałeś, kochałeś, to jedno cię usprawiedliwia, ale czemuś ją porzucił?

Próżno się silił dać sobie na to odpowiedź. Dla tego żeś miał żonę, ale czem była dla ciebie żona? Żeś — żeś...

Nie! nie chciał się uniewinniać. Z obłąkaną zaciętością szarpał swe serce, opluwał się, gardził sobą, czuł rozkosz w poniewieraniu siebie samego, bezczeszczeniu, odzieraniu z ostatnich pozorów uczciwości.

Błąkał się po odludnych ścieżkach parku pogrążony w ciemnej otchłani złego sumienia, z tem jednem w duszy:

Czemuś porzucił Glińską?

I przed oczyma jego wykwitła cicha, drobna postać kobiety, z drobną twarzyczką dziecka i oczyma, co przerażone i wylęknione patrzyły na niego.

Czuł, jak głaskała go po twarzy drobnemi, miękkiemi rękoma: nigdy mnie nie opuścisz — nigdy?

A oczy jej, jak spłoszone jaskółki, biegły za nim, śledziły go, wpijały się w głąb' jego serca, chciały rozgmatwać ciemną zagadkę jej przeznaczenia, bo to ciemne, nieznane serce, wyrokowało o jej życiu lub śmierci... I ten lęk, i ten niepokôj, i ta śmiertelna trwoga, że mógłby ją porzucić!

A przecież ją kochał — poraz pierwszy kochał z tą nieskończoną tkliwością, z jaką się dziecko kocha, z tem wdzięcznem, ciepłem i światłem przesyconem sercem, co czuje, że nigdy tak nie było kochane...

No i czemu?

Teraz uczuł jej łzy, wielkie, gorące łzy, duszę mu przepalały, a mózg mu przewiercało jej rozpaczne pytanie: czemu ja umrzeć nie mogę?

I uczuł bezmiar miłości dla niej. Chciałby się teraz rzucić do jej nóg, całować jej stopy, bełkotać bezładnie słowa miłości, i tulić, i pieścić, i wziąć na ręce, obno-

sić dookoła pokoju — och! kołysać jak dziecko, ażby jej skołatana główka obwisła w cichym śnie na jego piersi.

Tak! przycisnąć, przygarnąć do siebie, jak ten bronzowy Adam na jego biurku.

Zapóźno!

Zaciął zęby.

Wszystko dla niego poświęciła. Czuła, że to zbrodnia, oszukiwać męża, który od rana do nocy pracował w biurze pocztowem na utrzymanie domu — serce krwią się jej zalewało na widok tego człowieka, któremu ona, sierota, wszystko zawdzięczała, bo ją wyrwał z piekła, jakie przechodziła w domu złośliwych, chciwych krewnych, otaczał ją miłością, a teraz czuł, że się w niej coś dzieje, czego nie zna, że staje mu się obcą, że jest dla niego zimną i nieprzystępną. Czuła jego ból, choć słowa nie mówił, płakała, rozpaczała, czuła się potępioną, gardziła sobą, ale miłość dławiła, dusiła wszystko w jej sercu, bo kochała, bo stała się samą miłością.

I widział jej męża, jak przychodzi z biura, zrzuca mundur, w milczeniu je kolacyę, mówi jej dobranoc, siada i znowu pracuje, by się pracą odurzyć, zagłuszyć — widział jej męża, któremu łkanie piersi rozrywa, a który jednak nie płacze, któremu przekleństwa i brudne wyrazy tłoczą się do gardła, a który ma dla niej tylko dobre i łagodne słowa, bo — bo i on ją kocha.

— A ty? ty? Co ty masz w sercu? — zakrzyknął.— Brud i egoizm!

I po raz pierwszy od dawnego czasu uczuł ogromny, bezpamiętny ból.

Całe niebo staczało się wielkim, bolesnym ciężarem na jego głowę — zdało mu się, że słyszy w cichym parku przedśmiertny poszum drzew, a z serca rwał się wielki krzyk za śmiercią, końcem, zagładą...

Przed oczyma przesunęło mu się całe życie, brudne, ciężkie życie, pełne wstrętnych zabiegów za groszem, podstępnej przebiegłości, by ludzi ujarzmić, zbrodniczych łotrostw, by żądze zaspokoić...

Siadł na ławie, głowę zwiesił na piersi. Oddychał z trudnością, a w głowie czuł ogień i żar.

Po chwili podniósł się i znowu wszedł na planty.

Naraz drgnął.

Szybkim krokiem przesunęła się jakaś postać kobieca.

To ona! Glińska! Hanka!

Obrócił się.

Nie, nie — mylę się — przecież to niemożliwe. Daleko ztąd, daleko...

Ona! Hanka!

Nie, niemożliwe... tyle o niej myślałem, że mi żywa stanęła przed oczyma.

I w tej chwili ogarnęła go wściekła tęsknota. Czuł dokładnie jej dłonie na swej twarzy, te białe, miękkie dłonie — to znowu kosztowny jedwab jej włosów przesuwał mu się przez palce, to znowu z rozkoszą chłonął delikatną, nieskończenie wytworną harmonię jej ruchów, widział jej oczy dziecka, co z ciekawością i lękiem słuchały nieznanych dziwów, gdy jej serce swe otwierał... I uczuł nagłą chęć wsiąść do wagonu, zaraz, w tej chwili, pojechać do niej — tylko pociąg musiałby szaleć, bo inaczej umarłby z niepokoju — wpadłby do niej, wziął ją na ręce, uwiózł, pognał z nią na koniec świata...

Ale nagle ujrzał ją straszną, wylęknioną, wpół obłąkaną:

Czego chcesz, czego chcesz? pastwić się nade mną? Ranić? Kalać? Męczyć? Idź, idź, idź...

Opadł.

Chciał jeszcze myśleć, jakby dotrzeć do niej, jak jej wytłómaczyć, że ją kocha, że popełnił łotrowstwo, ale

że to się stać musiało! Tysiące przekonywających argumentów latało mu po głowie, jak pierze obdartego ptaka, ale męka do dna wyczerpała mu duszę.

I tylko jedno pragnienie: ciszy! ciszy!

Zamyślił się.

Nie! nie ciszy! Gwaru, hałasu, muzyki. Czegoś, czemby mógł oszołomić to biedne, rozszalałe serce.

Nagle uczuł silne kłócie w piersiach.

Chory jestem, widocznie chory; to przejdzie... to nic... zaziębiłem się trochę... pójdę do Szarskiego. Prawda, prawda... przecież po to wyszedłem, by pójść do niego... ma grać swoje oratoryum, czy też koncert — Jak mogłem o tem zapomnieć...

I powlókł się do Szarskiego.



Hałas, gwar...

Niewielki pokój Szarskiego był zapełniony gośćmi.

Stasinek, który zawsze i wszędzie pełnił obowiązki szafarza, krzątał się między gośćmi, dolewał to wódki, to piwa, przypijał, zachęcał, twierdził, że tyle piękności na świecie, ile się jej w kieliszku znajdzie, kiwał siwą głową i był niezmiernie szczęśliwy.

— Cóż tak mizernie wyglądasz? — spytał Szarski Czerkaskiego.

— Nic, nic, trochę się zaziębiłem, to przejdzie.

— Bardzo-m ci wdzięczny, żeś przyszedł. Ogromnie mi na tem zależało.

— I jesteś zadowolony z tego, coś stworzył?

— Po raz pierwszy w mojem życiu.

— Toś pewno bardzo szczęśliwy?

— Hm, tak — tak... szczęśliwy. Nam się wszystkim zdaje, żeśmy szczęśliwi... a śmierć czeka, czyha...

— Cóż to? Szarski sentymentalny?

— Ha, ha, ha... nie! do dyabła! Tylko się lękam o swoją głowę.

— Bo stanowczo za dużo pijesz.

— Słuchaj, Czerkaski, że też ty możesz takie głupstwa gadać! Każdy artysta żyje tak długo, jak jego twór

wymaga. Co to za ohydny nonsens mówić: coby ten biedny pijaczyna Musset był zrobił, gdyby się na śmierć nie był zapił. Głupstwo! Nie miał już nic więcej do zrobienia. Albo powiedzieć: jaka olbrzymia rzecz byłaby z Króla Ducha, gdyby Słowacki był żył, chociaż jeden rok jeszcze! I to głupstwo. Słowackiego starczyło właśnie na te rapsody, które zostawił, a chociażby był żył sto lat jeszcze, nicby więcej nie zrobił. Artysta, rozumiesz, zawsze to zrobi, co ma zrobić, a czy w ten sposób czy w inny zmarnieje, to tylko obojętna forma zmarnienia. Jeden na suchoty, drugi na pijaństwo, trzeci na rozpustę — no, albo jak chcesz. Ale to zupełnie obojętnie, w jaki sposób się zmarnieje. Bo, bo widzisz — my jesteśmy męczennikami naszego talentu. He, he, he... Coby ten lub ów nie był zrobił, gdyby nie dostał suchot, kiły — gdyby się nie był rozpił, rozłajdaczył — he, he, he... gdyby wuj nie miał wąsów, albo czego innego, to z pewnością byłby ciotką — he, he...

— Tak, tak... może masz racyę. — Czerkaski był dziwnie roztargniony. Tarł ręką czoło, zamyślił się.

— Znasz Glińską?

— Jakto? Ty się o to pytasz?

— Prawda! Prawda! Ale słuchaj, zrobisz mi nieskończoną przysługę, jeżeli się dowiesz, czy jest tu rzeczywiście, czy mi się tylko zdawało, że ją widziałem, bo — bo, wiesz, jakoś mi niedobrze na sercu i mam takie dziwne przywidzenia...

— Ależ, bój się Boga, Czerkaski, ty nic nie pijesz! — Stasinek trzymał kieliszek w jednej ręce, w drugiej flaszkę i nalewał.

— Piję, piję, z tobą, Stasinek, zawsze piję.

— A jabym za tobą w piekło poszedł.

— Wierzę, wierzę — ale słuchaj, Stasiu — znasz Glińską?

— Jakto? to ty nie wiesz? Przecież już od tygodnia tu jest. Jej mąż został przeniesiony na tutejszą pocztę.

Czerkaski drgnął gwałtownie.

— Co, co, co? To prawda?

— Prawda, widziałem ją dziś na ulicy.

— Więc rzeczywiście?

— Ależ tak.

Czerkaski czuł, że słabnie, ale się opanował. I zdjęła go straszna tęsknota za tą kobietą, o drobnej twarzy dziecka, o małych, miękkich rączkach. Mieć ją przy sobie! Był chory, ona potrzebowałaby tylko przyłożyć ręce do jego skroni — nie! położyć miękką dłoń na jego serce, to rozszalałe, chore serce, a odrazu byłoby mu lepiej. Bo był chory — tak! chory...

— Dawno już nie widziałem pana. — Turski serdecznie ściskał dłoń Czerkaskiego. Oczy jego błyszczały. Był widocznie podchmielony.

— To mój drugi występ publiczny od dawnego czasu. Ha. ha, teraz będziecie mnie często widywali. Nie lubię samotności.

Turski patrzał przez chwilę na Czerkaskiego, potem wybuchnął nagle.

— Ja wiem, zbyt dobrze wiem, co pan o mnie myśli. Ja wiem, że mi pan zarzuca, że — że... no tak! że rzucam rzeczy, które piszę, nieopracowane, pisane na kolanie, na targ. Pan mówi o mnie, że mam talent, ale że go marnuję...

— Ależ ja tego nigdy nie powiedziałem.

— Nie powiedział pan? Ale pan to myśli. Tak, to prawda, piszę rzeczy, których się wstydzę. A wie pan czemu? wie pan?

Czerkaski patrzał zdziwiony na Turskiego.

— Czemu? czemu? Bo mokry jeszcze papier muszę posyłać do drukarni. Bo mam żonę i dziecko...

— Ha, ha, ha, ja też miałem żonę — ha, ha, ha...

— Tak, pan miał żonę, ale pan miał i majątek. Słyszę, że pan teraz nic niema, albo tyle co nic, ale pan miał... Nie sztuka, tworzyć rzeczy skończone, gdy się ma pieniądze.

— Tak, to nie sztuka! — kiwał Stasinek siwą głową.

— Niech mi kto da tysiąc, dwa tysiące reńskich, a stworzę taką rzecz, jakiej nikt przedemną nie stworzył. Dajcie mi czas, bym mógł jedno zdanie pisać przez jeden dzień — dajcie mi czas, bym — ha, ha — miał czas pomyśleć, czym napisał głupstwo, czy też dobrą rzecz, a wtedy wolno mnie sądzić...

Turski okręcał guzik od surduta Czerkaskiego.

— Wolno teraz panu mówić: Turski niszczy swój talent, Turski jest dziennikarzem, Turski ma jedno pragnienie, by wydać trzeci lub czwarty nakład, ale panie, ten Turski ma wściekły żal i ból w sercu, że nie może tego zrobić, coby mógł zrobić, bo mu niewolno, bo — ha, ha, ha — ma żonę i dziecko.

Turski był dziwnie podrażniony. I naraz krzyknął na cały głos:

— Pieniędzy, pieniędzy! By módz tworzyć, by duszy nie brukać, by się nie kalać, by — ha, ha, ha...

Ale nagle oprzytomniał. Obejrzał się nieśmiało dookoła.

Nikt nie zważał na ten wykrzyk. Było gwarno i wesoło. Tylko Stasinek trącił Czerkaskiego:

— Ten się zalał.

Czerkaski spojrzał głęboko w oczy Turskiego. Chwilę patrzyli na siebie. Turski był już teraz zupełnie spokojny.

— Nie jestem pijany, panie Czerkaski, ale — ale, jeżeli są tragedye — straszne, okrutne tragedye — to ja je przeżywam. Wiem, że mógłbym zrobić coś wielkiego — ogień mnie trawi — a muszę, muszę ciskać na targ te głupie, nędzne, jałowe rzeczy, bom biedny, bo... ha, ha, ha... Zdaje się, że to pan mówił o malaryi, którą Wisła

zieje, ta Wisła, która ma czas, i płynie wolno, i zieje wolno zarazki choroby, bo ma czas. Ja mam tę malaryę w krwi, w kościach, w każdej cząstce mego ciała... Gryzie, niszczy, truje... To piekielne miasto zabija mnie... He, he... łatwo panu mówić, ten jest żurnalistą, ten stara się przypodobać publiczności, ten znowu chce być na gwałt popularnym. To wszystko panu wolno mówić, bo pan mógł czekać — a jeżeli pan co napisał, to mógł pan schować do szufladki i — prematur in nonum annum... Ale my, my biedacy — he, he... patrz pan: Szarski pije, bo niema nakładcy, któryby jego rzeczy drukował, bo niema orkiestry, ani śpiewaków, bo nie wie, z czego jutro będzie żył, bo lęk i rozpacz w jego sercu. Winiarski mógłby być olbrzymem, gdyby mu dano coś do roboty. Dać mu kościoły, pałace, muzea do malowania! Dać mu nową scenę, olbrzymią, wielką arenę, gdzieby mógł słowem malować — ot! tak!

Turski zakreślił wielką linię w powietrzu.

— Cóż? Winiarski, ma suchoty i głód, głód, głód!

A Turski, ten Turski, który tu przed panem stoi, musi pisać pornografię, by módz żyć. A Kurzawa umarł z głodu, bo miał talent, tylko dla tego, że miał talent. Kurzawa musiał roztrzaskać swego Mickiewicza — tak! Wy wszyscy, którzy macie pieniądze, albo nie macie żony, możecie takie rzeczy robić, — mnie nie wolno! Kurzawa zmarniał, bo Kurzawa miał talent. I teraz na rynku, na tym najpiękniejszym rynku w całym świecie, stoi pomnik, ohyda, hańba, świństwo...

— Tak, to racya! — Stasinek pokiwał smutnie głową.

— Stasiu, serce moje! — Turski objął Stasinka za szyję. — Stasiu, ty nie masz nic do stracenia, ty nie masz żony. Dam ci tysiąc guldenów, jeżeli wysadzisz ten ohydny pomnik w powietrze. Czem chcesz. Bo ja nie mogę. Więzienie...

— Tak, to niemiła rzecz, — wtrącił Stasinek lakonicznie.

— Och, mieć milion! — gorączkował się Turski. — Milion — nie! to za mało — dziesięć milionów! Módz zniszczyć ten pomnik i dać miastu inny — módz zdrapać z wnętrza kościoła Maryackiego te głupie i śmieszne i ubogie i takie bezsensowe malowidła Matejki, tę pstrokatą jajecznicę ograniczonego geniusza...

— Nie klep głupstw! — przemawiał Stasinek dobrotliwie do Turskiego. — Mieć miliard! Ha, ha, ha! Turski, co, kochany chłopie, gdybyś ty miał miliard — nie potrzebowałbyś pisać pornograficznych wierszy.. bo to jeszcze popłaca.

Turski umilkł nagle i zwiesił głowę.

Czerkaski milczał i słuchał, ale bardzo roztargniony. Cóż go teraz obchodziło, czy malarya ich poźre, czy nie.

On miał tylko jedną myśl, jedną chorą tęsknotę i pragnienie: Glińska, Glińska...

Teraz siedzi tam naprzeciwko męża, wpół błędna, z tą obłąkaną rozpaczą w sercu. A mąż raz po raz wlepia w nią straszne, smutne oczy. A ją pali ten niemy, bolesny wyrzut, to rozpaczne pytanie: kto mi twoje serce ukradł?...

— Cóż tam, ja mogę zmarnieć, mnie nie szkoda, ja nowej drogi nie wytknę, nowych światów nie odkryję, ale Winiarski, Winiarski...

— Cóż wy tu o mnie gadacie? — Winiarski witał się serdecznie z Czerkaskim.

— I, nic, nic, tylko Turski twierdzi, że gdyby miał miliard, toby razem ze Stasinkiem pomnik na rynku zburzyli i kościół Maryacki obdrapali.

— A dobrze, dobrze! A możeby też wtedy zmusili księdza biskupa, by chciał przyjąć w podarunku moje witraże do katedry. Pomyśl tylko, chcę wszystko zrobić

darmo, namaluję kartony do wszystkich okien, kartony, w których całą przeszłość odtworzę, począwszy od Wandy, i nie chcą przyjąć. Wolą ohydną, fabryczną pstrokaciznę, bo milsza dla oka...

Ucichło nagle.

Szarski siadł przy fortepianie, i odrazu stał się nowym człowiekiem. Przeistaczał się, potężniał, zdawał się nie z tego świata.

Czerkaski widział tyle razy tę dziwną zmianę w Szarskim, a za każdym razem przejmowała go jakaś tajemna trwoga.

Czuł, że w tym człowieku dokonywa się mistyczny ślub z istotą rzeczy, że on w tej chwili odczuwa świat poza wszelką zjawą i ułudą, odczuwa go w jego najistotniejszej głębi, w nagim absolucie, w dźwięku.

Czuł, że ten człowiek rozmawia z Bogiem, że nie potrzebuje symbolu, ani słów, ani przenośni, ale styka się z nim bezpośrednio.

Szarski był śmiertelnie blady.

I nagle uderzył pierwsze akordy, temat swej symfonii, odwieczny temat bólu i cierpienia: Święty Boże, Święty Mocny...

Coś, jakby pokorne kajanie się człowieka przed groźnym a straszliwym majestatem, — biednego człowieka, co nie śmie spojrzeć Bogu w zagniewane oblicze, tylko pokornie, z szeroko rozwartemi rękoma przypada do ziemi i w cichym szlochu błaga i prosi:

Święty Boże, Święty Mocny,
Święty a Nieśmiertelny,
Zmiłuj się nad nami...

Cisza!

I nagle z góry do dołu wściekłe pasaże obłąkanego śmiechu, wycia, płaczu, dzika, spieniona, kaskada cierpienia, bryzgająca krwią serdeczną ku niebu! To znowu wy-

skakiwała groźna pięść szaleńca, co wali o wrota nieba, straszny skowyt na śmierć zranionego zwierza, a przez tę orgię tonów huczał, wył, błagał, kajał się straszny, ponury temat: Zmiłuj się nad nami.

W coraz to nowych modulacyach, w coraz groźniejszej i ponurej tonacyi odzywał się ten straszny krzyk, czasem jak wściekły wybuch geyzeru, czasem przeciągły i długi jak strumień gorącego prądu, czasem jak szczękanie zębami potępieńca, jak łamanie rąk z rozpaczy obłąkanego człowieka, to znowu, jak bolesna, głucha rezygnacya mędrca, który wie, że niema dla ludzi ratunku.

Zimne dreszcze zbiegały Czerkaskiego.

Bo dziwna! Szarski miał nadzwyczajne siły. Fortepian przestał być instrumentem, słuchał go, stawał się jego duszą, największe techniczne trudności stały się prawie dziecinną igraszką. Nastąpiło zlanie się człowieka z martwą rzeczą. Dusza Szarskiego udzieliła się drzewu i metalowi i kości słoniowej. Technika Szarskiego była nieskończenie delikatnym, nieskończenie wydoskonalonym środkiem, by duszę swą do naga wyśpiewać.

Czerkaski przymknął oczy.

To już nie fortepian, to orkiestra cała.

Słyszał skrzypce i fagoty, melodya przechodziła z wiolonczeli na harfy, huczała w podziemnem dudnieniu organów, zrywała się w dzikich fanfarach pistonów, w bolesnem wyciu klarnetów, a grozą i przerażeniem Sądu ryczały trąby straszne Dies irae lęku i cierpienia.

I nagle dziki zgrzyt w niesłychanych akordach, które spadały na duszę, jak siekący, niszczący grad na bujny łan zboża, i znowu cisza.

Na chwilę zrzucił człowiek z siebie kajdany życia, stoi na górze Tabor, wyciąga ręce ku Bogu, bo za chwilę dusza jego oczyszczona ma się wznieść ku chwale wiekuistej.

Ale oto załopotały lękliwe, strwożone skrzydła duszy wygnanej z raju, biedne, błądzące, skołatane skrzydła — dusza wygnana z raju miłości, rozpaczna, a w sercu jej rozpasała się piekielna symfonia bólu, straszliwe Alelujah rozpaczy, przekleństwa, tęsknoty.

To ona, ona, Hanka!

Hanka o bosych nóżkach, w podartej koszulinie, poprzez roztopy i błotne ugory. Hanka deszczem siekana, zraniona, skrwawiona, z gromnicą w ręku, Hanka bijąca się drobnemi rączkami w rozpaczną pierś:

Jam biedna cudzołożnica, wybaw mnie, Panie!

Hanka-Ewa, rozszalała, groźna, z dzikim chichotem, rozpustna i wyzywająca, na przedzie, Hanka tańcząca wściekły taniec miłości i śmierci, a on za nią, jak pies przywiązany do jej stóp, on, dumny szatan, wielki pan serc, on, dziś w grozie Sądu, najbiedniejszy z biednych:

Zmiłuj się nademną!

I piekło się przed nim rozwiera, niebo na niego się wali, a Hanka siedzi przy nim przed otwartym grobem i płacze.

Hanka płacze! Słyszał jej jęk, i serce rozdzierający szloch, i głuchą, obłędną modlitwę bez słów, modlitwę krwią zabiegłych oczu: och, wybaw, wybaw mnie, Panie.

I w dali gromadka ludzi z niknącemi pochodniami w parnej, nieszczęściem ciężarnej nocy. I jak pozagrobowy odglos bezsiły i zdania się na wolę Boską, cichy jęk: Wybaw nas, Panie...

A Hanka siedzi i płacze, łzy jej z oczu ściekają, jest śmiertelnie blada, i niema, i głucha, tak płakać może tylko trup. A mąż siedzi naprzeciw i szamoce się z sobą, z serca rwie się dzikie przekleństwo, w gardle dusi go straszny ryk Herakla, palonego koszulą Nessusa, ale pyta cicho i łagodnie z bezbrzeżnym smutkiem: czemu płaczesz, Hanka?

Czerkaski wstrzymywał się całą siłą, by nie krzyczeć z bólu.

Temat powracał w pojedyńczych akordach i taktach, ginął, gasł — nie było wybawienia, nie było litości, tylko już bezładne bełkotanie ludzi, nieświadomych tego, co mówią.

Zboża kołyszą się w cichym powiewie wiatru, drzewa szumią tajemniczo, raz po raz odgłos dzwonu, a ponad wszystkiem strach. Samotny człowiek wlecze się po miedzy, a za nim coś, co gotowe do skoku; chytre, powłóczyste kroki — chwila, a śmierć obejmie wściekłemi kleszczami pierś, gardło, wgryzie się zębami w kark...

Strach, strach!

Ale człowiek samotny nie ma już siły, by się opierać, leci z jednej gwiazdy na drugą, w przepaść, otchłań, piekło... głębiej jeszcze, ciemniej jeszcze...

Och!

Raz jeszcze ryknęły organy, zawyły trąby przerażenia, przekleństw i bluźnierstw — ucichło...

Ostatnia przedśmiertna ekstaza, ostatnie pragnienie śmierci, natchnione „Cupio dissolvi“:

Święty Boże, Święty Mocny,
Święty a Nieśmiertelny...

Czerkaski drżał, zimny pot wystąpił mu na czoło.

Śmierć, zagłada, zniszczenie zawisło czarnemi upiornemi skrzydły nad nimi wszystkimi.

Zaległo długie, głuche milczenie.

Nagle zerwał się Szarski:

— Och, dajcie mi orkiestrę, dajcie mi solistów, dajcie mi chóry! Kasprowicz dał słowa, Winiarski namaluje mi dekoracyę, wielką, olbrzymią. Czerkaski, słuchaj! Turski da miliardy! Ha, ha, ha... Dajcie mi orkiestrę! — Huknął pięścią w klawisze. — To nie ma siły, to nie daje najmniejszego wyobrażenia; to musi być śpiewane, wyte,

krzyczane — ha, ha, ha... ja nie wiem, jak to wygląda, ja to tylko w duszy słyszę...

Turski zaśmiał się ochryple:

— Ha, ha, ha... dajcie mu orkiestrę, Winiarskiemu pałace, niebotyczne ściany, muzea, mnie dajcie pieniędzy, Kurzawę wskrzeście z grobu, wysadźcie dynamitem pomnik na rynku, bezczeszczący imię Mickiewicza, zmuście księcia biskupa, by przyjął w podarku witraże Winiarskiego, wyrzućcie z katedry pomniki Zumbuscha, Thorwaldsena — ha, ha, ha... zdrapcie ohydę z kościoła św. Krzyża, pstrokatą jajecznicę z kościoła Maryackiego — ha, ha, ha... Dajcie Stasinkowi baryłkę wódki, a mnie jeden jedyny miliard, a będzie sztuka polska. A jeżeli tego zrobić nie umiecie, to możecie zgnić, zdechnąć na śmieciach, oblizywać sobie palce na jubileuszach zasłużonych... ha, ha, ha — patrzeć na sławy narodowe, co roznoszą nasze imię na wielkoświatowe rynki — a wy gnijcie, gnijcie — wy, Jany Chrzciciele, torujący nowe drogi — ha, ha, ha... Jasny piorun was trzaśnie z waszemi nowemi prądami, powiewami, my w grodzie Krakusa potrzebujemy pleśni, jaką słusznie stare rzeczy świecą, potrzebujemy zgnilizny Stradomia, błota Czarnej Wsi — — Dobranoc! Muszę gotować strawę dla handelków i kawiarni — cały numer Bociana zapiszę na przekór wam wszystkim. Dobranoc! Ha, ha... Chodź, Stasinek, serce moje... Chodź, nas już malarya przegryzła — nam już z tem dobrze.

Cisnął z całej siły stołek o ziemię i wyszedł.

Zdawało się Czerkaskiemu, że w sieni posłyszał głośny ryk.

Ale był już na wszystko obojętny — jedna myśl maniacka krążyła po jego mózgu: Hanka-pokutnica, Hanka-niszczycielka, Hanka z trupią twarzą, po której wielkie łzy spływają, Hanka, Hanka przy stole naprzeciw swego milczącego męża z temi strasznemi, smutnemi oczyma, Hanka...

Na chwilę powstało zamieszanie — ale już wszyscy byli przyzwyczajeni do tych wybuchów wściekłości Turskiego, i za chwilę poczęto dyskutować o nowym utworze Szarskiego.

Szarski przysiadł się do Czerkaskiego.

— Wiesz, zimnym potem się oblewam, gdy pomyślę, że ja tego nigdy na orkiestrę nie posłyszę, że ja to tylko w sercu słyszeć będę, że nic, nic nie wiem o własnem dziele. — Co? pojmujesz, że to tragedya. Czasami obłęd mnie chwyta, że umrzeć mogę, a tego nigdy nie posłyszę. A śmierć czyha, czyha...

— Trudno — mówił Winiarski ze zwieszoną głową. — Pociesz się, ja też nigdy moich kartonów nie zobaczę w świetlistościach witraży... tak, może po śmierci...

Czerkaski z trudem się opanowywał. Głowa mu ciężyła, jakby miał w niej ołów, a w piersiach kłócie, nieznośne, ostre kłócie, jakby mu w płuca rozpalone szpilki wsadzano.

— I cóż? cóż? — pytał Szarski ciekawie.

— To wielkie, to potężne. Masz słuszność, że ci pić wolno, dla mnie zostaniesz tem, czem jesteś — wielkim, oderwanym od czasu i tego wszystkiego... Ale wybacz, pożegnam cię teraz. Muszę wyjść na świeże powietrze. Jakoś mi niedobrze.

— Odprowadzić cię?

— Nie, nie...

Wymknął się po cichu.





Czekano go na dole. Turski stał oparty o ścianę w jakiemś bolesnem, tępem zadumaniu.

Czerkaski zatrzymał się. Zdjęła go nagła litość nad tym człowiekiem, któremu matka Wisła malaryą mózg przegryzła.

— A, to pan, pan... — Turski chwycił go pod ramię... — Pan nie wie, że pan się stał moją męką, kłodą na mej drodze, przez którą się przewróciłem jak długi... Dawniej tego nie czułem, a teraz się męczę. Byłem przed paru dniami na pańskiej premierze... Zęby zacinałem z wściekłości. Byłem zazdrosny — tak! zazdrościłem panu. To nędznie, to podle, do tego się literaci nie przyznają, ale ja się przyznaję. A potem, gdym słyszał, że pan to uważa za niegodny rodzaj studyum, to znaczy za coś, co

się nie udało, a co literaci puszczają w świat pod hipokrytyczną nazwą „studyum,“ tom pana pokochał, bo pan szczery, bo pan szuka, a ja myślałem że pan chce już stać na niedostępnych wyżynach... Nienawidziłem pana dawniej...

— No i cóż?

— Cóż?. Pan się pyta, cóż? Oto wytłomacz mi pan, czemu ja uczuwałem zazdrość, ja, który jestem silnie przekonany, że daleko lepiej i pożyteczniej spełniam me obowiązki w społeczeństwie, aniżeli wy twórcy, wy Jany Chrzciciele? Wytłomacz mi pan, dla czego wy, których społeczeństwo nie potrzebuje, wypluwa ze siebie, jak ongi ów biblijny wieloryb, któremu Jonasz w żołądku zaciężył, tak, że strawić go nie mógł — ha, ha... prorocy, twórcy i tutti quanti zawsze byli niestrawni — dla czego wy narzucacie się społeczeństwu, czemu na gwałt chcecie się dostać w paszczę tego potwora? Próżność? Pragnienie wieczności? Ha, ha... Patrz pan, Winiarski z głodu przymiera, a odrzucił projekta mecenasa i kazał mu się udać do pokojowego malarza; Szarski, ten Szarski, czemu on tworzy rzeczy, od których obłędu dostaję — a przecież nigdy nie będzie miał orkiestry... od naszej orkiestry on by dostał obłędu...

— Dla czego inni tworzą, nie wiem...

— A pan?.. he, he... ja wiem, czemu pan tworzy, pan jest wielkim panem, pan kocha luksus, i pańska sztuka to luksus, zupełnie niepotrzebny luksus, który ja wszelkiemi siłami zwalczać będę... — Turski był wściekły.

— Poczekaj pan — mówił Czerkaski łagodnie. — Mówiłem, że nie wiem, co dla innych jest pobudką twórczości, ale mogę powiedzieć panu, dla czego ja piszę. Nie z literackiej próżności, bo jej nie mam i nie jestem literatem; nie dla ambicyi, bo niema ludzi, którzyby ją zaspokoić mogli; nie dla pieniędzy, bo pan wie, że moje książki

zaledwie w kilkudziesięciu rozchodzą się egzemplarzach,—ja tworzę, bom się urodził twórcą. Bo tworzyć muszę. To znaczy, tak chciało moje przeznaczenie, bym uświadomił, co dotychczas jeszcze nie było świadome...

— A więc pan żyje dla potomności — ha, ha, — złapałem pana — dla tego wzgardzonego społeczeństwa, dla dorastającego pokolenia...

— Myli się pan, mnie potomność nic nie obchodzi. Nie będzie ani mędrszą ani głupszą niż nasza teraźniejsza generacya. Nic nie znam wstrętniejszego od tej głupiej potomności, tej trzody głupich owiec, wierzącej na słowo jakiemuś panu, który pójdzie na rynek i wykrzyknie: przed pięćdziesięciu laty żył wielki geniusz, trzeba mu pomnik postawić!

— Więc dla czego? dla kogo?

— Dla tego jednego, który moją pracę podejmie, rozszerzy, nakreśli jej nowe, mnie nieznane widnokręgi, i przekaże całość temu, który po nim przyjdzie —i tak przez wieki wieków, aż przyjdzie ten, który nic już sobie uświadamiać nie potrzebuje, bo wszystkiego będzie świadom.

— Tak?— Turski słuchał i śmiał się na cały głos.— Ha, ha, ha, to takie stowarzyszenie, nowa sekta magów, dalszy ciąg generacyi magów — praojciec pański, to Samyasa... co?

— Tak, mój panie, — Czerkaski mówił dobrotliwie i coraz łagodniej. — Sztuka jest wielką tajemnicą, — arkanem, tabu...

— A dla nas, dla nas biedaków, cóż dla nas, którzy was żywimy, podtrzymujemy taką luksusową, tajemniczą sektę — cóż dla nas i dla tej biednej Galicyi?

Czerkaski zaśmiał się, ale równocześnie schwycił się za piersi, więc mówił jeszcze ciszej.

— Dla was? dla Galicyi? Wszystko! Tylko nie chcecie rozumieć, jesteście głusi i ślepi — ale i dla was

mamy, my dzieci Samyasy, coś — zagadkę. Słuchaj pan uważnie:

NASCIT ROCH EPIRO GAZES EREMI ZRIJ.

— He? kpi pan?

— Nie! Ale w tem tkwi cała tajemnica magów i artystów. Tajemnica ta pozwala im jako tako istnieć i wikłać sypły, jakie dusza ukryta porobiła na postronku ciągłości bytu... Tę formułkę znalazłem jeszcze jako dziecko na strychu w papierach mojego ojca, i stała mi się dewizą na cale życie..

— A to znaczy?

— Naści trochę piroga ze serem i źryj! Ha, ha... ale żegnam pana — mam kłócie w piersiach, trudno mi mówić... żegnam pana...

Skręcił w boczną uliczkę.

— Panie! — Turski zastąpił poważnie drogę Czerkaskiemu. — Dla czego pan sobie kpi ze mnie?

— Dla czego? — Czerkaski zamyślił się. — Dla czego? Słuchaj pan, uczułem głęboką litość nad panem, miałem chwilę wrażenie, że pan się rzeczywiście łamie i szamoce ze sobą. Ale to iluzya — ja jeszcze miewam iluzye — wiem, że wy, dziennikarze, musicie wszystko zbrukać, spławić w kale i błocie, korzycie się przed tem, co, mimo wszystkich wysiłków z waszej strony, publiczność uzna za dobre, czołgacie się w piasku przed tem, co się tej przez was pogardzanej publiczności podoba, na kolanach, ze śliną w ustach, z notesem w ręku wleczecie się za człowiekiem, który zarabia sztuką pieniądze, walicie czołem przed tymi, którzy mają powodzenie... ha, ha... Panie! panu się zdaje, że mnie pan w pole wywiódł. Jutro, wiem, będzie artykuł, iż jestem tęgim plagiatorem, jeszcze tęższym

alkoholikiem, uwodzicielem wdów, sierot i niedorosłej młodzieży... Dobranoc panu — pozdrów pan Adolfka.. Stasinek sam się zjawi.

Szedł szybko, pomimo dotkliwego bólu. Ogarnął go wstręt i obrzydzenie. Zaledwie mógł panować nad sobą.

Chciałby krzyczeć, pluć, ciskać przechodniom najgorsze, karczemne wyzwiska... ale nie, nie! po co? Cóż go to wszystko mogło obchodzić? Jego syna Samyasy — ha, ha! potomka Agricoli, John Dee'a, Paracelsa...

Dziwna, że wszyscy marnieli... ha, ha — tylko Nordau, Lombroso, Spencer, i nasi wybitni i najwybitniejsi historycy i krytycy sztuki mają się dobrze.

— Wstydź się, Czerkaski! Gotów cię jeszcze kto posądzić, że masz żal, że jesteś rozgoryczony... a, widzisz, nie masz prawa do tego, bo szedłeś à rebours, bo wszystko na przekór robiłeś, kpiłeś sobie z ludzi i z siebie.. Och, jakby to dobrze było wysiadywać jaja, które inni znieśli — co?

Kilku pijanych studentów stało na ulicy; poznali Czerkaskiego:

To on, to on,
To Phaëton,
Co ojca wóz,
Po niebie wiózł...

— I łeb sobie skręcił — co? — zaśmiał się Czerkaski... Ha, ha... udało się wam: to on, to on, to Phaëton — galicyjski Phaëton... idźcie do Turskiego!

Czerkaski gorączkował.

— Ha, ha — ten głupi Turski myśli, że mnie oszołomi swemi głupiemi frazesami, swoją udaną rozpaczą, że

mógłby być geniuszem, ale — no! i t. d. A może krzywdę mu robię? co?

I w tej samej chwili zapomniał o Turskim.

Był w swoim pokoju, patrzał na szatańskie msze Goyi. Jakże rozkoszował się w tej chwili dziką, szatańską zaciekłością, z jaką Goya ludzi i życie całe w błocie nurza!

Ha, ha, te wstrętne, ohydne potwory, to ludzie — te poprzekrzywiane, bezzębne, zwierzęce mordy to ich twarze, gdy się z nich maskę zedrze — ten obłąkany, śmieszny, wstrętny taniec świętego Wita to taniec życia — ten dom obłąkanych, w którym jeden szaleniec pięścią mur rozwala, drugi wyśpiewuje rapsody i eposy, trzeci przechadza się z głupią grandezzą jakiegoś śmiesznego, obdartego hidalga, te głupie osły, lubieżne kozły, tępe woły, to panteony narodowe — ha, ha...

Drgnął nagle. Wzrok jego padł na list, który leżał na stole.

— Co? co? List od niej, od tej dumnej, hardej, co z taką rozkoszą i taką zajadłością rzuciła mu jego własną hańbę w twarz... ha, ha — świat się przewraca!

Zaćmiło mu się w oczach.

Dostałem malaryi, pomyślał. Malarya, jak najwidoczniej, malarya. Zaraziłem się od Turskiego...

No, więc to od niej list. Tak! to jej pismo. I marka francuska, i stempel z Paryża — więc nie śnię.

I znowu położył list na stole.

Ale głoski poczęły się przeistaczać, ginąć, zacierać, przetwarzać na dźwięki, słyszał jej głos i widział przed sobą jej hardą, wyniosłą postać, kiedy z nienawiścią ciskała mu w oczy ostatnią obelgę.

Więc cóż tam stoi? Cóż ona może mi pisać — to musi być rzeczywiście ciekawe.

Rozdarł kopertę.

„Tak już nizko upadłam, taka się stałam podła i nędzna, że piszę do Ciebie o — powiem ci wprost, brutalnie — o pieniądze.

Chodzę jak obłąkana, zdaje mi się, że śnię jakiś potworny sen, męczę się w tym strasznym śnie, myślę, że się to skończyć musi, ale wiem — wiem, że ten sen potrwa przez całe moje nędzne życie. Zbyt dobrze cię znam, bym się na chwilę łudziła, że mógłbyś mi kiedyś przebaczyć, że mogłabym wrócić do ciebie. To wszystko irréparable, wiem, wiem — ale wiem również, że mi przyślesz pieniędzy.

O! tyś dobry, strasznie dobry, tą zimną, okrutną dobrocią pogardy. Tak nikt gardzić nie umie jak ty, więc nikt nie jest tak dobry.

Może być, że jestem obłąkana, i śmiesznem ci się to wyda, co piszę, ale to dziwna, że ja rzeczywiście tęsknię za tobą, jak nigdy przedtem nie tęskniłam, nawet w tych miesiącach rozłąki przed naszym ślubem.

Chodzę tu po ulicach, po których kiedyś z tobą chodziłam, jakaś nieprzeparta żądza ciągnie mnie do miejsc, w których tyle pięknych godzin z tobą spędziłam; wczoraj patrzałam godzinę — nie! wieczność całą — na lwa belforckiego i myślałam o tobie. On taki dziki, wspaniały i taki pełen pogardy jak ty...

Ale dosyć już, dosyć, dosyć.

Raz jeszcze: przyślij mi zaraz kilkaset franków, bo zmarnieję.“

Czerkaski uśmiechnął się.

Więc miodowe miesiące skończyły się.

Wykrzywił usta pogardliwie, po głowie tłukł mu się uporczywie refren jakiejś gminnej piosnki: zachciało się babie młodego galasa... i znowu się uśmiechnął.

Ciekawe! Utrzymywać żonę własną dla jej kochanka. By mogła w spokoju i bez finansowych kłopotów kosztować szczęścia w nowem małżeństwie.

Śmiał się na cały głos:

Ha, ha, ale to zadziwiające, że ja, ja — ha, ha—mam być — tak — quasi-rajfurem własnej żony... ha, ha — a przynajmniej ułatwiać jej...

Nagle krzyknął jakiś silny głos w jego duszy: Hanka!

Cóż Hanka? Prędzejbym razem z nią zmarniał gdzieś pod płotem, zanim... no tak!

Otworzył biurko, wszystkie pieniądze, jakie miał, włożył do koperty.

„Posyłam pani wszystko, co mam. Niech pani zechce to przyjąć od — dzieci. Czerkaski.“

Jakiś ty szlachetny, pomyślał.

Ach! jaka szkoda, że sam sobie w twarz splunąć nie mogę. Czemu? Bo ta twoja dobroć taka marna, tak cię nic nie kosztuje... a każda wiarołomna żona opiewać będzie w bohaterskich rapsodach twą wielkoduszność — ha, ha...

I nagle stanęła mu drobna Hanka przed oczyma, obszarpana, błędna z rozpaczy, Hanka, która od kilku dni nie jadła, opuszczona w obcem mieście, Hanka, której dwie drogi do wyboru pozostawały: śmierć, albo... Drżał, robiło mu się na przemian zimno i gorąco...

Malarya, oczywiście malarya. Zaraziłem się od Turskiego.

Przeliczył pieniądze. Trzysta franków. Mało.

Zrobił na liście dopisek:

„Niech się pani zawsze do mnie zwraca, gdy pani cośkolwiek potrzebować będzie. Zrobi mi pani prawdziwą łaskę, bo nie chcę, by matka moich dzieci głód cierpiała.“

Położył się na sofie. Był strasznie wyczerpany i chory.

I nagle ujrzał jakiegoś strasznego, olbrzymiego pająka w rogu ściany pod sufitem.

I dziwna! Ten pająk był bezcielesny, jakby niewidzialny, w czwartym wymiarze — pająk w matematycznem obmyśleniu.

Przeraził się.

Bo ten pająk wysuwał ogromne nogi, powoli, z wahaniem, i znowu je w siebie wciągal.

Czuł, że te niewidome, matematyczne nogi mogą się wyciągnąć w nieskończoność, że gdy się pozwoli im dotknąć, to dotknięcie ich będzie śmiertelne, i ze straszną trwogą przyglądał się ruchom potwornego robaka, śledził, obrachowywał każde najdrobniejsze drgnienie w tych szatańskich nogach.

Wytężył całą siłę, nieznaną mu dotąd siłę woli, by nie rozproszyć uwagi, bo ilekroć zaczął poddawać się zmęczeniu i senności, pająk nogi wyciągał.

I coraz straszniejsze robił wysiłki, bo pająk zdawał się czytać w jego duszy, śledzić jej opadanie i potężnienie, to kurczył się, malał, to znowu rósł i nogi wyciągał, zdawał się macać opór powietrza pomiędzy sobą a swoją ofiarą.

I Czerkaski uczuł nagle nieprzepartą chęć wykrzyczeć wszystkie swe zbrodnie, wyspowiadać się ze wszystkich swych grzechów, i znowu drżał ze strachu, bo czuł, że, jak tylko usta otworzy, będzie zgubiony.

Siadł i całą mocą spojrzał na swego oprawcę.

Pająk skrył się.

Odetchnął.

Ale teraz go ujrzał tuż ponad sobą, chytrego, chciwego krwi, pewnego już swej ofiary...

Zerwał się na równe nogi.

Ochłonął.

Malarya! Malarya!

I znowu się położył...

Ujrzał nagle jakiegoś pana, we fraku, w monoklu, z koźlą brodą, z nieskończenie złośliwym wyrazem twarzy. Wyszczerzał spróchniałe zęby, mrugał oczyma jak stary, bezwstydny rajfur, jedną ręką głaskal swoją zrzedniałą, koźlą brodę, a drugą podtrzymywał nawpół stojącą, otwartą trumnę.

A w tej trumnie — Czerkaskiemu zjeżyły się włosy z przerażenia i wstrętu — w tej trumnie kościotrup, ohydny, niewymownie wstrętny, z wiszącemi tu i owdzie ochłapami zgniłego ścierwa, kościotrup kobiety. W jednej ręce miała wachlarz, który się mechanicznie poruszał, drugą podtrzymywała jakąś szmatę, coś w kształcie zgniłej sukni, i odsłaniała z kokieteryą brukowej nierządnicy swe nagie piszczele.

— Proszę wejść! — wołał pan we fraku. — Pięć centów wstęp...

— Pięć centów od wiersza — huczało mu nad głową...

Rops, to akwaforta Ropsa błysło mu w głowie...

Nie, nie! to madame Delmonse! Madame Delmonse! wołał Winiarski powieszony na szczycie wieży katedralnej w Burgos, powieszony u serca największego dzwonu...

Ależ nie! To znowu Rops...

— Gdzież tam. To rzeczywiście madame Delmonse.

Kościotrup począł się ożywiać, poruszać, nabierać ciała, zgniłego, strupieszałego ciała, pokrytego wrzodami, wyszedł z trumny, stanął na środku pokoju — i jakaś ohydna, hydropiczna nierządnica poczęła tańczyć potwornego kankana...

A wokół niej ciżba ludzi — nie! nie ludzi, bo widział tylko oczy, oczy szakali, tygrysów, zachłanne, drapieżne, chciwe oczy.

— To taniec cnoty i wstydu...

Nierządnica rzucała się coraz bezwstydniej.

— To taniec harmonii i wesela...

Bezwstyd i ohyda tańca przekraczały granicę najwyuzdańszej rozpusty...

Rozległy się oklaski, wycia, wrzaski...

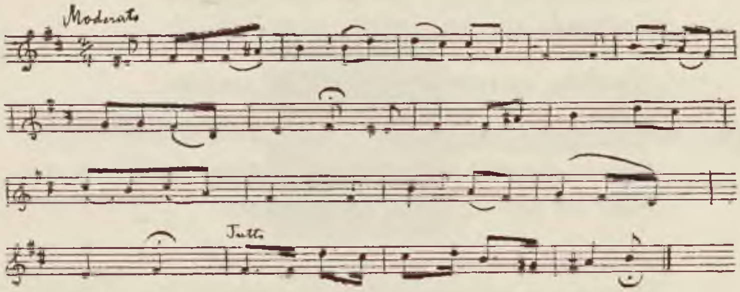
Potem wszystko się rozlało w jakąś rozpaloną, ognistą ciecz — całe morze płomieni poczęło szaleć wokół niego, jakieś płomienne kule, nie, serca, jęły skakać nad jego głową, potem wszystko pogasło — straszna, pusta, przeraźliwa noc...

Hanka! krzyknął i zemdlał.



(Ciąg dalszy.) Stanisław Przybyszewski.

Z poezyi ludowej duńsko-norweskiej.



SMOK).*

Dumna Ingelill siedzi w balkonie,
Do harfy złocistej przykłada dłonie.

— IGRALI NA MURAWIE. —

Pod futrem szkarłatnem bije we struny,
A wtem smok obrzydły przypełznął ku niej.

— Ingelill, Ingelill, kochaj mnie, proszę.
Ja tobie koronę złotą przyniosę. —

— Strzeż mię, Matko święta i wielki Boże,
Ażebym się miała kochać w potworze.

I nacóż mi kochać wstrętnego smoku,
Królewicz jest moim lubym od roku.

---

*) *LINDORMEN. D. g. F. 65.*

I nacóż mi kochać tak brzydki gad?
Wczoraj mi pierścionek na palec kładł. —

— Skoro nadaremne moje zaloty,
Pozwól sieść przy sobie, nie broń pieszczoty. —

Grodziła się odeń: przez białe chusty
Całowała smoka ciepłemi usty.

Muskała wargami zimny pysk smoczy,
Odtąd on dziewczynę dzierżył w swej mocy.

Smok schodził po schodach, pełznął w dziedzieńce,
Szła za nim Ingelill, łamała ręce.

A kiedy stawała w zamkowej sieni,
Wyszli jej naprzeciw bracia rodzeni.

— Słysz, dumna Ingelill, siostrzyczko miła:
Coś to się na smoczą drogę zgodziła? —

— Musiałam gadowi zdać się na wolą,
Los mnie nie uraczył szczęśliwszą dolą. —

Ozwał się gad szpetny, pełznąc przez zioła:
— Tam iść musi każdy, gdzie los go woła.

Twoj los na obłokach jest wypisany,
Przeznaczenie twoje nie zna odmiany. —

A wtem na zielonej stanęli łące:
Śród niej łoże stało od srebra lśniące.

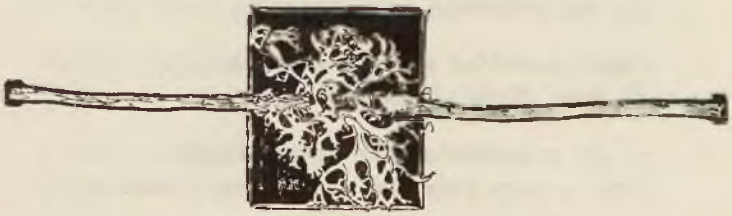
— Ingelill, Ingelill, kładź się na łoże,
Pragnę w twych objęciach doczekać zorze. —

Kładła się wieczorem przy zimnym smoku,
Rano królewica miała przy boku.

Wziął dumną Ingelill w swoje ramiona:
— Dla ciebie me berło, moja korona.

Dla ciebie, Ingelill, korona złota,
Zostaniemy razem po kres żywota.

— IGRALI NA MURAWIE. —



RYCERZ CISKAJĄCY RUNY).*

Pan Piotr i pan Oluf ławę zasiedli,

— TAM POD LIPĄ —

Wesołe rozmowy ze sobą wiedli.

— TAM POD LIPĄ CZUWA LUBA MOJA. —

— Panie Olufie, druże mój luby,
Czemu cię mierżą małżeńskie śluby? —

— Na cóż koniecznie szukać mi żony,
Pókim nie stracił lutni złoconej?

Mogę bezżennym zostać do truny,
Jak długo umiem podrzucać runy.

Niema niewiasty takiej na ziemi,
Bym nie zniewolił czarami memi. —

*) RIDDERENS RUNESLAET, D. g. F. 73.

Pan Piotr uderzył pięścią w róg ławy:
— Panie Olufie, nie bądź tak żwawy!

Jedną ja taką panią znam przecie,
Tej nie zniewolisz za nic na świecie.

Żyje w mym domu prześliczna pani,
Tej nie zniewolisz swemi runami.

Dwór w zakład stawię i ziem obszary,
Że pani Metty nie skuszą czary. —

— Ja w zakład stawię siwego konia,
Dziś w nocy przyjdzie szukać mię doma.

Mój ryngraf srebrny na zakład złożę,
Dziś jeszcze będzie na moim dworze. —

Pod noc opadły mgielne całuny,
Pan Oluf cudnie uderzył w struny.

Wydobył z harfy tony dźwięczące,
Do pani Metty biegły po łące.

Od strun złocistych brzmiał śpiew harfowy,
Słyszała pani Mette z alkowy.

Zerwie się z łoża, przeciera oczy:
— Podobno miałam iść gdzieś tej nocy?... —

Zerwie się z łoża, do siebie gada:
— Nawet mi drużki brać nie wypada. —

Pani Mettelil z maleńką psiną
Przez gaj różany poszła drożyną.

Do drzwi pukała z takiemi słowy:
— Panie Olufie, puść do alkowy. —

— Nikogom nie prosił do swej komory,
Nikogo nie puszczę śród nocnej pory. —

— Panie Olufie, wstań, puść mię, proszę,
Gwoli twych czarów męki przenoszę. —

— Chociażbyś miała cierpieć, niebogo,
W nocy przez próg moj nie stąpisz nogą.

Jużbym ci może otworzył sam,
Gdyby nie druh mój, twój mąż i pan.

Choćbyś mi była sercem oddana,
Bliżej masz jednak męża i pana. —

— Panie Olufie, otwórz mi, proszę,
Już futro moje ubrane w rosę. —

— Jeśli ci rosa na szkarłat pada,
Włosem je wywróć, to moja rada. —

— Skoro napróżno u drzwi twych nudzę,
Każ odprowadzić swojemu słudze. —

— Jasne jest niebo tego wieczoru,
Nietrudno ścieżkę znaleźć do dworu.

Pada miesięczny blask na rozłogi,
Możesz iść sama, nie zbłądzisz z drogi. —

Pani Mettelil z maleńką psiną
Przez las różany poszła drożyną.

Gdy pod zamkową podeszła bronę,
Jużci tam czekał pan Piotr na żonę.

— Witaj, pani Mette, małżonko miła!
Gdzieś-to za domem nocą bawiła? —

— Na błoń w miesięczną wyszłam jasnotę,
Zbierałam kwiaty modre i złote.

W gaju zbierałam rumiane róże,
Wszystkie rozpękły, stoją w purpurze.

Chodziłam sobie w ustroni leśnej,
Podsłuchiwałam słowiczej pieśni. —

— Ej-że, nie pieśni słuchałaś w gaju:
Podsłuchiwałaś, jak harfy grają.

Niewczesna twoja przechadzka nocna
Może nam dwojgu dokuczyć do cna.

Takie przechadzki wiodą do złego:
Bacz, pani Mette, nie czyń mi tego.

Nie pamiętajmy, co źle się stało.
Wróć, pani Mette, na pościel białą. —

Ledwie mu senność oczy przywarła,
Z objęć mężowych już się wydarła.

— Hańba Olufa harfie złoconej,
Która uwodzi uczciwe żony!

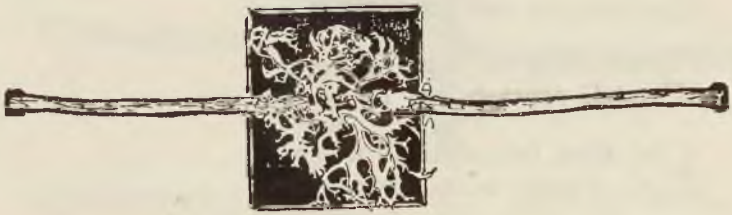
Hańba na lutnię Olufa złotą,
Która tak igra z niewieścią cnotą. —

A wtem wyjęła sztylet z rękawa:
— Niech-że nie ginie ma dobra sława! —

Pan Piotr się zbudził i przetarł oczy,
Ujrzał, że we krwi czerwonej broczy.

Porwał się żywo, skoczył z pościeli,
Ujrzał panią Mette w krwawej kąpieli.

Własny miecz głownią oparł o skałę,
— TAM POD LIPĄ, —
Ostrzem uciszył serce zbolałe.
— TAM POD LIPĄ CZUWA LUBA MOJA. —



KJELD RUNE I TOPIELICA *).

Kjeld Rune zbudował okręt wspaniały,
Jakiego wody nie oglądały.

DO GRENLANDYI ODWOZIŁ SWE ZŁOTO.

Złotem okuty na bortach obu,
Z imieniem Maryi po ścianach dziobu.

Krawędzie rufy miał wyzłacane,
Tam stało imię Jezus pisane.

Żaglowa tkanka jedwab był szczéry,
Jedną z barw słońce, drugą szafiry.

Reje poprzeczne srebrna robota,
Gniazda masztowe z jasnego złota.

Kjeld Rune podniósł kotew i wiosła,
Ażeby fala statek uniosła.

---

*) KJELD RUNE OG HAVFRUEN, D. g. F. 43.

Chciał wysforować statek z przystani,
A wtem go morska spotkała pani.

— Wróć się, Kjeld Rune! nadto-ś zuchwały,
Lub ci rozbiję okręt o skały. —

— Przenigdy w życiu to się nie zdarzy,
Bym topielicy stał na rozkazy. —

Rzuciła pierwszą falę z głębiny,
W sztuki prysnęły reje i liny.

Z jej dłoni fala skoczyła wtóra,
Żagle spłynęły wodą jak pióra.

Sternik u steru stał i powiada:
— Kto tutaj biegle runami włada? —

Klął się Kjeld Rune zacnego rodu:
— Ja kreślić runy umiem od młodu. —

Runy na korze pisał lipowej,
Spętał topielicę możnemi słowy.

Przez słów kreślonych tajemną siłę
Zaklął topielicę w kamienną bryłę.

— Kjeld Rune, Kjeld Rune, posłuchaj, proszę!
Siedm beczek srebra tobie przyniosę.

Siedm beczek srebra, ósmą ze złotem,
Ale mi kształt moj oddaj z powrotem! —

— Siedź sobie tutaj, cierp wieczne męki,
Próżno zbawienia czekać z mej ręki.

Krzycz do płynących tutaj pod skałą:
Zaklął mię Kjeld Rune swą dłonią białą. —

Kjeld Rune jechał przez wód odmęty
Od topielicy w kamień zaklętej.

— DO GRENLANDYI ODWOZIŁ SWE ZŁOTO. —



DZIEWCZYNA WILCZYCA).*

Byłam ja dziewczyna drobna i mała,

— DO PEŁNA —

W połogu mateczka moja skonała.

— POD ZIEMIĄ MATECZKA SPOCZĘŁA. —

Rodziłam się na świat wieczornej pory,
Mateczka skonała, gdy piały kury.

Osiem lat żył ojciec we wdowiej cnocie,
Bo nie chciał macochy dawać sierocie.

Lecz kiedy minęło osiem lat,
Samotnym i czarnym zdał mu się świat.

I wyjechał z domu w daleką stronę,
Przywiózł sobie hożą dziewkę za żonę.

Przywiózł dziewkę młodą, piękną jak dziwo,
Macochą być miała złą i zjadliwą.

**) MÖ IN ULVEHAM. D. g. F. 55.*

Właśnie plotłam włosy w oknie na górze,
Kiedy dojeżdżała w zamku podwórze.

Grzebień za pazuchę skryłam w tej chwili,
Biegłam do macochy witać najmilej.

Glaskałam ją po jej płaszczu pąsowym:
— Witaj, matko droga, w domu ojcowym! —

A ona mię nogą kopnęła srodze:
— Musiałam cię pierwszą spotkać na drodze! —

Zmieniła mię naprzód w małe nożyce
I kazała stępieć na całe życie.

Byłam nożycami jako wypada,
I pani i dziewka była mi rada.

Więc we dnie krajałam białe bisiory,
W złotej skrzynce spałam śród nocnej pory.

Macochę to mierziło,
Że mi tak dobrze było.

Więc mię odmieniła w wojenny miecz
I kazała z domu wędrować precz.

Tak miecz byłam, pełen cnoty i chluby,
Giermkom i rycerzom zarówno luby.

We dnie u rycerza wisiałam boku,
W skórzany pokrowiec kładł mię o zmroku.

Mierziło się macosze,
Że opływam w rozkosze.

Zaklęła mię w postać wilkołaczycy,
Przykazała mieszkać w lesistej dziczy.

Kazała, że nie mam wrócić do świata,
Aż się krwi napiję własnego brata.

Mniemała, że czar jej siły nie straci,
Bo nie było w domu ni sióstr ni braci.

I tak to trwało przez osiem lat,
Żem nie zzuwała wilczych szat.

Wtem, gdy się dziewiąta wiosna zbliżyła,
Zdarzy się macosze, że zastąpiła.

A gdy później nadszedł świąteczny czas,
Chciała do kościoła jechać przez las.

Przyległam nad ścieżką w leśnej gęstwinie,
Kędy byłam pewna, że mię nie minie.

Rozerwałam modry płaszcz u jej łona,
Ściągnęłam na ziemię z siwego konia.

Rozdarłam szponami całą pierś lewą,
Odkryłam na oścież serce i trzewo!

Wyjęłam maleńki braciszka płód,
Pobiegłam do lasu, gdzie żyłam wprzód.

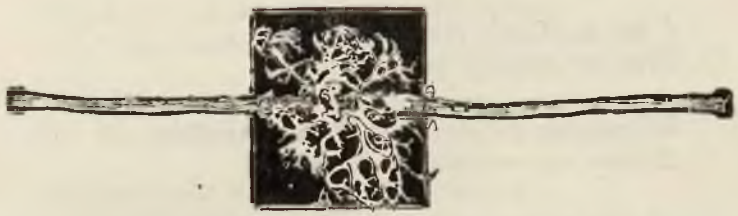
Uczyłam na drobne stawać nożęta,
By go mogła obmyć chrztu woda święta.

A ledwo z krwi brata kroplę upiłam,
Zaraz się w dziewczynę znów odmieniłam.

Sama go zaniosłam pod świętą wodę,
Jak niańka chowałam dzieciątko młode.

Potem mię klasztorne zawarły wrota,
— DO PEŁNA —

Poszłam służyć Maryi po kres żywota.
— POD ZIEMIĄ MATECZKA SPOCZĘŁA. —



DWIE SIOSTRY)*

Przyjechali dwaj panowie,
— A OBAJ CWAŁEM —
Do młodszej siostry swatowie.

— SWATY JESTEŚMY, DZIEWCZYNO,
PRZYJMCIEŻ DOBRZE SWATY. —

Młodszą siostrę poswatali,
Starszej siostry zaniechali.

Młodsza umie płótno tkać,
Starsza umie trzodę gnać.

Młodsza umie złoto prząść,
A starsza ni wełny trząść.

Starsza raz do młodszej powie:
— Siostro, chodźmy ku brzegowi! —

— Pocóż mamy iść nad morze?
Bielizna czysta w komorze. —

**) TOI SOSTEREN. Wersya z wysp Faeroer. Cf. Afzelius, Svenska folk-visor, II. 69.*

— Będę z tobą się kąpała,
Abym jak ty wybielała. —

— A kąp się ty do wieczora,
Będziesz dziś, jak byłaś wczora.

Zbielej ty jak śnieg na glebie,
Mój kochanek nie dla ciebie. —

Młodsza usiadła na skale,
Starsza ją strąciła w fale.

Młodsza pręży białe dłonie:
— Ratuj, siostro, siostra tonie! —

— Nie pomogą próżne jęki:
Ustąp mi kochanka ręki. —

— Oddam wszystko, co posiadam,
Lecz kochankiem mym nie władam. —

A wtem wicher południowy
Porwał ciało w nurt wirowy.

I znów powiał wiatr szeroki,
Na wybrzeże poniósł zwłoki.

A wiatr wschodni na ostatku
Rzucił ciało o bort statku.

Trzej rybacy tam się wieźli,
W wodzie martwy trup znaleźli.

Wzięli parę ramion sztywną,
Harfę z nich złożyli dziwną.

Wzięli włosy złotolśniące,
Skręcili z nich struny brzmiące.

— Idźmy z harfą na wesele:
Odprawia się w bliskiem siele. —

I usiedli w kącie sali,
W dźwięczną harfę swą zagrali.

Powiadała pierwsza struna:
— Moja siostra — narzeczona...

Druga rzekła takie słowa:
— Siostra siostry swej katowa...

Trzecia tak strwożyła gody:
— Moj kochanek — sam pan młody..

Panna młoda ogniem płonie:
— Przykry dźwięk w tej harfy łonie...

Pannę młodą krew zalewa:
— Przykrym głosem harfa śpiewa...

— Skoro widzisz, jak cię dręczy,
Struna czwarta niech zadźwięczy! —

Struna jeszcze nic nie rzekła,
Panna młoda już uciekła.

Coraz głośniej harfa brzmiała,
Panna padła i skonała.

PRZEŁOŻYŁ Edward Porębowicz.

CZĘŚĆ DRUGA.

ŚWIAT TRAGICZNY.

..quia nominor leo.
Phaedrus.

§ 1. Stróże tajemnicy najwyższej.



Architryklin o wysokiej powale dębowej;—świecznik żelazny zwisa z pośrodka skrzyżowanych belek. — W głębi, wielkie drzwi główne prowadzące do przedsionka. Nade drzwiami temi góruje tarcza herbowa Auerspergów, podtrzymywana przez wielkie sfinksy złote.

Na lewo, wielkie okno gotyckie — przez które widać, na widnokręgu, ogromne bory, otulone we mgły.

Na prawo, schody kamienne, zbudowane w murze: u szczytu schodów drzwi łukowo sklepione, wiodące do jednej z wież.

Zmrok już głęboki.

Sala jest tak rozległa, że robi wrażenie kolosalnej budowy z pierwszych dni średniowiecza. — Na prawo, w olbrzymim kominie płonie wielki ogień, oświecający scenę. Przestronną kapę tego

ogniska zawalają stosy zakurzonych foliałów. — Na otaczających komin, szerokich, prostych stołach z czarnego drzewa, widnieją porozstawiane alembiki, sfery astralne, starożytne lampy gliniane, olbrzymie kości zwierząt z zaginionych jakichś rodzajów, zioła zasuszone.

Na murach, trofea z broni starożytnej, sztandary wschodnie, — odwieczne portrety kasztelanek i feudalnych baronów niemieckich. Między zbrojami saraceńskiemi, ogromne sępy i wielkie orły płowe, przybite do ścian, z rozpostartemi skrzydłami.

W drugiej połowie sali, po prawej i po lewej stronie, drzwi; przede drzwiami zasłony z tkanin gobelinowych.

W pośrodku sali, stół zastawiony do biesiady; skóry lisów i niedźwiedzi czarnych okrywają podłogę przed dwoma siedzeniami staroświeckiej formy, ustawionemi u dwóch końców stołu i zwróconemi ku sobie.

Starzec ogromnego wzrostu, siedzący przy kominie, przegląda broń, którą tylko co skończył czyścić. Na sobie ma kaftan z wełny brunatnej, ściągnięty pasem skórzanym, i stare szarawary kawaleryjskie, z tegoż materyału i tejże barwy, co kaftan. Beret pruski okrywa mu rzadkie, białe włosy, przystrzyżone krótko. Na piersi jego błyszczy krzyż Żelazny.

SCENA I

MIKLAUS, sam.

No! — Karabiny, noże myśliwskie... wszystko świeci się, jak srebrne; manierka pełna kirszu; strzeżcie się, wilki!

Powstaje i ogląda się dokoła.

Ach! wieczór już zapadł.

Idzie do okna i patrzy w dal.

Co za wichura, tam, między sosnami! krzewy gną się do ziemi, nietoperze nie latają; pewny znak uraganu. Zamknijmy dobrze okno; wyziewy drzew, zdrowe za dnia, są szkodliwe pod noc, — zwłaszcza w pierwszych chwilach wiosny.

SCENA II.

MIKLAUS, HARTWIG i GOTTHOLD, wchodzą z lewej strony.

Są to dwaj starcy wyniosłej postaci, tegoż wzrostu co Miklaus, odziani jeszcze prawie po wojskowemu, i dość szlachetnego wejrzenia. Na piersiach mają również znaki krzyża Żelaznego.

GOTTHOLD.

Miklaus, czas zapalić światło przy stole biesiadnym.

MIKLAUS, schodząc i zacierając ręce.

I ogień również, bo koniec zimy dobrze się czuć daje!

Zbliża się do komina i dokłada do ognia.)

A zatem, doktór nie zejdzie i dziś do wieczerzy?

HARTWIG, z dreszczem.

Nie. — Brr! nie oszczędzaj chrustu; niech płomieniem bucha! — Oh! cóż za wilgoć sączy się tu z głazów ściennych! — Drugie skrzydło zamku jest, zdaje mi się, mniej przykre? Tu człowiek marznie; a dziwna, bo na dworze ciepło i powietrze staje się ciężkiem — stary znak zbliżającej się burzy.

GOTTHOLD, wstrząsając się również i oglądając się dokoła.

Bo też wiatr przedostaje się tutaj przez bluszcze, które od zewnątrz okrywają zielenią granit murów. Tak, sala ta jest wprost lodowata.

MIKLAUS, układając w stos na kominie ogromne polana.

A no, po cóż się tu przebywa tylko w dni uroczyste? Kiedyindziej, mistrz Janus jedynie zagląda tu od czasu do czasu...

Gotthold zapala wieloramienne świeczniki; Miklaus, powstawszy z przed komina, przygląda się odblaskom świateł na murach,

boazeryach i na poczerniałem złocie półksiężyców nad sztandarami. — Błękitniejące w łunie ognia długie miecze, krzywe szable i sztylety, nieruchome oczy ptaków drapieżnych, złocone węgły ram, lufy rusznic i karabinów, rzucają migotliwe lśnienia, które ożywiają zagasłe w starych portretach oblicza.

Co za zniszczenie! Spójrzcie na te obrazy! Twarde rysy reingrafów, piękne czoła prababek Jego Miłości Axela zatarły się; tkanin rozeznać już niepodobna.

HARTWIG.

A ta zbroja stalowa, cała demeszkowana złotem, zdobyta, w pierwszej wyprawie krzyżowej, przez księcia Elcyasza von Auersperg, rycerza Niemiec, na emirze saraceńskim Saharilu I^{ym}, cała oto stoczona przez rdzę, a drzewce kopii zbutwiało i pękło.

MIKLAUS, poważnie.

Ah! ani myślę ich czyścić; tu straszy!

Trzej weterani, stojąc teraz dokoła białego obrusa i świateł, odcinają się, w oświetleniu, od niewyraźnego tła cieniów, które spełzają ze sklepiennych załomów sali. Są to energiczne i troski pełne twarze; wiek podeszły i pozbawiające ruchu zajęcia w burgu nie przygasiły jeszcze pewności ich spojrzenia. Blizna straszliwa zbruździa od góry do dołu oblicze Gottholda; — lewy rękaw przy grubym kaftanie wojskowym Hartwiga wiewa od ramienia, a pusty jego mankiet przyszyty jest do piersi; — na czole Miklausa żłobi się, z prawej strony, głęboka zaklęsłość od kuli. A dokoła nich, w powietrzu sali, unosi się istotnie wrażenie czegoś niesłychanie uroczystego: podlegają mu wszyscy trzej, bez wątpienia, aczkolwiek starają się nie myśleć o niem; nadaje ono niezwykłą powagę ich słowom i milczeniom.

GOTTHOLD, do Miklausa.

Czy wiesz? Komandor opuszcza nas niezadługo. — Otton, służący jego, udał się w drogę, dziś rano właśnie, z tłomokami podróżnemi swego pana... a ztąd do granicy pruskiej daleko!

MIKLAUS.

Co! ten świetny pan wraca do siebie, nie zobaczywszy nawet doktora Janusa?

GOTTHOLD.

Tak. Dzisiejszej nocy. To uczta pożegnalna. — Postaw-no te kilka pęków rozmarynu i to naręcze gołębiego ziela, róż polnych i mięty pomiędzy świecznikami: kwiaty godową zaraz nadają zastawie powierzchowność. A teraz ten koszyk owoców; same najlepsze; ptaki je napoczęły. Nasz gość zna się na tem.

HARTWIG, prawie do siebie.

Dziwny gość, który nie chce nic widzieć!

GOTTHOLD, podejrzliwie.

Hm!... a który widzi wszystko.

HARTWIG, patrząc nań.

Ach! prawda: ty także... — tyś...

GOTTHOLD, nucąc.

Ruda broda, czarny włos,
Pilnuj się, nim padnie cios.

MIKLAUS, patrząc na nich.

Wyglądacie, Hartwig i ty, jakbyście byli zachwyceni tym wyjazdem?

GOTTHOLD, obojętnie.

Ot, człowiek sobie odjeżdża.

HARTWIG, mruczy pod nosem.

Człowiek blady, człowiek szkodliwy!

GOTTHOLD, cicho.

Nasz jest sino-blady, jak srebro! Barwa Judasza.

HARTWIG, po chwilce do Gottholda.

Z takiego lisa nie będzie dobrego futra, — jak mawialiśmy, między kolegami, w Heidelbergu... przed laty.

Wszyscy trzej siadają przy ogniu, który teraz rozpalił się i wesołym bucha płomieniem.

MIKLAUS.

A jednak młody nasz pan zdaje się lubić jego towarzystwo: — jest to przecież jego krewniak. Nieboszczyk hrabia von Auersperg przedstawił go niegdyś królowi...

GOTTHOLD, grzebiąc w ogniu.

Tak, ojciec wydobył go z nizkiego stanu, a on przez lat dwadzieścia nie zatroszczył się nawet o dziecko swego dobrodzieja. — Potrzeba było tej okoliczności spadku, procentów, aby mu przypomnieć, tam, przy dworze pruskim, że krewniak jego, hrabia Axel von Auersperg, książę niemiecki — i, co więcej, głowa linii starszej — żyje samotnie, ze zgrzybiałymi domownikami swymi, w zrujnowanym zamku obronnym, zgubionym wpośrodku olbrzymiego Czarnego Lasu. Wtedy umiał znaleźć przewodników, i sypiać w lepiankach, i wlec się konno tyle dni przez dróżki urwiste, świeże przeręby i drapiące się w górę gościńce!

HARTWIG, z troską na czole.

Tak, masz słuszność, Gottholdzie: ten człowiek nie jest przyjacielem. Nie zapomnę nigdy dnia jego przybycia, w ubiegłym tygodniu; — nie było-ż to w wilię kwietniej niedzieli? — Gdy, prowadzony przez pana Zacharyasza, przeszedł opuszczone sale zamkowe i znalazł

się nagle — on, cały uszamerowany orderami i krzyżami — przed młodym hrabią, — owóż, zamiast wyciągnąć doń obie dłonie, stał długą chwilę, jak osłupiały! — Nas reszty, starych brodaczy, wysłużonych weteranów, żołnierzy z dawnych wojen, domowników teraz, własnowolnie godzących się na to wygnanie, ale którzy, jak mi się zdaje, zarobiliśmy — każdy na swój krzyż Żelazny — z nieco większą trudnością, niż on — bez obrazy — na wszystkie swoje wstęgi i gwiazdy, — nas nie zauważył nawet.

GOTTHOLD, w zamyśleniu.

Nasz hrabia, w żałobie, która tak dobrze przypada do wyniosłej jego postawy, miał, powstając i przyjmując go z poważną prostotą, minę młodego lwa, który w oczach nosi swą rasę. Dumny byłem z niego, podobnie jak w dzień, gdy po raz pierwszy miałem zaszczyt włożyć mu floret w rękę. — I śmiem wierzyć, że dzisiaj Jego Miłość jest, niewątpliwie, jednym z najniebezpieczniejszych szermierzy w całych Niemczech, jeżeli nie najstraszniejszym.

HARTWIG, podnosząc głowę z uśmiechem.

No, ale Jukko, na przykład, nie dworniej się zachował w owej chwili względem tego podróżnika. — Niewiniątko-dyabełek! Przypominacie sobie, że trzymał jedną ręką na sforze trzy swoje zażarte charty, które warczały głucho na widok obcego, — i że uśmiechał się, chyląc głowę? I że spytał cichutko swego pana, czy ma je puścić na tego nieoczekiwanego krewniaka?

GOTTHOLD.

Ha! ha! figlarz!

HARTWIG.

Pociecha i wesele starego burgu — ten paź z jakichś wieków minionych! Co więcej: umysł to już krzepki,

przebiegły, i wprost zdumiewający. — Robi cały wrażenie długiej skry!

GOTTHOLD.

A zwinny jest jak cień.

MIKLAUS, z dąsem starczym.

To złośliwy mały czarownik, który zbyt wiele figlów mi płata.

GOTTHOLD, z uśmiechem.

Ten poczciwy Miklaus!... Dajże mu spokój. Rozgrzewajmy ostatnie nasze sny i rojenia przy jego pięknej młodości, jak grzejemy trzy nasze białe brody przy tym miłym i jasnym ogniu. Niech się bawi, — nawet nami; jego łotrzykowaty uśmiech ożywia nas, i błogo jest patrzeć na niego.

MIKLAUS.

No, no, niech i tak będzie! — Grzebiąc w ogniu; — Ale, wracając do rzeczy, zdumiewacie mię obydwaj, gdy chcecie mi dać do zrozumienia, że Jego Miłość wielkiej dla krewniaka swego nie żywi przyjaźni. A jednak, od pierwszego posiłku, wyciągnięto ze schowań srebrne naczynia stołowe i obrabowano najlepsze zakątki piwniczne.

GOTTHOLD.

Czegóż to dowodzi? Hrabia spełnia tylko obowiązek gościnności, oto i wszystko.

MIKLAUS.

A jednak herr Zacharias...

HARTWIG, zwracając się ku niemu.

Właśnie, właśnie — co mówi o nim stary intendent? To lis przecież; — a przytem zawiadowca spraw pieniężnych, godny czasów, gdy każdy wielki pan miał swego złotnika. Nie sądzę, aby komandor Kaspar zdołał oszukać go przy rachunkach spadkowych.

MIKLAUS.

Otóż właśnie! Herr Zacharias ma o nim bardzo wysokie i przychylne wyobrażenie!

HARTWIG, zdziwiony, do Gottholda.

Czyżby wiek osłabił zwolna jego rozum?

GOTTHOLD, w zamyśleniu.

To, co mówi Miklaus, nie zadziwia mnie wcale: zauważyłem, że od przybycia naszego jegomościa, herr Zacharias jest zatroskany jakiś, milczący... nie wiem co, zresztą... obchodzi go dokoła; — jest niespokojny.

HARTWIG.

Ma coś na myśli.

GOTTHOLD, ciszej.

A potem, on zna odwieczne tajemnice rodziny... nie licząc... tej STRASZLIWEJ.

MIKLAUS i HARTWIG, razem.

Cyt, Gottholdzie!

Trzej starcy oglądają się dokoła z jakimś rodzajem tajemniczego niepokoju.

Gotthold wstrząsa się i nogą, w wielkiem, gwoździami podbitem obuwiu, uderza gwałtownie tlejące czerwono polana: te, nagle, rzucają ogromną jasność płomieni i skier na salę.

MIKLAUS, po chwili, wracając do rozmowy.

Aby skończyć — ja sądzę, że hrabia Axel nie nudzi się bynajmniej ze swym spółbiesiadnikiem. — Jakto! w jego towarzystwie wypija przy jednej wieczerzy więcej wina, niż dawniej wypijał w ciągu dwunastu posiłków: zdaje mi się nawet, że nabiera do niego upodobania — i cieszę się z tego!

GOTTHOLD, podnosząc głowę.

Poczciwy Miklausie, powinienbyś znać nieco lepiej młodego swego pana.

HARTWIG.

On, posuwający wstrzemięźliwość aż do postów całodziennych!

GOTTHOLD.

On, który odmawia sobie wszystkich uciech właściwych jego wiekowi! on, który trawi najlepsze swe lata na czuwaniu, tam, na wieży, — i przez ileż nocy! — przy lampie nad nauką, chyląc się nad staremi rękopisami, w towarzystwie doktora!

HARTWIG, do Miklausa.

Czyliż nie możesz zrozumieć, że przez uprzejmość jedynie wnosi jego zdrowia? Pan zamku musi przyjąć godnie swojego gościa — i oddaje mu, co należy.

MIKLAUS.

No, no! — Jak się wam podoba... A ja wam powiadam, że nasz młody pan bawi się dobrze od tego długiego tygodnia. — Zważcie tylko, te wyprawy na łowy z komandorem...

HARTWIG.

Dajże spokój! Toć to u niego sposób, aby znaleźć się w samotności. Czyż zapomniałeś, że nade wszystko kocha milczenie? — Jeżeli zgadza się niekiedy na towarzystwo Jukka, to dla tego, że dziecko to staje się, przy jego boku, bardziej niemem, niż cień jego własny, i że czuje sam, jak głęboko, na śmierć jest kochany przez tego czujnego stróża o sokolich źrenicach! — Z kimkolwiek innym — chwila galopu na ogierze Wunder — i oto już znikł, przesadzając wąwozy i zarośla. Gunther i Job, dwaj najmniej starzy jego dojeżdżacze, nie próbują już oddawna dotrzymywać mu kroku — a komandor von Auersperg zawsze prawie powraca do zamku w pół godziny po wyruszeniu zeń.

MIKLAUS, z zastanowieniem.

Do prawdy? Ach!... to co innego! Myślałem, że krewniak pomagał nieco naszemu hrabiemu, przez ten dni szereg, w jego niebezpiecznych uganianiach się po lesie...

HARTWIG, z uśmiechem.

Axel von Auersperg nie potrzebuje niczyjej pomocy, gdy chce wytępiać dziki, niedźwiedzie lub orły: wskazując na ściany: patrz. — Niebezpieczeństwa!... Na świętego Wilhelma! wiesz dobrze, iż młody nasz pan tak jest silny, że dusi wilki jednem ściśnieniem za gardło, nie racząc dobywać noża myśliwskiego. Ciszej: Co zaś do tego, co mogłoby grozić mu z odległości, dwadzieścia tysięcy mieszkańców Czarnego Lasu, górników, trepiarzy, drwali, byłych żołnierzy, wszyscy! są mu oddani bardziej niż królowi!

MIKLAUS, namyślając się.

W istocie — w istocie, może i macie słuszność! — Zresztą, rzecz dość zadziwiająca, iż, jak mi się zdaje, nie

poprosił nawet mistrza Janusa, aby porzucił na chwilę swe prace i swą samotność i przyszedł przyjrzeć się nieco temu gościowi.

GOTTHOLD, po chwili milczenia.

Oh! doktór nie ma potrzeby oglądać ludzi, aby ich znać.

MIKLAUS, patrząc nań.

Hę?

GOTTHOLD.

Widzi ich, odgaduje ich w dźwiękach głosu tych, którzy mu o nich mówią.

HARTWIG, kładąc rękę na ramieniu Gottholda, z uśmiechem:

No, no! — Mistrz Janus nie jest czarownikiem. Nie chciałeś przecie rzec tego, Gottholdzie?

GOTTHOLD, poważnie.

Wiem, co mówię. Jeżeli doktór wcale się nie pokazał, to dla tego, że komandor jest sobie kimś obojętnym, który niewart spojrzenia i nie przedstawia, ostatecznie, nic ciekawego Chwila milczenia.

Ale, ale... czy zauważyłeś, że mistrz Janus nie starzeje się, Hartwigu? — A jednak, sporo lat już, odkąd jest tutaj!

HARTWIG.

Co to, to dalibóg prawda! Śmiejąc się: Możnaby pomyśleć, że nabożeństwo do gwiazd chroni od zestarzenia się.

Chwila milczenia.

Słychać tylko buzowanie się ognia w kominie.

GOTTHOLD, szczególnym tonem.

Co do mnie, znajduję, że jego oczy nie są podobne do oczów człowieka z naszego stulecia.

HARTWIG, z przymuszonym śmiechem.

Poczciwy Gotthold! chce nas teraz przestraszyć.

MIKLAUS, zniżając głos, tonem poufnym.

Wyznaję, że jest w nim coś, w tym mistrzu Janusie, co powściąga wszelki wylew przywiązania. Jego sposób świadczenia dobrodziejstw mrozi obdarzonych niemi. — Pamiętasz, Gottholdzie? Leczył, często i skutecznie, i nas, i wieśniaków, mieszkających u skraju Wielkich Lasów: nic i to nie pomogło. Człowiek nigdy nie czuje się swobodnym w jego obecności! Oto od dwunastu prawie lat, posługuję mu codzień, i dziwna rzecz poprostu... ale nie mogę się przyzwyczaić — nawet do myśli, że mnie spostrzegł kiedykolwiek.

HARTWIG, z zastanowieniem i również przyciszając głos.

A my sami, czyliż przyjrzeliśmy mu się dobrze kiedykolwiek? Ilekroć się ukaże, zdumiewa nas jakby człowiek nieznajomy. Gdy się odezwie — rzecz, zresztą, rzadka — to, co mówi, jakkolwiek zawsze nader proste, robi wrażenie odbicia między dwoma zwierciadłami: możnaby w tem gubić się do nieskończoności. — Posłuchajcie! najlepiej nie rozmyślać zbyt wiele o doktorze, — jeżeli chcemy zachować do śmierci nieco zdrowego rozsądku.

GOTTHOLD, poważnie, w tym samym tonie.

Jest to człowiek z natury swojej nieprzenikniony. Wrażenie, jakie robi, opiera się w umyśle człowieka wszystkim nawet potrąceniom życia codziennego. — Przy-

był tu, niewzywany, sam jeden, bez towarzysza, konno, w sam dzień tak nieprzewidzianej śmierci hrabiego Gerarda von Auersperg. Było to u schyłku wojen przeciwko temu tajemniczemu Napoleonowi, — a świtał właśnie pierwszy brzask poranny. Gdy pokazano mu testament, w którym hrabia (który, jak się zdaje, znał mistrza Janusa z pól bitwy) przekazywał mu pieczę nad wychowaniem swego syna, — patrzałem nań z uwagą; miał minę, jak gdyby wiedział oddawna i o zgonie i o tej woli ostatniej.

Od jakiegoś czasu, na dworze zachmurzyło się, i gwałtowne porywy wiatru zwiastują zbliżającą się burzę. — Godzina piąta wybija.

HARTWIG.

Słuchajcie: oto godzina, gdy nasza piękna i czcigodna pani zamku, Liswia von Auersperg, taka podobna do dawnych kasztelanek, schodziła, zamyślona i taka zawsze poważna, na odgłos organu w kaplicy zamkowej. Lat to już temu dwadzieścia.

GOTTHOLD, do Miklausa.

Wiesz — to okno w wielkiej galeryi, kędy słońce przychodzi konać co wieczór? Siadywała tam często, długie godziny, wsparta na framudze, blada, w sukniach żałobnych, z twarzą anioła, trzymając na kolanach swój modlitewnik o klamrach z emalii.

MIKLAUS, GOTTHOLD i HARTWIG, powstając i odkrywając głowy.

W Bogu niech spoczywają dusze zmarłych tego domu!

Siadają napowrót. Chwila milczenia; słychać szum deszczu na dworze.

HARTWIG.

No — dorzuć szyszek sosnowych do ognia, i dajmy pokój tym wspomnieniom. Lata — to wiatru podmuchy, a myśmy liście przez nie unoszone.

GOTTHOLD.

Mniejsza o to. Gdy Axel von Auersperg, w jakiejś chwili uroczystej, przerwie milczenie, zaiste, twardym i gromkim zagrzmi to dźwiękiem.

MIKLAUS, podnosząc głowę.

Wielkie wichry wielkiemi wstrząsają wrotami!

GOTTHOLD, prawie do siebie.

Ach! bo on miał to *zawsze* w naturze swojej, że stanie się człowiekiem... nadludzkim.

Łoskot grzmotów; sine błyski zbliżającej się burzy; dalekie szumy lasów.

MIKLAUS, powstając i idąc ku oknu.

No — to czas!... Niebo zmieniło się w ciągu naszych gawęd o przeszłości! Nawałnica wstrząsa górą całą. Na szczęście, wieżyca zamkowa mocno się jeszcze trzyma.

GOTTHOLD, powstając również i patrząc przez okno.

To prawda. Błyskawice przerzynają już widnokrąg sinemi zygzakami. Spojrzyjcie-no na sosny: patrzcie, jak piorun rozświecił głębokie pod niemi ciemności!

Wszyscy trzej przysłuchują się nawałnicy.

HARTWIG.

Aż tu słychać łamanie się gałęzi. Co za ulewa! Na szczęście, armaty są pod nakryciem i dobrze naoliwione, między blankami muru.

MIKLAUS.

Jakże podmuchy wichury smagają nasze stare okna! Burza wzmaga się. Nie będziemy mieli księżyca tej nocy.

Przeklęta pogoda! Niema wątpliwości, że komandor nie zdecyduje się na odjazd dzisiaj.

GOTTHOLD, z niepokojem.

Deszcz potokami roztrąca drzew listowie. — A Jego Miłość jeszcze nie wrócił z łowów! — Czy też aby wziął swój kaftan skórzany!

Ogromna błyskawica sino-fioletowa rozbrużdża mroki sali.

MIKLAUS.

No, teraz trzaśnie!

GOTTHOLD.

Posępna, ohydna błyskawica, nieprawda-ż?

MIKLAUS.

Zdawało mi się, że Piekło się rozwarło!

HARTWIG, po grzmocie przerażającym.

I to w przeddzień Wielkiej Nocy!

SCENA III.

CIŻ SAMI, JUKKO.

Jukko wchodzi z lewej strony, zadyszany, z rogiem myśliwskim na plecach, w sajaniku z czarnego sukna z szerokim pasem skórzanym, nabijanym kółkami żelaznemi, w zdobnej dwoma orlemi piórami czapeczce futrzanej, z oszczepem w ręku.

JUKKO.

Dobry wieczór, przodkowie!

Opiera oszczep o wyskok muru i zbliża się do nich.

GOTTHOLD, MIKLAUS i HARTWIG, zwracając się ku niemu.

Jukko!

JUKKO, wesoło.

Rozważacie zapewne, wszyscy trzej, zachwycający układ pór roku?

GOTTHOLD.

Rzuciłeś łowy? — Gdzie-żeś zostawił Jego Miłość?

JUKKO.

W pieczarze, o trzy mile ztąd, przyglądającego się, od czasu do czasu, nawałnicy.

HARTWIG.

A dzień?

JUKKO.

Ogromny ryś, wilczyca z całym pomiotem, dwa lisy i sęp. Sęp gubił się w czarnej chmurze, śród grzmotów i błyskawic, gdy kula naszego pana dosięgła go niespodzianie. Oba lisy zabiłem ja. — Ale... chodzi o coś innego... i chciałbym...

MIKLAUS.

Wypij tę szklankę wina reńskiego i chodź się ogrzać, szkaradny chochliku.

JUKKO, pijąc.

Dziękuję. Nie zimno mi. — Muszę wam powiedzieć...

HARTWIG, macając jego rękaw.

Jakto? nic nie masz pod spodem? Zapomniał kaftana!... Cały mokry, jak trawa po deszczu.

JUKKO.

To nic. — Dowiedzcie się zatem...

MIKLAUS.

Dalej-że, siadaj przy ogniu! Zachorujesz jeszcze! Ogrzej się!

JUKKO.

Niema o czem mówić, powtarzam wam! — Wyobraźcie sobie...

HARTWIG, z niepokojem.

Czyżby się coś złego przytrafiło hrabiemu?

JUKKO.

Nie! skoro ja tutaj jestem! — Ach! gdybyście wiedzieli!...

MIKLAUS, do Gottholda.

Dziecko zupełnie zmieniło się od wczoraj, nieprawdaż? — Czemu-ś taki blady, Jukko?

Jukko, skrzyżowawszy ręce na piersiach, patrzy na nich.

HARTWIG.

Mów-że prędzej. Niepokoisz nas.

JUKKO, tupiąc nogą z niecierpliwością.

Do stu piorunów!

HARTWIG i MIKLAUS, do Gottholda, który usiadł w milczeniu koło ognia.

Bądź-że cicho, Gottholdzie. — Do Jukka: Słuchamy cię.

JUKKO, zaczyna opowiadanie.

Wczoraj wieczór...

MIKLAUS, półgłosem.

Ależ grzmi! Słyszycie? hę?

JUKKO, wściekły.

Ah! — Więc ostatecznie, nie chcecie mnie słuchać?... Dobrze. Idę sobie! — Stuletnie gaduły, jakich drugich nie znaleźć!

GOTTHOLD.

Cicho! dzieci mają głos!

JUKKO, ciągle z uniesieniem.

Jakto? Będziecie wkrótce mieli trzy wieki, we trzech razem, — słyszeliście tysiące burz, piorunów, wichur i starć przerażających, i zwracacie uwagę na głupią zawieruchę... gdy ja chcę wam opowiedzieć cudowne zdarzenie?

GOTTHOLD.

No, no, ty głowo szalona!

HARTWIG.

Spokojnie! powoli!

JUKKO, jeszcze tym samym tonem.

Ale ja, który mam sam na siebie lat siedmnaście, ja dbam ot tyle o błyskawice, wicher, deszcz i wszelkie wstrząśnienia!

MIKLAUS.

Dobrze, dobrze. Opowiadaj, po porządku...

JUKKO.

Nie. Pójdę sobie lepiej. Nie dowiecie się nic — i koniec.

GOTTHOLD.

Będziesz ty teraz mówił, urwisie? Cóż to znowu się dzieje?

JUKKO.

Miklaus i Hartwig ciągle będą mi przerywali... a potem... Zresztą, nie: wy nie kochacie mnie...

HARTWIG, z uśmiechem.

Ach, ty zły duszku!

JUKKO.

Nie troszczycie się o to, co mi się zdarza!

MIKLAUS.

Powiedz nam, ale powoli...

JUKKO.

Do widzenia.

Jukko robi kilka kroków ku wyjściu; trzej starcy rzucają się za nim i zawracają go, nawpół uśmiechniętego, nawpól gniewnego jeszcze.

Wówczas, na tle kwiatów na stole, w blaskach świeczników, migotliwych czerwonościach ogniska i błyskawicowych fioletach, namyśla się chwilę, czarny i błyszczący, podczas, gdy trzej domownicy, zasiadłszy dokoła, oczekują słów jego z niewyraźną jakąś obawą.

Zaczyna mówić, uśmiechając się, jak gdyby zatopiony w jakiemś błogiem marzeniu — podczas gdy harfy zdają się, w oddalach, wtórzyć mu z głębin nawalnicy:

Wczoraj, w Lesie, gdy pierwsza błysła gwiazda, spotkałem małą czarodziejkę, oh! tysiąc razy ładniejszą od wszystkich wieszczek Harcu!... młodą dziewczynę. Śpiewała głosem świeższym od plusku źródełek i, kołysząc w jednej ręce koszyczek dzikich wisien, szła wolno pod sosnami. Przewiązała pierwiosnkami dwa ciemne sploty włosów spływające jej na gorsecik aksamitny. Od czasu do czasu głaskała wielkiego, bieluchnego wyżła, który skakał dokoła niej radośnie. Och! jakaż śliczna była! — Oczy jej miały słodycz zmierzchu wieczornego!

MIKLAUS, z uśmiechem.

Aha! młody Jukko już...

Gotthold zamyka mu ręką usta.

JUKKO.

Czas jakiś szedłem za nią, kryjąc się między drzewami. Nagle, rozgarnąłem zarośla i zbliżyłem się do niej. Zaledwie nasze spojrzenia skrzyżowały się, wymieniliśmy uśmiech przyjazny. A jednak, nie widzieliśmy się dotąd nigdy. Uścisnęliśmy sobie ręce, nie myśląc o tem sami. Biały towarzysz jej bacznie mi się przypatrzył; miał również minę, jak gdyby mnie poznawał: w chwilę potem, on i Holf, mój wielki chart, byli starymi przyjaciólmi. W milczeniu, oboje, jedno obok drugiego, przebyliśmy drogę wiodącą do tego potoku, gdzie zaczynają się dęby. Tam domek ma ojciec jej, Hans Glück, gajowy. Wszedłem. Stary leśnik podniósł oczy; potem, przyjrzawszy nam się dobrze, podał mi rękę i przyjął u swego ogniska. — Luiza postawiła dwie szklaneczki na białym obrusie. Ach, jakiż ona wyborny, przezroczysty kirsz umie robić! Dolewała nam podczas gawędki swą słodką rączką... Wieczór już był głęboki, gdy mówiła mi *do widzenia* na progu. Włożyłem jej na palec pierścionek rodzinny, który mi świętym był. — W milczeniu, pocałowała mię w czoło: w oczach jej była dziwna powaga, a dwie piękne łzy spłynęły z jej rzęs na me powieki. — Uciekłem! Byłem taki szczęśliwy, że rozpłakałem się w lesie. Dusiłem się ze szczęścia! Holf szczekał i ciągnął mnie za rękaw ku jej domkowi. — Ach! Luiza Glück! Pocałunek jej niebem jest — i ogniem zarazem: mam w duszy takie radosne, takie rozkoszne pragnienie jej, że oddychać nie mogę, taki jestem w niej zakochany, i tak ją kocham! — Pobierzemy się w jesieni: co najpóźniej! — Jestem... jestem szczęśliwy! — Tylko,

gdyby który z was trzech pozwolił sobie umrzeć przed mem weselem, — ach!... pogniewałbym się!

GOTTHOLD.

Będę twoim drużbą, Jukko.

JUKKO, śmiejąc się i ciągnąc Gottholda za długą brodę.

Dzięki, dzięki po tysiąc razy!

Wskazując na Miklausa i Hartwiga.

A oto dwóch świadków...

HARTWIG.

Jakto! — ależ ja patrzałem... przedwczoraj, na jej narodziny, tej twojej małej Luizy!

JUKKO, z zastanowieniem, patrząc nań.

Przedwczoraj? — W istocie, masz słuszność. Ale dla ludzi zwykłych to stanowi szesnaście lat i pół.

HARTWIG, półgłosem.

Już!

JUKKO.

Jeden powiada: „Już!“ drugi: „Nakoniec!“ Zaczynam wierzyć, że jest to jedno i to samo słowo, wymawiane naodwrót.

MIKLAUS, śmiejąc się.

Wydaje mi się dziwnem, że ojciec Glück — zresztą, dzielny żołnierz saski — daje ci córkę, mój przyjacielu.

JUKKO, kładąc mu rękę na ramieniu.

Jesteś bardzo szczęśliwy, że spotykasz jeszcze rzeczy dziwne, w twym wieku.

HARTWIG.

Miklaus ma słuszność, tym razem: ładny z ciebie chłopak, ale nikły jak cień.

JUKKO.

Mój poczciwy Hartwigu, a ciebie nie boli cień twej lewej ręki przy zmianie pogody?

HARTWIG.

Boli. — I dla czegóż to, mój synu?

JUKKO, rozchichotany.

Ach! spytaj o to kuli armatniej, która urwała ci jej rzeczywistość pod Lutzen. Chciałem tylko, abyś sam stwierdził, że cień jest przecież czemś także.

GOTTHOLD.

Dzieciak ma słuszność, że chce być szczęśliwym, i to co najprędzej! Wyście starzy zgryźliwcy. — Ale baczność! Słyszę... hę? — Te kroki...

MIKLAUS.

Tak, w galeryi Rycerskiej.

HARTWIG.

To nasz gość, myślę. — Żywo, Miklaus! Jeszcze kilka polan do ognia!

JUKKO.

A ponieważ nie widzę powodu, aby okazywać na jego widok radość pełną uszanowania, więc pozdrówmy go krótko i wynieśmy się ztąd.

GOTTHOLD.

To on, w istocie.

JUKKO, zgromadziwszy wszystkich trzech, tajemniczo.

Sluchajcie: — przyszły dziadek waszych synów chrzestnych przysłał mi dziś rano w podarunku dzban kirszu różowego, jakiego sam król nie kosztował. Zapraszam was, przyjaciele, spróbujemy go nieco w zbrojowni. Tam będziemy się czuli u siebie. Czekając na pana, na naszego wspaniałego Axela, rycerza lasów, księcia swej góry, władcę potoków — och! będę pił z wami za zdrowie Luizy Glück mej narzeczonej!

MIKLAUS, GOTTHOLD i HARTWIG, kładąc palec na ustach.

Cyt!

Kaspar von Auersperg wchodzi z prawej strony. — Postawa bardzo wielkiego pana. Lat około czterdziestu trzech. Płaszcz podróżny, z krótką peleryną z czarnego sukna. Pod nim, strój nader wykwintny. Wzrostu wysokiego. — Znaki orderowe na piersiach.

SCENA IV.

CIŻ SAMI, Komandor KASPAR VON AUERSPERG.

KOMANDOR, do siebie, patrząc na nich.

Nie. Nie ci. To głazy, — a dziecko oddane jest duszą i ciałem swemu panu. — Kto inny, marszałek dworu, ten herr Zacharias, — oto jegomość, do którego wziąć się należy.

JUKKO.

Jeżeli komandor von Auersperg pragnie zaczekać tutaj na Jego Miłość, oto wino z Przylądka, knaster, ogień i książki.

KOMANDOR.

Hrabia prędko powróci?

JUKKO.

Za godzinę najpóźniej.

Jukko i trzej starzy weterani kłaniają się i wychodzą.

Od kilku chwil, zdaje się, że uragan ucichł: grzmoty coraz rzadsze i dalsze; deszcz prawie ustał; niebo jednak, widoczne za oknami, jest ciągle chmurne i groźne.

SCENA V.

Komandor KASPAR VON AUERSPERG,
sam.

Wspaniali starcy! — To przypomina piękne pole bitwy, piękną zimę i piękną śmierć. Oglądając się dokoła:

Cóż za sowie gniazdo! — Książki, powiada. Historya starożytna, zapewne? Zobaczmy. Otwiera jeden z foliałów.

Wino ujdzie jeszcze; jest równie stare prawie, jak ci, co je zlewali w butelki, a cudowny gatunek jego znosi jednak ten wiek, nie tracąc mocy. Czyta:

Traktat o wtórych Przyczynach.

Ha! ha! wyborny tytuł!... *Traktat o wtórych Przyczynach!* — Ta gwara przedziwnej wydaje mi się jasności!... Ach! ach! — Idźmy dalej nieco. Czyta znowu:

Procul a delubro mulier semper!

Ta dewiza nie jest, przyznać trzeba, nader dla kobiet uprzejma. Czyta jeszcze:

Rozdział pierwszy: *Sędziowie milczący.* — Tam do dyabła!

„*Każde słowo, w okręgu swej działalności, tworzy to, co wyraża. Miarkuj zatem ilość woli, jaką nadajesz zmyśleniom swego ducha.*“

Zamyka książkę i rzuca ją między inne.

Bajdy!

Ziewa. — Potem, zastanowiwszy się nagle i wodząc okiem po przedmiotach dokoła siebie:

Stało się; nie wątpię już o tem. — Mój młody gospodarz wplątał się, najoczywiściej w świecie, w Hermetykę, kabałę i historye sabbatowe! Mistrz Janus to, z pewnością, tchnął weń i nieustannie wsącza mu w głowę te grube zabobony... które długo jeszcze będą zakałą Niemiec. Rozmowy ich toczą się zapewne o Świętej-Vehmie i o... Różokrzyżowcach? Tych ostatnich mieliśmy, rzeczywiście, w rodzie naszym: ale... wówczas gdy to było w modzie. — Pojmuję doskonale, że posępny ten szaleniec nie uważał za stosowne, do dnia dzisiejszego, ukazać się moim oczom profana. W dwóch lub trzech sarkastycznych uwagach załatwilbym się z nim w najcudowniejszy sposób.

Chwila milczenia. Siada przy stole i nalewa sobie kieliszek wina.

Wyznaję: ta siedziba, razem ze swymi mieszkańcami, robi na mnie wrażenie czegoś niepodobnego do prawdy. Sam sobie wydaję się w niej paradoksalnym. Człowiek opóźnia się tu o trzysta lat, co do minuty. Sądziłem, że egzystuję w zaraniu XIX wieku? — Złudzenie!... Przestępując ten próg, spostrzegłem się, że żyję za cesarza Henryka, w dobach wojen o inwestyturę.

Niech i tak będzie. — Za zdrowie wspomnianego cesarza! Pije.

Otóż tedy, chciałbym przejrzeć jasno to życie niezwyczajne, jakie prowadzi się tutaj. Co do mego szlachetnego krewniaka, czuję zaledwie bardzo umiarkowaną sympatyę do tego młodego bohatera z innego jakiegoś wieku. Ma on, zaiste, charakter... z najbardziej nieuchwytnych. — Zresztą, człowiek, który, zbliżając się do czterdziestki, troszczy się o kogobądź prócz siebie, niegodzien jest żyć. Chwila milczenia.

Przypatrzmy się, jednakowoż: jest to szlachcic z rodu i postawy, i — muszę przyznać — jeden z najlepiej przedstawiających się, mimo nieco posępnej miny. Powierzchowność ma nawet — ze swym wzrostem wysokim — wprost okazałą, a niebrak mu przytem pewnego rodzaju dzikiej wytworności... która przy dworze, gdzie szaleje się za nowością, przepyszne robiłaby wrażenie. Jakbym widział piękne wirtuozki królowej, w wieczór przedstawiania go, — księżnę von Sabelsberg, hrabinę von Walstein, — ah! ah! Powodzenie pożarne na pierwszy rzut oka! lub musiałbym się chyba mylić zdumiewająco. — Umiał przyjąć mnie ze skończenie wytworną uprzejmością, i okazał się prawdziwym wielkim panem, ustępując mi, pomimo ruiny własnego majątku, swoją część spadku... Jestem pewny, że, przy dobrem kierownictwie, hrabia Axel von Auersperg mógłby mi zdobyć, w otoczeniu króla, pewne wpływy... bardzo cenne i użyteczne; — o tej starej sprawie jego ojca i Skarbów tak już dziś zapomniano!

Po chwili milczenia: — Oh! ta moja dawna ambicya, tylekroć zawiedziona do dnia dzisiejszego! Chmurnie, patrząc dokoła siebie: To także czarownica nieodparta!

Spojrzenie jego zatrzymuje się na stole.

Oto wieczerza pożegnalna przed moim odjazdem. Stół, doprawdy, mile uderza oko! — Te ładne kwiaty leśne... wszystko bardzo dobrze i w doskonałym smaku.

Chwila milczenia.

Szczególnem powietrzem oddycha się tutaj! Mam wrażenie czegoś nieznanego w tej starej siedzibie. — Cóż znowu? Sądzę, że zyskałem pewną przewagę nad moim młodym kuzynem: tego rodzaju natury są, doprawdy, dziecięco słabe. — Jestem starszy od niego o jakieś lat dwadzieścia, co, w połączeniu z pokrewieństwem, umożebniło mi pewną swobodę wyrażeń, która wprędce stała się poufałością, pewien ton opiekuńczej wyższości w na-

szych pogawędkach, krótko mówiąc, jedną z tych pozornych niedbałości w mowie, których dobrze wyrachowana szczerość, jeśli tylko umiejętnie ją stopniować, doprowadza nieznacznie daną osobę do cierpliwego znoszenia niegrzeczności wprost już... Spróbuję, dzisiejszego wieczora, zwalczyć wpływ tego mistrza Janusa. Udowodnię przy wetach memu gospodarzowi, że kamień filozoficzny to umiejętność torowania sobie drogi w świecie i zabierania, w dobry czy zły sposób, miejsca, jakie się pragnie zająć. W zamyśleniu: Jak gdyby wszystkie fantasmagorye ziemskie i wszystkie sentencye filozofów mogły równać się z jednem spojrzeniem ładnej kobiety! — A młodość, niestety! piękna młodość! — Oto magia prawdziwa! — Piękne stworzonko — oto co się rozumie natychmiast! bez wysiłku!... Oto co jasne jest każdemu!

Przygląda się kryształowi swego kieliszka pod światło kandelabrów.

Skłonny byłbym myśleć, że wpływ to chmurnego sąsiedztwa lasów, potoków i rozdołów, spotęgowany przez osamotnienie zupełne, wykarmił w jego duchu niedorzeczne owe idee.—Bah! choroba ta dałaby się wyleczyć w tydzień, tam, przy dworze... i pewny jestem, że w moich rękach młody ten człowiek stałby się jednem z najużyteczniejszych narzędzi.

Powstaje i przechadza się tam i z powrotem po sali.

Bądź co bądź, jestem jakiś niespokojny. — Nie może być rzeczą naturalną, aby chłopak, obdarzony, niezaprzeczenie, umysłem bynajmniej nie pospolitym, godził się, bez nacisku jakiegoś, na życie niedźwiedzie, jakie pędzi tutaj hrabia Axel von Auersperg! Największe zamiłowanie do nauk tajemnych nie usprawiedliwiałoby takiego zamknięcia się, takiego długiego, dalekiego i dobrowolnego wygnania. — W tem jest coś innego. — Ciszej i tonem niezwykłego zasta-

nowienia, obrzuciwszy przedtem dokoła salę milczącem spojrzeniem. — Coś tu jest.

Namyśla się, patrząc z roztargnieniem na migoty błyskawic.

Oto cały długi tydzień spędziłem już w tej zapomnianej, blankowanej, odwiecznej jaskini, której architektura, okolica i cisza niczem nieprzerywana mogłyby dziś zajmować jedynie czczych ideologów; niema żadnej wątpliwości, że nie nudziłbym się w niej tak długo, gdyby nie to niewyraźne a uparte wrażenie czegoś nieznanego! — Ponieważ nie rozwiało się ono jeszcze, więc widocznie ma jakąś podstawę, a... ja nie lubię marnować czasu. Pragnąłbym bardzo wydobyć na światło dzienne tę zagadkę. — Brać, przed czasem, na spytki tego pana Zacharyasza byłoby snadź nieroztropnie; ponieważ wszakże dzisiejszego wieczora opuszczam, bez żalu, niepokojącą tę siedzibę, mogę, za chwilę, gdy stary intendent...

Spostrzega wchodzącego pana Zacharyasza.

Ale oto on sam.

SCENA VI.

KOMANDOR KASPAR von AUERSPERG, Herr ZACHARIAS.

Herr ZACHARIAS, w progu, patrząc na komandora.

Nadeszła godzina. Powinność każe mówić.

Zamyka drzwi za sobą z ostrożnościami.

KOMANDOR, patrząc nań, do siebie.

Jeżeli i ten także jest czarownikiem, przyznać trzeba, że Dyabeł zwleka z porwaniem go?

Przyglądając mu się od stóp do głów.

No! ależ... on ma ze sto lat, ten chłopaczek! — Zbadajmy nieco te szczątki człowieka: oko przysłonięte,

dyplomatyczne, usta subtelne... tak, lecz nos nie dowodzi wielkiej bystrości. Dobrze. Głośno: Dobry wieczór, herr Zacharias! — Co panu jest? — Na moją tabakierkę, wydajesz się pan wzruszonym.

Herr ZACHARIAS, poważnie, zbliżając się do Komandora.

Miałem zaszczyt niejednokrotnie spotykać Waszą Miłość, przed laty mniej więcej dwudziestu. — Wasza Miłość byleś przyjacielem nieboszczyka hrabiego i musisz kochać jego syna.

KOMANDOR, do siebie.

Przywiązanie jest jego słabą stroną. Głośno: Młodzieniec ten ma przyszłość przed sobą, i gotów byłbym do wszelkich ofiar, aby tylko ujrzeć go na odpowiedniem w świecie stanowisku.

Herr ZACHARIAS.

Rozmyślałem we dnie i w nocy od przyjazdu Waszej Miłości. Chwile życia mego są policzone; obecność Waszej Miłości jest sposobnością niespodzianą, z której skorzystać muszę.

KOMANDOR.

Moja obecność?

Herr ZACHARIAS, zajęty swemi myślami.

Tak. Chciałbym odkryć Waszej Miłości coś niesłychanego. Rzecz... Oh! najdziwniejszą z rzeczy. — Jeżeli Wasza Miłość chce ją usłyszeć, muszę się śpieszyć: niełatwa ona do opowiedzenia... czas mija — a Wasza Miłość odjeżdża dzisiejszej nocy.

KOMANDOR.

Jesteś zbyt uroczysty, abyś mógł mówić poważnie, herr Zacharias!

Herr ZACHARIAS.

Wasza Miłość, mówiąc, ważę zawsze wszystkie wyrażenia, jakich używam. Otóż, jest poprostu niepodobieństwem znaleźć ściślejsze do oznaczenia faktów, które chcę przedstawić Waszej Miłości. Krótko mówiąc, jeżeli istnieje na ziemi jaka tajemnica, zasługująca na nazwę SZCZYTNEJ... to, niewątpliwie, jest nią ta właśnie. Sama myśl o niej... sprawia mi zawrót głowy... Wasza Miłość widzi; jestem niespokojny — że mówię o niej!

Szum burzy. Herr Zacharias ogląda się dokoła.

KOMANDOR, po chwili.

Tajemnica ta obchodzi nas obu, hrabiego i mnie?

Herr ZACHARIAS.

Przede wszystkiem. Potem, ziemię niemiecką. Potem... świat cały.

KOMANDOR, do siebie.

Zapleśniały starowina! — Hm! Szczerość nieoczekiwana, i która wprawia mnie w kłopot. — Jaki ton przybrać? Obojętności czy zaciekawienia? — Obojętność jest lepsza: będzie starał się przekonać mnie.

Głośno: Mów zatem. — Ale czemu-żeś taki poważny, jak ambasador ze Wchodu? Zatrważasz mnie. — Czy bardzo długa ta twoja historya?

Herr ZACHARIAS.

Sądzę się w prawie zapewnić, że Wasza Miłość nie pożałuje, wysłuchawszy mnie do końca. — Za pół godziny,

co najwyżej, hrabia będzie tutaj z powrotem: mam więc ściśle czas na opowiedzenie wszystkiego, a milczenie dusi mnie od — och! od lat tylu!

Komandor nalewa sobie wina; siedzi, z uśmiechem na ustach i skrzyżowanemi niedbale nogami, wsparty łokciem o stół i cały w blaskach świeczników. Herr Zacharias stoi przed ogniem, z ręką na oparciu drugiego siedzenia.

Zniżając nieco głos:

Wasza Miłość nie przypomina sobie nadzwyczajnego zdarzenia, które zaszło w Niemczech — a miało swoje echo w całym świecie — w epoce śmierci hrabiego Gerarda von Auersperg?

KOMANDOR, z uśmiechem.

Zdarzenia... nadzwyczajnego?

Herr ZACHARIAS.

Tak.

KOMANDOR.

Nie widziałem nigdy nic nadzwyczajnego pod słońcem, mój panie Zacharyaszu! — Wyjąwszy...

Nagle, jak gdyby uderzony dalekiem wspomnieniem, wstrząsa się, spogląda bacznie na starego intendenta i chwilę siedzi bezmownie. — Potem, głosem zmienionym i poważnym:

Zaczynaj!

Na to słowo, herr Zacharias wydobywa z pod swej opończy mapę wojskową, oraz różne papiery, rozwija je w milczeniu i rozpościera kolejno na stole przed oczyma komandora von Auersperg.

§ 2. Herr Zacharias opowiada.

Herr ZACHARIAS, tonem człowieka, który, z początku, wygłasza rzecz napisaną i nauczoną oddawna, — a potem, zwolna, ożywia się i zaczyna improwizować.

Oto akta i dowody; przenoszą nas one ściśle w ową chwilę Dziejów naszych, gdy zdarzenie, o którem mówię, wyszło na jaw. Jęczeliśmy wtedy pod ciosem najazdu, który dzisiaj wydaje nam się czemś w rodzaju snu straszliwego.

Do kolejnych i szybko po sobie następujących nowin o porażkach poniesionych przez nasze wojska w Niemczech środkowych, przyłączyły się wkrótce pogłoski, nawpół urzędowe, że nieprzyjaciel gotuje nagły ruch zaczepno-odwrotowy ku rozmaitym państwom położonym na tyłach jego pochodu pozornego. Zaraz też miasta w pasie, który uważano za zagrożony, — (elektorski i bogaty gród frankfurcki w szczególności) — jęły drżeć w przeczuciu łupieztw i gwałtów, których można było spodziewać się po żołdactwie francuskiem, sądząc z okropności, jakiemi nowozaciężni zwłaszcza odznaczyli się w prowincyach już zagarniętych! — Napoleon zdawał się zagrażać ze wszystkich stron odrazu; — bo z niezwykłym tym wodzem, który umiał, w przeciągu trzech dni, znaleźć się nagle o trzydzieści mil od miejsca, gdzie go przypuszczały nasze obliczenia, — należało ponurych oczekiwać niespodzianek. Popłoch ogarnął wszystkich: nie wierzono nawet, aby był czas zużytkować pożyczkę wojenną, tylko co zrealizowaną. Wasza Miłość przypomina sobie wejrzenie ówczesne miast środkowych, te domy pozamykane, tę żałobę, tę strzelaninę karabinową w oddaleniu, te nieustanne grzmoty dział, — te rozdzwony alarmowe, niesione przez wiatr po wszystkich drogach...

KOMANDOR.

Pomińmy to.

Herr ZACHARIAS.

Tymczasem, nawet w państwach, na które padł taki postrach, nie znano rzeczywistych rozmiarów niebezpieczeństwa, którego klęskę mogła, w tej samej chwili, spotęgować jeszcze jedna z najniezwyklejszych okoliczności finansowych. Mianowicie, na pięć tygodni mniej więcej przed owemi opłakanemi pogłoskami, gwałtowny napływ złota, będący wynikiem nierozumnej jakiejś, we wszystkich kątach kraju, paniki i, jednocześnie, niczem również nieumotywowanego prądu zaufania — (zjawiska takie często się powtarzają w czasie wojny), — zalał podziemia Banku narodowego we Frankfurcie.

Rozwijając pożółkły, stary arkusz papieru:

Nadaremnie, chcąc zatamować ten potok, Bank ogłosił oddawna, że, dla braku pomieszczenia, nie może już przyjmować innych depozytów jak w sztukach złotych. Oto wyszczególnienie sum i walorów, złożonych w nim wówczas i upakowanych, na każdy przypadek — pod nizkiemi sklepieniami wielkiego Skarbca, — w... czterystu przeszło beczułkach żelaznych, opieczętowanych pieczęciami Związku:

Gotówka, złoto w sztukach monety, sumy kas oszczędności, gwarancya biletów bankowych, unieruchomione przez nagłą przerwę w interesach i handlu normalnym całych Niemiec: 42 miliony talarów. — Gotówka pochodząca ze świeżych emisyj pożyczki wojennej: 76 milionów talarów, w monecie złotej. — Worki drogocennych depozytów powierzonych strażniczemu miastu, dyamenty szlifowane, klejnoty wielkiej ceny, różne drogie kamienie powiązane w naszyjniki i łańcuchy, perły czystej wody, wyroby złotnicze, oprawy artystyczne, sztaby i bryły szczerego

złota, ogólnej wartości 78 milionów talarów. — Przesyłki, w monecie złotej, poszczególnych banków Wirtembergu, Bawaryi, Saksonii i Wielkich Księztw, w charakterze sum umieszczonych bezprocentowo pod opieką miasta państwowego, 75 milionów talarów. — Depozyta różne wysokich rodów szlacheckich i mieszczańskich, 26 milionów talarów, zawsze w złocie obrotowem. — I t. d., i t. d. — Ogół wartości, nagromadzonych w ten sposób w lochach podziemnych i w pomocniczych sklepach Skarbca: okolo 350 milionów talarów, czyli, jeśli doliczyć przewyżkę pominiętych dopełnień, aktywa nieprawdopodobne, niezmierne, przechodzące miliard sto milionów franków francuzkich i przedstawiające zawieszony nagle obieg przeszło dwóch trzecich ogólnej liczby monet złotych, stempla równie obcego, jak niemieckiego.

KOMANDOR, z wielkiem zajęciem, przyglądając mu się bacznie.

Tak, wiem Ciągnij dalej.

Herr ZACHARIAS.

Oto dlaczego, gdy nowina o ruchu najeźdźczym ku temu punktowi Niemiec ostatecznie zyskala wiarę, naczelna Komisya finansów Związku uznała za stosowne wysłać do zawiadujących Skarbcem przestrogę następującą: — „Ponieważ urzędowo przyznanem jest, że znaczna część tych walorów ma przeznaczenie wyłącznie wojenne, cesarski zwycięzca, gdyby zwrócił się na Frankfurt i zajął go, mógłby z całą prawowitością — zasłaniając się zapobiegawczym i obronnym krokiem wojennym — obłożyć sekwestrem całość tych olbrzymich aktywów. Ponieważ, dalej, wszelkie późniejsze próby ich odzyskania mogłyby — jakikolwiek będzie wynik kampanii — spotkać się z niezwalczonemi trudnościami czy zaprzeczeniami, — należy

przeto, stosownie do zwyczaju obowiązującego w takich wyjątkowych okolicznościach, przedsięwziąć natychmiast środki nagłe, aby walory te skierowane zostały niezwłocznie ku jakiemuś punktowi terytoryum, oddalonemu od pola operacyj wojennych — i położonemu, o ile można, po za obrębem przypuszczalnych zamachów nieprzyjaciela.“ — Otrzymawszy to postanowienie, Rada finansowa Banku narodowego, zgromadziwszy się na posiedzeniu tajnem, wybrała, do kierownictwa tem ciężkiem i pełnem niebezpieczeństw przedsięwzięciem, trzech z pomiędzy najbardziej cenionych dowódców, którzy byli obecni na posterunkach wojennych, sąsiadujących z miastem; byli to generał książe von Muthwild, generał hrabia von Thungern, i wreszcie generał hrabia Gerard von Auersperg, który objął dowództwo naczelne. Chwila milczenia.

KOMANDOR, w zamyśleniu, do siebie.

Tak. Jest to fakt w dziejach Niemiec, który został stanowczo zagadkowym.

Herr ZACHARIAS.

Według jego oceny, dwa tysiące kawalerzystów saskich i ośmdziesiąt jaszczyków amunicyjnych wystarczały zupełnie. Wszelkiego rodzaju rozporządzenia, mające na celu zapobieżenie możebnym bezpośrednim zamachom nieprzyjaciela, zostały tejże chwili rozesłane dowódcom dywizyj otaczających miasto. Miano rzucić się śmiało ku południo-zachodowi, podążyć drogami niewytkniętemi, — hrabia von Auersperg na czele oddziału, hrabia von Thungern przy głównej, środkowej jego części, książe von Muthwild w tylnej straży, — i, zrobiwszy wielkie koło, dojść do miejsca warownego, znanego tylko trzem wodzom wyprawy.

W wieczór tegoż dnia, czterysta drogocennych beczułek żelaznych, pod zbiorową etykietą, opiewającą narzędzia wojenne, amunicyę, i ciężkie pociski, zostały podźwignięte, władowane i unieruchomione za pomocą łańcuchów i lin na ośmdziesięciu jaszczykach; wszystko to w głównym podwórcu Banku narodowego. — Bank sam, opuszczony, na rozkaz z góry, przez wszystkich pełniących służbę urzędników, otoczono, na czas tej operacyi, szwadronami eskorty, które, defilując potem przed przysionkiem, przyjmowały każdą parę wozów między pięćdziesięciu kawalerzystów.

Około północy, opuszczono miasto, trzymane, przez pogaszenie latarń ulicznych, w zupełnej ciemności. — Ku jakiej obronnej miejscowości, umówionej między komendantami i zarządcami Skarbca, miano zwrócić się naprzód?... Niewątpliwie, dano o tem później wiedzieć władzom najwyższym. — Bądź co bądź, pewnem jest, że skutkiem ponawianych ostrzeżeń ze strony wysłanych na zwiady patrolów, po dwóch dniach marszu wprost ku południo-zachodowi, hrabia von Auersperg, mając snadź prawo obawiać się niespodzianego zaskoczenia od frontu, zmienił samowolnie plan pochodu i, na własną rękę, w imię strasznej odpowiedzialności ciążącej na jego honorze wojskowym, zdecydował się, nie ufając już nikomu, zawiadomić kogo należy, dopiero po wypełnieniu *istoty* ciężkiego zadania, które przyjął na siebie.

KOMANDOR, blady i uśmiechnięty.

Siadaj, Zacharyaszu: jesteś stary; to opowiadanie nuży cię. Wypij parę kropel tego wina — lśniącego i słonecznego jak wszystko złoto, o którem mówisz! — To cię pokrzepi.

Herr ZACHARIAS, który odmówił gestem i ukłonem, i który zwolna tonąć poczyna w jakimś rodzaju marzenia wizyonerskiego:

— Wówczas to, zapewne, — w głębi jego pamięci — powstało wspomnienie o niezdobytym burgu, zapomnianym w spokojnych a straszliwych lasach, setkę mil długich. Przesmyki ich, pamiętne jego latom dziecinnym, wydały mu się do przebycia dla wązkich wozów, które ciągnęły za nim, dźwigając znaczną część bogactwa Niemiec! — Przypomniał sobie też, niewątpliwie, że w tych samych lasach, niepogwałcalna kryjówka podziemna, wykopana kiedyś przed wiekami, — ciemnica o dostępach znanych tylko jemu jednemu, mogła, przynajmniej do przypuszczalnego w przyszłości zawarcia pokoju, przechować — wiernie! — to, coby powierzono głębokim jej wnętrznościom. Ku temu zatem miejscu postanowił ostatecznie poprowadzić — drogami zupełnie bezpiecznemi od możliwości zetknięcia się z wrogiem — wojsko i skarby, za które odpowiadał przed ojczyzną... I mianowicie — niech Wasza Miłość raczy zważyć — *aż w ten zapadły zakąt, gdzie się dziś znajdujemy.*

Komandor drgnął — i patrzy nań z osłupieniem.

Niema wątpliwości, że w łonie tego nieskończonego Lasu, w okolicach tego burgu, pod jakiemś skaliskiem, okrytem dzisiaj drzewami i ziołami, musi kryć się wyjście z jednego z tych rozległych podziemi, wyrytych zapewne jeszcze przed średniowieczem, które łączyły się między sobą tajemnemi przejściami, znanemi tylko głowom feudalno-wojskowego rodu, władającego nad tą okolicą, — a służyły, ongi, na wypadek oblężenia, do zaopatrywania burgu w żywność i do wycieczek nocnych... Przypomniawszy sobie, bez trudu, drogę do niezapomnianego tego wyjścia — które, w tej górzystej okolicy Wielkich Lasów, musi otwierać się, do wewnątrz, na jakiejś spadzistości wielkiej...

KOMANDOR, przerywając mu.

Odtąd, nie słucham już. — Gdyby nawet przypuścić w istocie, że hrabia von Auersperg, w fantastycznem postanowieniu, jakie mu przypisujesz, myślał ukryć na swojej własnej, rodowej ziemi, i to nie budząc podejrzeń, owe ogromne „zapasy amunicyi," — jakże uwierzyć, by chciał zdać się na łaskę dwóch tysięcy ludzi, którzy, bez żadnej wątpliwości, jutro zaczęliby mówić, z początku między sobą, o szczególnem swem zatrudnieniu wczorajszem? Godząc się nawet, że taka mogła być, na chwilę, myśl jego — zmącona przez zbyt poważne niepokoje, — jakże uwierzyć, by inni dowódcy, tacy jak książe von Muthwild i hrabia von Thungern, nie odradzili mu jej i nie odmówili swego współudziału? — Śniło ci się coś, Zacharyaszu.

Herr ZACHARIAS, zatopiony w myślach i jakby nie słysząc nawet słów jego.

Tak! musiał to być jakiś dżdżysty zmrok, ściemniony jeszcze przez wysokie szałasy listowia i przez gąszcze zarośli, gdy doprowadził, szerokiemi Lasu ścieżkami, o paręset już tylko kroków od miejsca ściśle określonego, gdzie pieczara owa, jeszcze niewidzialna, miała otworzyć się na zakołatanie pana dziedzicznego, — tak, — gdy doprowadził... Podniósłszy głowę i wlepiwszy oczy w Komandora: drobny oddziałek, oh! z dwustu ludzi, być może! — to, co było konieczne, jednem słowem, do kierowania zaprzęgami! — pozostawiwszy, w odległości jednej czy dwóch mil od skrajów boru, resztę swojej eskorty, teraz już bezużytecznej. — Gdy raz wkroczyli w tę niezamieszkałą i tak ustawicznie odludną okolicę, pierścień niebezpieczeństw został gdzieś za nimi daleko.

Jak gdyby patrząc na halucynacyę wyraźną.

Na nagłą komendę „stój", wymówioną gromko przez hrabiego von Auersperg, wężowata kolumna wozów i ka-

walerzystów zatrzymała się na miejscu, i hrabia von Thungern, opuściwszy jej środek, stanął przed pierwszym zaprzęgiem. Auersperg, zsiadłszy z konia, sam jeden posunął się naprzód, dość daleko, starając się rozpoznać linie drzew, — i na zakręcie jakiegoś odwiecznego żywopłotu z posplatanych gałęzi i wysokich zarośli znikł nagle. — Nikogo niemasz koło niego. — Posuwając się dalej śród gęstniejących mroków, przygląda się uważnie pewnym złomom skalnym, ginącym prawie pod osłoną mchów i traw, a które odróżnił jednak na pierwsze spojrzenie od innych mszystych głazów, otaczających je dokoła. — Wyciągnął się w ich spoinie, której tajemnicę przekazał mu kiedyś, na osobności, ojciec, sam odebrawszy ją od dziada. Za przeważeniem właściwem, zgrzytnęła pod ziemią rdza potężnych dźwigni starożytnych, i oto dwa olbrzymie skaliska rozsunęły się, odsłaniając wejście odwieczne. Powstawszy wówczas, przywołuje, jeden po drugim, każdy z wozów, które, pod jego szybkiemi i krótkiemi rozkazami, przesuwają się po kolei przed ziejącym otworem.

Przy blaskach wielkich latarń ślepych, zapalonych nagle, po trzech ludzi od każdego zaprzęgu, przywykłych do obchodzenia się z działami, przyczepiają szybko do tyłu swych jaszczyków żelazną równię pochyłą, po której — za przecięciem lin siekierami — zsuwają się beczułki kruszcu, przytrzymywane z boków przez słupki ochronne. Toczą się, szybciej już, po spadzistości podziemnej, aż wreszcie, porwane własnym rozpędem, zaprzepaszczają się gwałtownie ku ginącym w ciemnościach granicom długiej pieczary. A wóz oddala się, powracając na dróżkę leśną; wkrótce dogania go następny, — i tak aż do ostatniego.

Dwie godziny wystarczyły. Dwaj pozostali wodzowie, w milczeniu, zajęli z powrotem miejsca na skrajach oddziału — z którym połączy się na umówionym punkcie

hrabia von Auersperg. On, zostawszy sam śród czarnej nocy, zamyka znowu wejście obronne ruchomemi skałami, które przed chwilą usunęły się lub podniosły. Stało się! Zawrotny skarb spoczywa zagrzebany bezpiecznie w nieprzeniknionych ciemnościach.

A teraz, Wasza Miłość, zważmy, naprzód, głębokie i zupełnie naturalne przekonanie, że czterysta beczek żelaznych zawierało, jakto bywa zazwyczaj w artyleryi, wyłącznie narzędzia i pociski z ołowiu, prochu i stali, jednem słowem, wszelkiego rodzaju amunicyę wojenną — (któżby, zresztą, domyślił się prawdy, wobec ich liczby!). — Zważmy, dalej, rodzaj ludzi w tym wyjątkowym oddziale, ich pochodzenie z okolic saskich, najbardziej oddalonych od Szwarcwaldu, — ich obłąkanie się w lasach śród tysiąca powikłanych drożyn, gdzie tylko hrabia von Auersperg mógł nie stracić głowy i kierunku, — ich zmordowanie długą drogą i niespokojne oczekiwanie spotkania z nieprzyjacielem w okolicach mniemanej fortecy, której, jak przypuszczali, miano zasilić kazamaty, — ich, że tak powiem, oślepienie, przez deszcz i zmrok, podczas nagłego przybycia, a potem przez ciemność nocną, podczas powrotu. — Zważmy wreszcie, że sam hrabia dogonił ich po krótkiej nieobecności i stał na ich czele w niebezpiecznym pochodzie, oraz że miano przerzucić ich nazajutrz w oddalone miejscowości, śród najgorętszej akcyi wojennej. — Czyliż przy tych okolicznościach jakiebądź niejasne podejrzenie, gdyby nawet zrodziło się w którym z nich rzeczywiście, nie musiałoby zostać zupełnie bezsilnem? A ponieważ pokój zapowiadał się w dniach najbliższych, jakiejż grabieży można było odtąd obawiać się tutaj?

KOMANDOR, bardzo spokojny, śledząc bacznie pana Zacharyasza.

Jakąż dowcipną opowieść, wymyśliłeś, mój drogi Zacharyaszu!... Niestety! historya twierdzi coś zupełnie

innego. Poucza nas ona, że wysoka Rada finansów Związku poleciła istotnie trzem dowódcom, o których mówisz, przewieźć do pewnej obronnej miejscowości na zachodzie Niemiec olbrzymie bogactwa narodowe. Zniewoleni, przez rozpościeranie się coraz szersze wojsk francuzkich, do zboczeń nieprzewidzianych, trzej konwojujący musieli ciągnąć wzdłuż granicy bawarskiej, a potem zwrócić się ku środkowi kraju: to ostatnie drogami zaznaczonemi na mapach wojskowych.

Herr ZACHARIAS.

Na tej, którą Wasza Miłość ma przed oczyma

KOMANDOR.

Otóż, o dwadzieścia pięć mil przeszło od najdalszych występów tego Czarnego Lasu — skutkiem, to prawda, jakiejś okoliczności, która została niewytłómaczoną — generał von Auersperg oraz dwaj jego pomocnicy znaleźli się, pewnego dnia, razem na przedzie, w pewnem oddaleniu od konwoju — który, niewątpliwie, dostal się w ręce nieprzyjaciela. Ze szczytu wzgórz obsadzonych, dostrzegl ich patrolujący oddział tyralierów francuzkich...

Herr ZACHARIAS, wskazując palcem na mapie.

Oto miejsce najdokładniej zaznaczone!

KOMANDOR.

Nieprzyjaciel, nie mogąc, w ten sposób, wziąć ich w niewolę, rozpoczął przeciwko trzem oficerom ogień nagły, nieprzerwany i śmiertelny, który, w przeciągu mniej niż kwadransa, wytępił ich, nie zostawiając przy życiu ani jednego. Hrabiego von Auersperg znaleziono przeszytego kilkoma kulami przez pierś i głowę; dwóch innych spotkał tem sam los mniej więcej. — Wobec takiej, więcej

cej niż dwuznacznej, fatalności, nie mogę nie zgodzić się ze wszystkimi, że ten niespodziany wypadek wojenny, w połączeniu z rujnującem pojmaniem lub niepojętem zniknięciem kolosalnych bogactw... które gdzieś się zapodziały... pozostanie na zawsze jedną z najniezwyklejszych zagadek Historyi.

Herr ZACHARIAS.

Wasza Miłość, rzeczą jest, dla mnie, nie ulegającą wątpliwości, że zasadzka obmyślona, że zdrada stanowcza, o wybuchu zbyt późnym dla Wielkich, których była dziełem, kryje się pod mniemaną fatalnością tego zabójstwa wojskowego. — Ach! ileż razy czułem się na jej tropach, w ciągu najszczegółowszego śledztwa, któremu poświęcałem się z taką cierpliwością!... Po cóż nawet odkrywać Waszej Miłości, że księga kwitów, służąca do sprawdzania rewersów wydawanych imiennie z podpisami depozytaryuszów, została zniszczona, spalona! mam na to dowód! — Niech Wasza Miłość dowie się tylko, — iż nieprzyjaciel pojmał same jaszczyki, *nakryte jeszcze, lecz próżne!* — że hrabia Gerard von Auersperg, przed wejściem w ostępy Lasu, wyprawił na pole walki, ku granicom Księztw środkowych, resztę swych dwóch tysięcy ludzi, z którymi nie miał bynajmniej potrzeby łączyć się napowrót, — przeciwnie raczej! — Ztąd ta mała ilość kawalerzystów dokoła niego w chwili śmiertelnego wypadku, który się zdarzył... najdokładniej, w dwa dni po faktach, tylko co odtworzonych przeze mnie.

KOMANDOR, po chwili.

Na czem opierasz te przypuszczenia?

Herr ZACHARIAS, zniżając głos.

W wilię wilii dnia, gdy miał być zabitym, hrabia von Auersperg zjawił się tutaj, w zamku, koło północy.

KOMANDOR, bardzo blady, podnosząc się gwałtownie.

Jest-żeś pewien tego?

Herr ZACHARIAS, spokojnie.

Czuwałem przy pracy w dolnej sali wieżowej, gdy, naprzód, usłyszałem galop jego konia w wielkiej galeryi podziemnej, a potem, nagle, ujrzałem wchodzącego hrabiego Gerarda w płaszczu kawaleryjskim, kryjącym jego uniform.

KOMANDOR.

Tutaj? On!... — Po co?

Herr ZACHARIAS, nieco zdziwiony.

Ależ, jak myślę, aby uściskać w tkliwem pożegnaniu, niestety ostatniem, tę, która, wkrótce potem, miała obdarzyć go synem! Hrabina Liswia von Auersperg, która nosiła wówczas w łonie Jego Miłość hrabiego Axela, usunęła się tutaj na czas wojny, równie z powodu niebezpieczeństw, jak i choroby, która trzymała ją w łóżku, ciągle słabą i cierpiącą; dzięki temu, miała przynajmniej szczęście zobaczenia się z małżonkiem przed śmiercią, która ich połączyła. Fatalna nowina z pozajutrzejszego wieczora nie doszła jej uszu aż do końca. — Być może, iż podczas tych odwiedzin, tak nagłych i tak krótkich, hrabia von Auersperg zostawił jej jakieś pismo nieznane, przeznaczone dla syna, na wypadek, gdyby niebezpieczeństwa, które przeczuwał snadź, uczyniły tego syna sierotą. Co się stało z tem pismem? I czy wogóle istniało ono? Tego nie wiem.

KOMANDOR, który opanował się i rozmyśla od jakiejś chwili.

Herr Zacharias, powątpiewam jednak trochę, mimo najlepszej woli, o rzeczywistości całego tego marzenia!... Ale dla czego uważałeś za potrzebne odkryć mi taką tajemnicę?

Herr ZACHARIAS.

Niestety! dla tego, że jestem bardzo stary, Wasza Miłość! i że umrę niebawem zapewne. — Dlatego, że bezczynność przybiera tutaj rozmiary zbrodni, — i że nie chcę zabierać z sobą na tamten świat wyrzutu sumienia, iż milczałem jak inni! Dla tego, że, po uchwaleniu przed laty nieznacznych odszkodowań, rewersy, wykupione w ten sposób przez Państwa za marne pieniądze, zostały zniszczone — i że, w rzeczywistości, niesłychane te skarby *nie należą, dziś, do nikogo!*... Dla tego, że mój pan, któremu odkryłem wszystko — ze szczegółami, uzasadniającemi lepiej jeszcze me przypuszczenia, — nietylko nie przedsięwziął, ani, o ile wiem, nie zamierza nic dla odzyskania tych bogactw nieobliczonych, lecz zabronił stanowczo wspominać mu o tem kiedykolwiek! Dla tego, że kazał nam przysiądz, mnie i trzem innym jeszcze, że nie zrobimy nigdy najmniejszej o tem wzmianki, nawet pomiędzy sobą, nawet pocichu. — Oto trzy lata upływają dziś od chwili złożenia owej strasznej przysięgi... i nigdy ani słowa! Nie wiem, jaką niezwykłą i straszliwą wiedzę wykłada mu mistrz Janus... ale możnaby myśleć, w istocie, że... *zapomniał!* — U władz najwyższych nie znalazłbym posłuchu, ja, biedny starzec, zgubiony w tych lasach odległych! — Wasza Miłość ma moc. Wasza Miłość ma posłuch u królów! Sądziłem zatem, że wolno mi naruszyć przysięgę, grzeszną zresztą, abyś Wasza Miłość mógł działać w imieniu mego zbyt obojętnego pana. W ten sposób

sława, potęga i majątek spadną nań mimo jego woli!... Chciałem wywiązać się z tego obowiązku względem pamięci szlachetnego jego ojca, krewniaka i przyjaciela Waszej Miłości.

Słychać daleki głos rogu na drodze.

Oto Jego Miłość hrabia Axel! — Niech Wasza Miłość rozstrzyga teraz.

Zwija śpiesznie papiery i chowa je pod opończę.

KOMANDOR, popatrzywszy nań badawczo.

Herr Zacharias, jesteś mądrym i prawym sługą domu. Wszystko, co mogę ci odpowiedzieć, jest, że wyjeżdżam dzisiejszej nocy, i że przed upływem trzech miesięcy usłyszycie o mnie w tym zamku.

Poruszenie radosne pana Zacharyasza.
— Do siebie, namyślając się:

Dobrze. Obliczymy się zatem: o trzy godziny jazdy ztąd, przez Dolne-drożyny, mam pokój przygotowany w zajeździe pod *Trzema Bocianami*, na rozdrożu Leśnego Krzyża; Otto, kamerdyner mój, oraz dwóch pierwszych przewodników, oczekują mnie... Mogę być tam około wpół do dwunastej dziś wieczór. W ten sposób, wypocznę po pierwszych sześciu milach drogi. Jutro, ze świtem, znowu na koń! I za kilka dni będę miał Las za sobą! Potem... powozem pocztowym aż do Berlina! Tam, zrealizowawszy szczątki majątku i wziąwszy się przezornie do rzeczy... czemuż nie miałbym pokusić się, na własną rękę i w tajemnicy głębokiej, o zdobycie tego fantastycznego Runa Złotego?... O zdumiewające objawienie!... Gdyby to było prawdą, jednakowoż!

Słychać kroki w przedsionku.

Ciszej, kładąc palec na ustach.

Milczenie.

W głębi sali ukazuje się Axel von Auersperg. — Wydaje się w wieku dwudziestu trzech do dwudziestu czterech lat. Wysokiego wzrostu i przepysznej męzkiej piękności. Wytworna muskulatura i proporcye jego postaci zapowiadają niezwykłą siłę cielesną. Twarz jego, bladości świetlnej prawie, występująca z pod długich, falistych, ciemnych włosów, ma, skutkiem widocznych śladów ciągłego rozmyślania, jakiś wyraz aż tajemniczy.

Odzian w ubranie ze skóry czarnej, ze stalowemi guzikami. Na głowie ma czapkę wydrzaną, z orlem piórem. Na ramieniu karabin, u pasa topór.

Stoi chwilę nieruchomo, na progu sali.

(Ciąg dalszy.) Hr. de Villiers de l'Isle Adam.



Trzy Strofy.

W gwiaździstą noc
Usnęła dusza ma
W jeziora sennej głębi...

Usnęła tam,
Gdzie wodnej lilii kwiat
Do snu ją ukołysał
Bezbrzeżnym smutkiem swym,
Miłością i tęsknotą.

I powiał wiatr,
A niosąc brzaski dnia
Na ciche stawu oko,

Odleciał w dal,

Na pola kwietnych łąk,
Gdzie o kielichy kwiatów dzwoni
Zapachów mglą
Dziewiczą.

I oto wnet
Słonecznej chuci żar
Obudził śpiące kwiaty,
I z lotnej mgły
W pragnące serca ich
Miłości wlewał rosę...

I zahuczała pieśń
Przepiękna i wspaniała...

A każdy kwiat
Otwierał kielich swój
Rozkoszą żądz palony,
I słońca żar
Pochłaniał w siebie tak,
Jak gdyby w zmysłów był ekstazie
I umrzeć chciał
Z rozkoszy...

I oto znów
Od kwietnych łąk i pól
Wieczorny wiatr popłynął,

I w czarny las

Niósł śmierci chłód i pył
Spalonych słońcem kwiatów.

I powstał w lesie śmiech
Szyderczy i złowrogi...

I było tak,
Jak gdyby w lesie tym
Jęczały kwiatów dusze,

Jak gdyby wiatr
Niósł z sobą tylko śmierć,

Jak gdyby kłamstwem było życie,

Jak gdyby było snem
Uśpionej mojej duszy.

Józef Rozprza-Krobicki.



Ogród zaklęty.

Tak mi mówili aniołowie,
Co znają prawdę, skrytą w Słowie,
Że tam, gdzie, wisząc nad przestrzenią,
Brzegi wieczności się zielenią,
Przedarłszy czasu mdłe osłony,
Wzgórzami tęsknot otoczony,
Zakwita ogród niezbadany,
Zaczarowany, obłąkany,
Zaczarowany skonem zorzy,
I obłąkany mgłą bezdroży!

Więc wizyą skrzydeł spromieniony,
Szedłem w cudowne owe strony,
Po przez stężałych snów urwiska,
Przez dawnych bytów uroczyska,
I nieraz w dzikiej swej podróży
Spotkałem widma bladych róży,
I mary lilij, co w przestworze

Na widziadlanem tkwią jeziorze.
I spotykałem wśród rozdołów
Omszone zwłoki tych aniołów,
Których Bóg strącił w te bezdenie
Za potępieńcze serc płomienie, —
I spotykałem senne kraje,
Gdzie wszystko mgłą i mgłą się staje,
Gdzie się kołysze w mgieł odmęcie
Dziwaczny okręt przy okręcie,
A melancholii słodkie fale
Przez ich pokłady mkną niedbale
I w bezpowrotne płyną dale!..

Aż wreszcie, depcząc pierś obłoku,
Jakiegoś Boga mając w oku,
Z duszą na wschodzie i zachodzie,
Stanąłem blady w tym ogrodzie!
Tam — każde drzewo jest zaklęte,
Tam są topole — wniebowzięte,
Kaskady — drętwe, w snach skąpane,
Mocą obłędów — sfałdowane,
I takich jezior tonie sine,
Że straszno spojrzeć w ich głębinę,
Że straszno spojrzeć w ich zwierciadła,
By twarz ci nagle nie pobladła,
Gdy ujrzysz skryte w nich widziadła!

Pod jednem drzewem niezbadanem,
Zaczarowanem, obłąkanem,
Gdzie każdy liść od marzeń kona,
Nawpół stworzona, wpół wyśniona,
Królewna cudna odpoczywa!
Z skroni jej warkocz wonny spływa,

Spływa i wpływa w alej głębie,
Zwisa na każdej skały zrębie,
Po wszystkich ścieżkach tak się ściele,
Jak czarodziejskie jakieś ziele,
A w górze — srebrem pałająca,
Niewyczerpana głąb' miesiąca!

Mów mi, królewno moja blada,
W jaki się mrok twój sen zapada?
I z jakich stron — twych oczu dale?
I z jakich mórz — twych warg korale?
I z jakich piekieł twe warkocze,
Po których drżący teraz kroczę,
I mów mi, w jaką wiodą stronę
Warkocze twoje — nieskończone,
Bo mię na wiek, na wiek już cały
Warkocze twoje opętały!

Ach, idźcie wszyscy, idźcie ze mną,
Ku niej — w krainę ponadziemną,
Lecz nie pytajcie mię (o Boże!
I któż mię spytać o to może!),
Gdzie jest ten ogród, gdzie te światy,
Do których wszystkie tęsknią kwiaty,
I wszystkie dusze, snem ozdobne,
Co są do kwiatów tak podobne!
I zkąd ta powieść moja rzewna?
I czem jest cudna ta królewna?
Bo choć mi serce rozpłomienia, —
Już nie pamiętam jej imienia!
I choć mi zawsze taka bliska,
Już nie pamiętam jej nazwiska!
Lecz wiem, że ogród ten — istnieje,

Że tai straszne jakieś dzieje,
Ach, dzieje straszne, niezbadane,
Zaczarowane, obłąkane!
Bo mi mówili aniołowie,
Co znają prawdę, skrytą w Słowie,
Że tam, gdzie, wisząc nad przestrzenią,
Brzegi wieczności się zielenią,
Przedarłszy czasu mdłe osłony,
Wzgórzami tęsknot otoczony,
Zakwita ogród niezbadany,
Zaczarowany, obłąkany!
Zaczarowany skonem zorzy,
I obłąkany mgłą bezdroży!

Bolesław Leśmian.

Modlitwa do duszy.

Przedziwnych basni mistyczna królowo,
Kwietnych ogrojców przenajświętsza pani!
O daj mi poznać to magiczne słowo,
Co cię mym oczom wywiedzie z otchłani.

Czuję, żeś wiecznie w mej piersi przytomną,
A wraz na słońcach masz tron i królestwo;
I płyniesz, płyniesz tą falą ogromną,
Z której się ziemskie wyłania jestestwo.

Krwi rozszalałej niespożyte tętno
Niesie mi w uszy twych gromów fanfary;
Usta me dyszą twą pieśnią namiętną,
Roztloną w żarach niesytej ofiary.

Ta sama wiecznie i wiecznie odmienna
Otchłannych głębi świata tajemnico,
Zawrotnych szalów potęgo płomienna,
Szarych ugorów półmroczna tęsknico!

Ty, co mię strącasz w plugawe odmęty
I znaczysz Krzyżmem niewinności białej,
Przez którą jestem i grzeszny i święty,
Ukaż się w błaskach wszechpotężnej chwały.

O! daj mi poznać to magiczne słowo,
Co cię mym oczom wywiedzie z otchłani,
Przedziwnych baśni mistyczna królowo,
Kwietnych ogrójców przenajświętsza pani!

Przyjdzie.

Jeszcze nie przyszła, lecz słyszę jej kroki,
Odbite echem w bezprzestrzennej głuszy;
Wiem, że nadchodzi w świątnicę mej duszy
Rzucać najświętszych objawień uroki.

Wiem, że mię wkrótce zabierze na własność,
Wzrok mi jej będzie udręczeń pochodnią —
Lecz gdy mię przelśni ócz magiczna jasność,
Nowe się światy zapłodnią.

O, przyjdzie, przyjdzie w godzinę wieczorną,
Gdy oddech kwiatów zamiera najcichszy,
Bluźnierstwo wsączy w modlitwę pokorną
I orkan dzikich pożądań rozwichrzy.

O, przyjdzie, przyjdzie w płomieniach rozpusty,
W lśniącym przepychu dziewiczych obnażeń,
Z ust Jej wypiję jad spieklemi usty
I zadrżę dreszczem śmiertelnych przerażeń.

— A moc w niej będzie, jak w bajecznej hydrze,
Straszna i wieczna. Splot zjadliwych węży
Na pierś mi rzuci, — jęk zdławiony wydrze,
I duszę moją na krzyżu rozpręży,
I, krzyk po krzyku rwąc z przepastnych ciemnic,
Dotrze do wnętrza najgłębszych tajemnic.

Edward Leszczyński.

Anioł Pański.

Na wodę legł różowy cień
I rozleniwił jasne fale,
Skroś ciszę pełną złotych lśnień
Winą się wolno i ospale.

Z ogrodów wschodzi zapach róż
I po winnicach się rozlewa.
W oddali — pod melodyę zórz —
Dzwon niewidzialny cicho śpiewa…

Z ukrycia laurowych drzew
Dzwon niewidzialny dzwoni zcicha,
Miarowo spada srebrny śpiew,
Wonią kwiatowych pól oddycha.

Błogosławicństwo ziemi śle
Ukołysanej wielką ciszą,
Góry topnieją w złotéj mgle,
Obłoki krwawym ogniem dyszą.

Brzask.

Już dnieje. Szare światło wkrada się nieśmiało...
Patrz... A teraz ktoś złota naprószył na ścianę...
To słońce?! Coś tak gorzko w mem sercu załkało?
— Ciekawym, czy też słońce jest kiedy pijane?

Dobrze... dobrze... pojdziemy. Purpurowe zorze,
Las się pali... Cudowny jest wschód słońca w lesie,
A nad morzem... Bezbrzeżne, nieskończone morze,
Atlantyk!! Każda fala złoty pożar niesie!

Dobrze... pójdę. Jej oczy świeciły jak słońce,
A taki blask z nich płynął, świeży, nieustanny,
Takie światło pogodne, zaziemskie, rzeźwiące,
Niby w godzinę cudu z ócz Najświętszej Panny.

Ależ pójdę już... pójdę... W grabowej altanie
Cichą, żałosną skargą zaszumiały drzewa...
Moja biała królewna, moje ukochanie...
Słyszysz! Słyszysz! Tu, w sercu, echo słów jej śpiewa.

Włodzimierz Perzyński.



Pieśń.



Gwiaździste niebo — ciemny park drzew, a gdyby mary idą ludzie i śpiewają pieśń.

Słucham — pełen litości — złośliwy — rozsłoneczniony.

Bo w tej pieśni — w prostackiej tej pieśni tkwi jad, kryjomo żrący płomień i bolesna piękność dalekiej, dalekiej ojczyzny.

Oni tego nie wiedzą. Przecież tacy weseli w swej ciemnej, podziemnej pustocie. Ale ja znam tę pieśń...

Bo głąb' duszy przegryza mi ten jad, przeżera ten płomień, i chce wybuchnąć i rozżagwić się. I coś wre we mnie i czeka wielkiego: stań się! — Co się ma stać?

O męko — męko nieświadomej pełni, nieskończenie słodka męko!

Słucham, i siedzę, i czekam — przeczuwam; a oczy moje wdzierają się w dal, zkąd ma nadejść rozkoszna

zjawa, która zbliża się, zbliża z oddali, z dalekiej, dalekiej dali.

Bo jeszcze mnie opływa w rozwiewnych kręgach i wciąż się przetwarza, nieopanowana i nieokiełznana — odwieczna, ciemna przemiana Jedynego.

Męko, wieczna męko! — Nadejdzie-ż koniec?

I jaki?? — —

. . . .

Poprzez gwiazdy błądzą białe obłoki, a wiatr szepcze w cichym poświście; szepcze tajemnym a słodkim głosem, i rozczesuje świecące liście, i w sen kołysze gibkie gałęzie, a ciemne tonie szerokich wód marszczy dreszczem migotliwym w słonecznych blaskach. A światło płynie przez mgły i zwiewne opary, poprzez hardy opór nieokrzesanej materyi — płynie w dół z jasnych wysokości. To światło — ta pieśń...

Związane rymem cztery biedne strofki i prostacza melodya; grube głosy w szorstkiem, nieświadomem nabożeństwie.

Ale niemasz nic we wszystkich oddalach i wszech pobliżach, nic, nic, prócz tej pieśni a przez nią całej mej ojczyzny, która mi się teraz uświadamia, i prócz całej nieskończoności dusz i tej jednej jedynej, nieskończonej duszy.

I teraz jest chwała wysokości, i nędza padołu, i obszar bezkresów marną igraszką, a minuty, godziny, dnie, lata, lat tysiące — podstępna złudą.

I tylko objawione dusze, i w bezczasowej błogości ta jedna, objawiona dusza.

Patrzę na tysiącbarwny wir tych wielu, który jest spokojem jedynych. I odżywa we mnie dreszczem wiecznego powrotu wieczna religia i po wiecznej rozłące wieczne połączenie.

To drżące listowie topoli, co wysoka, smagła, ciemna, szczytnym wierzchołkiem w białe światło wybiega, ten białością lśniący pień brzozy, do ziemi pieszczotnie przykucnięte krzewię, te uciekające i powrotne fale, ta ręka, którą trzymam z rozszerzonemi palcami pod światło słoneczne, ta ręka z siecią i siateczkami żył i żyłek, poorana w dziwne linie: to wszystko, wszystko jest wieczną grą jej siły, psotnem ukryciem, w którem sama siebie szuka i z rozkosznem upojeniem odnajduje się — zawsze i wciąż na nowo się odnajduje.

Taki-m zmęczony, dziwnem przeczuciem zmęczony.

Czy jakaś zapora się usuwa? — Chcesz-że ty mnie odnaleźć? Chcę-ż sam odnaleźć siebie?

Jest-że to nowa igraszka, i coraz nowsza, i coraz piękniejsza, coraz weselsza?

W dali ta pieśń — echem, dalekim, tęsknym odgłosem przebrzmiewająca pieśń...

Ta pieśń...

. . . .

I znowu wszystko ucichło — i drżąca cisza. Czuję, jak każdy nerw drga w mem ciele, skupia się i napręża.

To koniec? Ale jaki?

Jakiż może być? Żaden! Bo nigdy i nigdzie nie masz końca. Zapora, co się usuwa; strzęp mgieł, co przewiewa; radosne, uśmiechnięte wynurzenie się z głębin... Ku jakim widnokręgom?

Szeroki, nieskończenie szeroki jest świat, a jednak zawsze i wszędzie, sami-śmy, jedyni — ty, ja...

. . . .

I cóż ze mnie, gdybym był tą dziką rozkoszą niepokoju, i tą niezgłębioną rozpaczą? I cóż ze mnie, gdybym był ci tylko tym smutnym zlepkiem kości, mięśni, żył, nerwów — nie zaś tą przeczuwającą tęsknotą?

W dzikim pędzie szaleję poprzez czas, dla mnie losem wyznaczony, poprzez mordy, krew, nędzę, poprzez nieprzeliczone zbrodnie, wskroś i przeciw mej gorączkującej a tak siebie świadomej skończoności.

Oszukuję, kłamię, morduję, nienawidzę; rzucam się na oślep we wściekłej rozpaczy w szał i obłęd niepojętej chuci, szaleję w mej ciemności — sprężam się z pożądaniem namiętnem ku poznaniu wszystkich tajni czasu i przestrzeni; chłonę i rodzę moją tysiąckrotnie i jeszcze tysiąckrotnie uciekającą, zwiewną, wiecznie się zmieniającą ułudę huczących światów, wiecznie niezadowolonego poznania; drżę, taczam się poprzez ten wir i zator ginących czasów mej znikomości — wiecznie to samo od krzyku radości do załamującej ręce rozpaczy, od zwątpienia i rozpaczy do krzyku radości; jestem rozkwitem i zanikiem narodów i państw; czołgam się w stępiałem zadowoleniu i czepiam się całą siłą skąpej, mizernej radości życia; chronię się za wał praw — tchórz i mędrzec względem samego siebie; sam się okłamuję, a w ograniczeniu mych zmysłów jestem gnijącą, przemierzwioną kupą gnoju i marnym, biednym kresem...

I cóż ze mnie, gdyby moje stęsknione przeczucie nie zaoszczędziło sobie między tępą rozkoszą i stępiałym bólem kilku różdżek oliwnych, a nagrodą i zwycięztwem całej mej rozpaczy i mych gorących, wściekłych zapasów z sobą samym nie była wiedza i szczęśliwa świadomość dobrze poręczonego spokoju i wciąż nowe ostateczne jego posiadanie...

. . . .

A teraz, spokojny, patrzę na najstraszniejszą ze wszystkich zagadek i odpowiadam na jej najzawilsze py-

tania. W bezkreśnych przestworzach żółtych pustyń stoję naprzeciw odwiecznej, potwornej ohydy oczu sfinksa i patrzę ze śmiechem w jego martwe skamieniałe oczy.

I oto cała moja nicość, cała moja pycha, cała moja królewska powaga.

Ja sam jestem jej wielkiem, kamiennem milczeniem. W najtajniejszej mej głębi jestem sam w sobie wielkim, bezmiernym, milczącym spokojem, w mrocznej ciemni spoczywającą mocą i wiedzą, a mimo to wiecznie szarpanym, tysiącokształtnym niepokojem.

To dwoje, a przecież jedno — to jedno jedyne: wielki, bezmierny, milczący spokój.

Ale mój niepokój i rozpacz moja wykrzykuje tysiąc ciemnych tajemnic i pytań, w serce mi je wkrzykuje, wciąż odnowa — by się w mej duszy uświadomić, i upewnić się o swoich nieskończonych przemianach, i odnajdywać się wciąż nanowo w cichej, ukojonej jedności.

A moim niepokojem jesteście wy! Jestem niepokojem jako wieczna i nieskończona różnorodność: jako pierwiastki, słońca, rośliny, zwierzęta, ludzie, i wszystkie jestestwa, i wszystkie dusze: jako to wszystko, jako tego wszystkiego nieogarnione, niepoliczone szczegóły i nieogarnione, niepoliczone przeznaczenia.

I to wszystko wkrzykuje się w mą duszę, znajduje odpowiedź na zapytania i nie znajduje jej, lecz zawsze znajduje nieskończenie błogą odpowiedź: wiekuisty, milczący spokój.

Bo z ciemnych prailów mojej ciszy, spokoju i nicości, pobrzmiewa wiecznie i wiecznie, jako odpowiedź na dziką chuć mej tęsknoty, odwieczne pytanie, jej zawsze jednaki odgłos — i nic — nic — prócz odgłosu.

. . . .

Bo właśnie wtedy, gdy stare pytanie wciąż i wciąż i coraz dziczej krzyczy i wstrząsa posadami odwiecznych mistycznych tajemnic, wtedy — jako pytanie i odpowiedź zarazem — pobrzmiewa ono z powrotem z nieskończonych oddali wiecznego światła i wiecznej pewności, i Jeden się rodzi, który jest jego usty; Jeden, wiecznie Odradzający się, Cichy, Cierpiący pod odwiecznem misteryum, Jeden w którym się skończoność i nieskończoność objawia jako Jedność, sama siebie w wiecznej miłości obejmująca.

Gdziekolwiek wszakże i ilekroć na świecie ten Jeden w skończoność się wrodzi, tam i tylekroć powstaje nowy dzień i nowa, dobra nadzieja. Tam cieszy się radość, tam śmieje się spokój, tam gotuje się do boju nowa, młoda, śmierci urągająca wola, a przed nią nowe tory, i nowy cel bezkresnego urzeczywistniania się.

. . . .

Oto cała moja nicość, moja pycha i ma królewska powaga. Bo jeżeli wiem jedno słowo o pokoju, jest ono niczem więcej jak echem waszego niepokoju i błędnych pytań waszej rozpaczy. A echo to ja odbijam z powrotem w wiecznie poważnym spokoju, jako ten, który jest prawy, pełen prostoty i wylania, jako ten, który słyszy, rozumie, łączy i z powrotem oddaje: wiernie, z prostotą i wylaniem.

I to jest moje straszliwe i nieskończenie błogie przeznaczenie! Jestem niczem, niczem i — wszystkiem!

Wy jesteście mną! tak, Wy! A ja jestem wami. Ty jesteś mną, ja jestem Tobą; Ty jedynie, i tylko Ty jesteś całem mojem dostojeństwem i całą moją nicością. I to jest moja odwieczna, roześmiana świadomość i wieczny brzask młodego dnia...

. . . .

Ale między mną a nią zaległa ciemna noc.

Już zanurzyłem się w jej bezbrzeżną grozę. W grozę i strach między początkiem a końcem. Ona jest tajną śmiercią, która mnie trawi.

Przychodzi z chłodnym dreszczem ciężkiego znużenia. Jest tchórzostwem, które w ciągłem wahaniu czepia się tego, co zostało zwyciężone. Miłością i nienawiścią, która mnie ściga, i setkami przyzwyczajeń i martwych pojęć, które jeszcze żyć pragną, i dręczącem wątpieniem starej ograniczoności. I jest mi ostatnią, nierozegraną jeszcze walką, i ohydną zjawą starego kłamstwa, które wciąż i wciąż zimnym dreszczem zbiega mnie wiecznie żyjącego. Jest straszną martwotą trupa i jego stęchłą, ziejącą zgnilizną. Jest dzikim rozgwarem, rozpacznym zgiełkiem nowych, tylko przeczuć dających się światów, za wielkich, za wspaniałych dla mego tchórzowstwa, o ileż za wspaniałych i za wielkich!

Śmiercią moją jest ta noc, długiem konaniem, ciemną, mętną przemianą dwóch dni, dwóch dni...

Na oślep rzucam się w tę noc, w tę walkę. Z radosną, świadomą odwagą i z mocną, dumną duszą. Ta jest bohaterką duchowych walk, potężniejszą niż wszyscy bohaterzy mocy cielesnej ze wszystkich przeszłości.

. . . .

Daleka, daleka droga! Ciemna, ponura walka! A wynik? A cel?—O, niemocy mego biednego słowa!—celem jest bezbrzeżne morze milczenia.

W niem wreszcie utonę ja, i odwieczny pierścień dusz, i słońc, i niepokoju.

Ja i cały mój niepokój: dusze i słońca. Jam jest to milczenie, i kiedyś sobie je w sobie uświadomię, i spocznę sam w sobie.

Oto jest mój wieczny koniec i mój wieczny początek.

. . . .

Gdy gwiazdy się iskrzą, gdy podmuchy leciuchne szemrzą pieszczotliwie, a ostatnie barwy cicho, faliście igrają — — teraz...

Teraz — o męko nad wszystkie męki! — teraz poznałem moją długą drogę, i dla ślepoty mej świta jutrzenny brzask celu...



PRZEŁOŻYŁ
St. Przybyszewski. Johannes Schlaf.

Upojenie księżycem.

Wino, które się pije okiem,
Z księżyca spływa modrą falą,
Nad widnokręgów cichych dalą
Morzem rozlewa się szerokiem.

Zgubne, a tchnące mdłym urokiem,
Rady w tym filtrze się kryształą:
Wino, które się pije okiem,
Z księżyca spływa modrą falą.

Poeci zbożni tym wyskokiem
Dziwnym wnętrzności sobie palą,
Chłonąc — póki się z nóg nie zwalą,
Z wściekłemi ruchy, w niebie wzrokiem —
Wino, które się pije okiem.

Ścięcie.

Księżyc, jak szabli ostrz białej
Na ciemnem z mory wezgłowiu,
W sierp się wygina po nowiu
Śród niebios bolesnej chwały.

Wędrowny Pierrot znędzniały
Śledzi — tak klown w pogotowiu! —
Księżyc, jak szabli ostrz białej
Na ciemnem z mory wezgłowiu.

Klęka — i, trzęsąc się cały,
Marzy, iż w czarnem pustkowiu
Za wykup ludzkiemu mrowiu —
Z gwizdem tnie w kark mu zdrętwiały
Księżyc, jak szabli ostrz białej.

Pierrot złodziejem.

Królewskie krwawe rubiny,
Mordów i chwał meteory,
W pomroce drzemią komory
Śród lochów groźnej głębiny.

Pierrot, z kilkoma złosyny,
Kraść idzie, po pitce skory,
Królewskie krwawe rubiny,
Mordów i chwał meteory.

Lecz strach im zjeża czupryny:
Śród aksamitów i mory,
Jak oczy groźnej potwory,
Palą się w głębi witryny
Królewskie krwawe rubiny!

Piosnka o szubienicy.

Oblubienica z szyją jak tyka
Będzie kochanką wam bez pieniędzy,
W wieczystej nędzy wieczni włóczędzy,
Śni - złotki wieczne, a bez grosika!

Taką myśl zawsze, nakształt gwoździka,
Wbija im w głowę pijaństwo z nędzy:
Oblubienica z szyją jak tyka
Będzie kochanką wam bez pieniędzy.

Smukła jest, piękna, choć nieco dzika,
Na piersiach — warkocz konopnej przędzy,
A swym duszącym uściskiem prędzej,
Niż inna, rozkosz wściekłą rozbryka
Oblubienica z szyją jak tyka.

Skrzypce księżycowe.

Zamkniętych skrzypiec dusza drżąca,
Pełna harmonii i milczenia,
Śni, z czarnej skrzynki swojej cienia,
Sen obumierań, trwóg tysiąca.

W bolesnej nocy tej bez końca,
Pod czyjąż ręką wyda brzmienia
Zamkniętych skrzypiec dusza drżąca,
Pełna harmonii i milczenia?

Cieniuchna, biała nić miesiąca
Przedzgonnie słodko wypromienia
Swych ironicznych pieszczot tchnienia — —
I śni, że świetlny smyk ją trąca,
Zamkniętych skrzypiec dusza drżąca.

Kryształ czeski.

Promień księżyca, uwięziony
W pięknym z czeskiego szkła flakonie,
Oto poemat, który wionie
Rondelów tych lekkiemi tony.

W Pierrota - m zamknął się kokony,
By ofiarować swej madonnie
Promień księżyca, uwięziony
W pięknym z czeskiego szkła flakonie.

W symbolu tego - m skrył zasłony
Wszystko, najdroższa, co mam w łonie;
Jak blady Pierrot żarem płonie,
Tak drga w mej masce pomarszczonej
Promień księżyca uwięziony.

Z cyklu „PIERROT KSIĘŻYCOWY“
PRZEŁOŻYŁ
Miriam.

Albert Giraud.

Walka ze sztuką.

U pewnych rubieży ducha obliczać się należy, sprawdzać, co się ma, a co z mniemanych dóbr złudzeniem jest tylko, stwierdzać wreszcie rzeczy, które już istnieją, ale których nikt dotąd sformułować nie umiał czy nie śmiał. Nagląco potrzebne są obrachunki takie w dobach zamętu i bezmyślności, gdy wszystkie słowa straciły wnętrzne znaczenie, gdy nazwy i symbole ongi wielkich i pięknych rzeczy słaniają się po rozstajach niby czcze widma, gdy nic nie jest pewnem dla wszystkich jednako, gdy, jak niegdyś u stóp Babelskiej wieży, co do wszystkiego porozumiewać się trzeba, a porozumieć niepodobna, gdy mówią wszyscy, którzy nic do powiedzenia nie mają, a każdy prawie głos wielki i głęboki bez spółdźwięku i śladu śród zgiełkliwej zanika niemoty. Prawda, iż zwłaszcza wtedy ludzie takim obliczeniom nieradzi. „Człowiek na ten czas zda się sobie namędrszym,“ spostrzegł już Kochanowski, „kiedy nasprośnieyszy; zda się sobie namężnieyszym, kiedy nasłabszy.“ „In den Jahrhunderten vor

uns,“ uzupełnia uwagę tę o parę wieków później Jean Paul Richter, „scheint uns die Menschheit heranzuwachsen, in denen nach uns abzuwelken, in unserem herrlich blühend aufzuplatzen.“

Schyłek wieku ubiegłego, nie ustępujący innym epokom, lub może przewyższający je pod względem owej śmiesznej, dziecinnej zarozumiałości, był widownią zupełnego chaosu duchowego, rozbicia wszystkich pojęć na drzazgi empiryczne, osłabionej zdolności syntetycznego, celowego myślenia i działania, zamętu i anarchii, jakie świat rzadko snadź widywał. Nie dziw zatem, iż przychodząc z uprzedzeniem gotowem o doskonałości i wielkości tak bardzo sławionego, a niestety nader nieokreślonego „postępu,“ i nie mogąc nadto wyjść poza mniejsze lub większe konglomeraty faktów i wznieść się do jakichkolwiek uogólnień, patentowani rachmistrze zasług XIX stulecia dali się oszołomić zgiełkiem szczegółów, ciżbą „wielkich zdobyczy“ i nie zauważyli najcharakterystyczniejszej wieku tego cechy: stałego, co raz gwałtowniejszego opadu ducha, rosnącej nieustannie, i pod koniec wprost już zastraszająco, *nienawiści do wszystkich rzeczy wiekuistych,* nie mieszczących się w granicach zmysłowego, ziemskiego poznania i życia.

Kiedyś, wielka jakaś rewizya przeszłości — bo przyszłość to „korektorka wieczna“ (NORWID) — zmodyfikuje też zasadniczo wnioski ostateczne tych panegirystów i wiek, dla którego niektórzy proponują dziś miano „wielkiego,“ nazwie wiekiem zrzeczenia się ludzkiej godności. Naszem, w tej chwili, przedsięwzięciem będzie jedynie zastanowienie się nad jednem z najbardziej znaczących objawów tej nienawiści, jakiem jest ciągła i coraz gwałtowniejsza *walka ze sztuką.*

Napaści, coraz zażartsze i zmieniające się w końcu w prawdziwą nagankę na każdy szczery, prawdziwy

objaw sztuki, walki ze wszystkiemi próbami szukania nowych dróg twórczych, obnoszenie na tarczach wszelkich płytkich tryumfatorów, wszelkich epigonów, wulgaryzatorów i wdzięczących się do tłumu służalców, zobelżanie lub grzebanie w głębokiem milczeniu największych, najgłębszych twórców, wojowanie ze stworzonemi ad hoc na postrach tłumom widziadłami, z próżnemi treści etykietami i nic nie mówiącemi definicyami zbiorowemi, wreszcie objawy wyraźnej nienawiści do sztuki już samej, jako niepotrzebnie wybijającej z błogiego snu zwierzęcego, nienawiść do wszelkiej głębi, do wszelkiej duchowości, do wszelkiego zapału czy wzlotu, — oto co charakteryzuje całą, przeszło półwieku zajmującą, dobę poromantyczną i różni ją od epok poprzedzających. Trwałe jakoby uznanie ogólne dla wielkich twórców romantycznych nie może służyć za dowód przeciwny, było ono bowiem owocem i ostatnim prawie objawem resztek zniszczonej przez rewolucyę francuską kultury, oraz wielkiego, wyprzedzającego Rewolucyę, i przerwanego przez nią chwilowo, podniesienia duchowego w drugiej połowie wieku XVIII i pierwszej ćwierci ubiegłego. Późniejsze czasy przyjęły już uznanie to nie z wnętrznej potrzeby, lecz jako obowiązujący komunał historyczno-literacki (czego dowodem — jednako hałaśliwe uwielbienia dla zupełnie słabych rzeczy u tych uznanych i dla ich najgenialniejszych podrywów) — i odtąd wielkie i święte imiona szły „jak dźwięk pusty przez pokolenia,“ służąc jedynie za broń ślepą przeciwko nowym wysiłkom i nowym wielkim duchom. Z poromantycznych czasów, niech mi kto przytoczy jeden prawy, głęboki kierunek w sztuce, jednego istotnego, wielkiego twórcę (a jakby dla zrównoważenia tego opadu ducha w masach, tyle było pierwszych, tylu drugich!), któryby nie był odpychany, wyszydzany, lżony, zwalczany, — że pominę już zupełne otaczanie murem mil-

czenia i pogrążanie w niepamięci, co do największych stosowano! Dość przypomnieć napady zdumiewającej zajadłości na Parnas francuski, na bractwo prerafaelitów, na impressyonistów, na widma dekadentyzmu i modernizmu, na Baudelaire'a, Wagnera, Ibsena, Rodin'a, Maeterlinck'a, Przybyszewskiego, na wszystkich, jednem słowem, którzy nie chcieli zejść ze szczytów na poziomy i zrzec się wzlotu, żaru, głębi, składających istotę wielkiej, prawej twórczości. Ciągłość napaści tych wskazuje na istnienie wzmagającej się nieustannie, w każdym zakresie, pod każdą postacią, na całej linii — walki ze sztuką samą, z jej źródłami i jej najwyższą zasadą. Udowadnianie faktami jest tu zresztą rzeczą zbyteczną, gdyż schyłek wieku ujrzał pogromców, czy to śmielszej czy to świadomszej siebie natury, którzy, zrzucając maskę, otwarcie już i bez jakichbądź osłonek, zaprzeczyli sztuce wszelkich praw do królewskiego stanowiska Pani dusz, Wyzwolicielki z ograniczoności cielesnej, Pośredniczki między indywidualnością i Absolutem, uczynili ją „funkcyą społeczną," zostawili jej rolę rozrywki uprzyjemniającej życie lub wózka dla tendencyj jedynie, i wyraźnie stwierdzili — gdyby nad to podrzędne stanowisko wznieść się pragnęła i śmiała — swą nieprzejednaną dla niej nienawiść. Z początku próbowano pośrednio sprowadzić sztukę z piedestału, wykazując zdumiewające pokrewieństwa między wielkimi twórcami a maniakami, waryatami i kryminalistami, i przeciwstawiając ich w ten niepochlebny sposób zdrowym, normalnym miernościom. Później zaczęto już wyraźniej oburzać się na otaczanie sztuki, a zwłaszcza poezyi, „nimbem przesadnym." Dalej, pozornie uznając jeszcze, że „w społeczeństwie wszystko ma swoją wartość: zarówno rzemieślnik jak rolnik, jak kupiec, jak wreszcie uczony i artysta," — w rzeczywistości zrobiono sztukę jakimś *article de luxe,* bez którego ostatecznie obejść-by się można:

„Nie rozumiem, jakim sposobem można byt narodu robić zależnym od sztuki, która jest tylko jego ozdobą. To raczej sztuka zależy od narodu, od jego skromnych pracowników. Bo co poczęliby wszechwładni poeci, malarze, fortepianiści, gdyby rolnik, młynarz i piekarz nie dostarczył im chleba, szewc — butów, krawiec — modnego fraka, bankier — pieniędzy i t. d.“ (PRUS). Wychodząc z tego stanowiska, zastanawiano się zupełnie poważnie, czy wielki twórca istotnie więcej wart niż włóka ziemi, i czy społeczeństwo nie straciłoby na zamianie, gdyby mu zamiast posiadanych 848000 włók ziemi dano tyluż (literalnie!) wielkich artystów. — Później setkami całemi sypnęły się urągania na „haszyszowe marzenia,“ „arkadyjskie pikniki w wiszących ogrodach,“ i t. p. — co wszystko miało oznaczać sztukę, która nie chciała zaprzeć się swych zadań istotnych i wejść w służbę jakich bądź celów doczesnych. Aż wreszcie przyszła chwila wyznań otwartych. Z jednej strony pada propozycya, aby usunąć ze sztuki „gmatwające rzecz pojęcie piękna“ (TOŁSTOJ). Acz to, może najpiękniejsze z głupstw, jakie się przydarzają genialnym ludziom, znosi w rzeczywistości sztukę samą, przyjęto je z zachwytem i owczym rozpędem, i miażdżąco replikujące zapytania Peladan'a (a czemże będzie prawo bez gmatwającej rzecz idei sprawiedliwości, wiedza bez idei prawdy, moralność bez idei dobra, każda kwestja bez „gmatwającego rzecz“ jej przedmiotu?) przeminęły bez echa. Tenże Tołstoj twierdzi bezkarnie, że „wielkie dzieła sztuki są wielkie *tylko* dlatego, że są dostępne i zrozumiałe dla wszystkich,“ a gdyby kto nie wierzył, dodaje, że „wzruszająca bajeczka lub piosenka, ciekawa zagadka śmieszny żarcik, to coś niesłychanie ważniejszego niż powieść, symfonia lub obraz.“ Inny autor, mówi o Słowackim, że „gdy na orlich skrzydłach wzniósł się i wkroczył do *Dichters Lande*... w osłupieniu niemal

przypatrujemy się nadczłowieczym wzlotom, kręgom i zatokom autora *Genezis z Ducha*... atoli iść za nim nie możemy... prowadzi nas bowiem w zaświaty, na wyżyny tak zawrotne, że *wolimy* pozostać na padole“ (T. T. JEŻ). Inny znów ostrzega, że „pogoń za pięknością, to najpewniejsza droga do pozy teatralnej i blichtru scenicznego“ (ST. SZCZEPANOWSKI). Inny jeszcze robi zarzut, że „poezya zajmowała w naszem życiu umysłowem zawsze zadużo miejsca“ (J. OCHOROWICZ). Reasumują rzecz wyraźne już zupełnie i godne upamiętnienia „Medytacye:“ „Co myśleć o społeczeństwie, w którem poezya zasłania wszystkie inne sfery życia, a laury oplatają nogi aktorom?“ — „Rasy, do których należy przyszłość, szukają idei pożytecznych; zużyci i dogorywający wzdychają do czystego piękna“ (B. PRUS).

Te otwarcie już wrogie wystąpienia przeciwko samej istocie sztuki, to uświadomienie się nurtującej dawno już w tłumach, tajemnej nienawiści do ostatniej — po „wyzwoleniu się“ z religij i metafizyk — dusz Pani, jest przełomem stanowczym i czyni z prostego terminu astronomicznego, jakim jest koniec stulecia, ideowy punkt zwrotny i jakgdyby słup graniczny między dwiema ducha epokami.

Walki z nowemi objawami sztuki nie były bynajmniej zjawiskiem nieznanem nawet w czasach dawno minionych. Powtarzały się prawdopodobnie od początku świata. Znajdujemy przynajmniej ślad ich już w Horacyuszowskiem „...metuunt versus, odere poetas,“ a wyraźniej jeszcze w Juwenalisowskiem:

Poscimus, ut sit
Non minor antiquo Rubrenus Lappa cothurno.

I u nas, już w XVI w., Januszowski zwraca uwagę, iż „wydawać rzeczy nowe y niezwyczayne niebezpieczno.“

Im bliżej naszych czasów, tem zjawisko powtarza się częściej. Dość przypomnieć za Mickiewiczem, że Gottsched uważał naśladowniczą szkołę poetów szlązkich, za klasyczną, własne wiersze za najwyższy wytwór klasyczności i narodowości niemieckiej, Lessinga zaś, Klopstocka, Goethego za nieumiejętnych i zuchwałych nowatorów. U nas przybrało to natychmiast kształty homeryczne. „Jedni—świadczy Mickiewicz — śmieją się z Goethego, którego dzieła na całym ucywilizowanym świecie aż do rogatek warszawskich tłumaczono, czytano i ceniono; drudzy cieszą się, że nie umieją po holendersku i nie czytają Lessinga; inni radzą nawet wyciągnąć kordon zdrowia, (— jakaż zdumiewająca paralela z „Dezynfekcyą sztuki“ St. Szczepanowskiego! —) ażeby przypadkiem nauka nie wkradła się z zagranicy.“ A dalej wielka batalia Byrona z krytykami i recenzentami szkockimi, słynna zawierucha około Hernaniego i przedmowy do Cromwella, wreszcie napaści klasyków naszych na Mickiewicza, które dzisiaj tak oburzającemi i bezwzględnie niesłusznemi wydają się właśnie najzajadlejszym dzisiejszych „nowych kierunków“ pogromcom.

Wszystko to jest objawem bardzo naturalnym, psychologicznie i filozoficznie najściślej dającym się wytłómaczyć. Podobnie jak religia, metafizyka, mistyka, — sztuka jest oknem ku nieskończoności, pryzmatem, przez który — nie mogąc objąć jej całej — to z tej, to z owej strony w bezdenną otchłań jej wglądamy. Dlatego niemasz nowej sztuki; są tylko nowe sposoby, nowe próby, nowe pragnienia odsłonięcia, pod nowym kątem, z nowej strony, tej samej, wiecznie jednej, wszystko ogarniającej jedności bytu. Człowiek — powiedział ktoś — jest jak drzewo, którego korzenie i gałęzie rozciągają się w nieskończoność we wszystkie strony. Ale, o ile duch dąży do uniwersalizacyi, do ogarnięcia całości bytu, o tyle ciało do indywidualizacyi, do oderwania każdego poszczególnego

zjawiska od jedności świata. Ciało ma stanowczą przewagę w tłumach, duch działa w jednostkach twórczych. Każdy ruch intelektualny czy artystyczny, to walka spontaniczności z inercyą, ducha z materyą, twórczości z nawyknieniem, uniwersalności z indywidualnością (a raczej z fenomenizmem), nieskończoności ze skończonością. Tłum widzi tylko widzialne tej walki objawy w bohaterach przełomów ostatecznych odnoszących co pewien czas, i na pewien czas, mniej lub więcej głębokie zwycięstwa i wyłącznie obdarzanych z tego powodu mianem geniuszów. Walka wszakże nie ogranicza się w istocie do owych chwil przełomowych. Duch buntuje się ciągle przeciwko ograniczoności cielesnej. Ukryta praca prekursorów (a to znaczy: niemniejszych twórców od zapisanych w dziejach sztuki zwycięzców) trwa ciągle i umożebnia owe peryodyczne przełomy i tryumfy, przygotowując zwolna pełną drgań i pragnień atmosferę i rozbudzając śpiącą normalnie w tłumach pod tłem kontygencyj i efemeryj tęsknotę do wieczności i nieskończoności. Walka z prekursorami tymi jest stokroć bezwzględniejsza niż batalie w chwilach przełomowych, jest to walka stanowczego nierozumienia, kończąca się ich zapomnieniem i przeniesieniem całej admiracyi na przychodzącego w następstwie widzialnego geniusza. Boje te toczą się nieustannie, bo po każdym błysku nieskończoności, po każdem drgnieniu tęsknot, inercya odzyskuje swe prawa, i dzieła uznanych nawet geniuszów, zmieniając się wprędce w martwą literę, z której już pierzchła dla tłumu duchowa treść nieskończona, służą, przez psyttacyzm, do zwalczania nowych ku tejże nieskończoności dążeń. Oto geneza t. zw. martwych reguł sztuki. Idą one dla tłumu a posteriori z twórczości geniuszów. U tych ostatnich miały one istotną wartość i znaczenie kategoryczne; później dopiero straciwszy treść duchową, nabrawszy charakteru anegdotycznego i zmie-

niwszy się w pozorami jeno łudzące widma, obumierają i trupami swemi zawalają drogę nowym ducha wysiłkom.

Dobrze wszakże jeszcze, gdy nowatorzy mają do zwalczania choćby znieruchomiałe i bezduszne formy, ale które są zewłokiem żywej niegdyś i wielkiej treści. Jest to walka twórczości z erudycyą i uczonością, znającemi — choć powierzchownie, choć zewnętrznie — przeszłość sztuki. Takie były starcia dawniejsze, aż po romantyzm włącznie. Późniejsze walki z nowemi objawami twórczości — trudno już zaiste powiedzieć, w imię czego prowadzono. Frazes, bezmyślność, atrofia estetyczna, anarchia pojęć, słaba lub żadna znajomość przeszłości, brak wszelkiego autorytetu, obce sztuce widoki i cele — oto co samozwańczo przeciwstawiało się wysiłkom nowatorów, którzy w ten sposób zmuszeni byli odpierać najuporczywszą z arogancyj, arogancyę nicości. Rozpatrzmy dla przykładu zarzuty czynione przez Mickiewicza „krytykom i recenzentom warszawskim,“ w porównaniu z analogicznemi walkami późniejszemi przeciwko „nowym kierunkom.“ Urąga wprawdzie autor „Dziadów“ taktyce „recenzentów, lubiących o rzeczy niewiadomej rozprawiać ogólnemi zdaniami, które w literaturze zamiast znaku x używają się“ (zdałoby się, że o dzisiejszych krytykach *fabula narratur!)*, — wnet wszakże potem wyznaje, iż „recenzenci, jakiekolwiek jest ich zdanie, należą prawie zawsze do klasy ludzi czytających książki, przynajmniej polskie.“ *Olim, olim istud erat!* zawołać możemy z Kochanowskim. Jeżeli czytaniem książki nazwiemy nietylko przebiegnięcie stronnic oczyma, lecz zastanowienie się nad treścią rzeczy przeczytanej, to kategorycznie twierdzić możemy, iż recenzenci dzisiejsi nie czytają książek, o których wydają sądy. Uskarża się dalej Mickiewicz, że „w ocenianiu szczegółowem autorów i ich porównywaniu, powtarzały się wiecznie szkolne topiki: ten np. autor lekki, dowcipny, zabawny, tamten ponury, smutny,

górny i t. p.“ Zdawałoby się, iż zupełnie jak za naszych czasów, gdy za całą charakterystykę starczą nic nie mówiące etykiety (ten dekadent, tamten symbolista, ów modernista etc.), lub wyszarzane ogólniki (fotograficzna wierność odtworzenia, baczna obserwacya, drażniące wonie modernizmu i t. p.). Za Mickiewicza jednak tak źle nie było, świadczą o tem zaraz dalsze jego konstatacye. „Sonety aż do najdrobniejszych szczegółów, aż do pojedynczych wyrazów i wyrażeń, a nawet wyrazowych form i zakończeń, gramatycznie, retorycznie i estetycznie rozbierane i sądzone były.“ Gdzieżby dzisiaj recenzent pracę taką sobie zadawał, a nadto na podstawie czegoż wydawałby sądy, skoro i z gramatyką często bywa źle, a dopieroż z retoryką i estetyką. *Corpus juris* szkoły krytycznej w epoce Mickiewicza „składały kursa literatury w liceach i prytaneach francuskich naówczas używane, przedmowy znajdujące się na czele dzieł Corneille'a, Racine'a i Voltaire'a, rozbiory i komentarze.“ Teoretycy umieli jednak coś wówczas, skoro mogli „z litością na mówców wołać: isti homines, me hercule, habet talentum, sed non docti, rhetoricam non frequentaverunt, non illuminant orationem figuris; ubi est hipotyposis, aposiopesis, prosopopoeia, sustentatio, praetermissio? Gdzież są dzisiaj krytycy, którzyby o podobnych rzeczach cośkolwiek, choć ze słyszenia, wiedzieli, którzyby autorowi jakieś uwagi zdolni byli robić co do jego rymów, rytmów, okresów i w ogóle technicznych stron jego twórczości? „W wyroku o stylach, albo raczej o stylu, bo jeden tylko styl znano, do jednego dążono, wyłączną miały powagę retoryczne i gramatyczne o wierszach przepisy.“ Dziś żadnego stylu się nie zna, żadnych retorycznych i gramatycznych przepisów; żadnych się też kryteryów nie ma do sądu, a jednak z zuchwalstwem sądzi się wszystko, co wpadnie pod rękę. I to nietylko krytycy zawodowi. Mickiewicz użala się na pew-

nego recenzenta, który „nie skąpi dlań wyśmienitych przestróg o potrzebie pracowitości, o strzeżeniu się miłości własnej, o posłuszeństwie dla krytyki... Z powołania publicysta i statysta nie śmie *(jednak!)* wdawać się w rozprawy literackie i nie wiedząc sam, czy mu poezye moje podobać się mają lub nie? pyta się o to uczonych warszawskich.“ Użala się Mickiewicz niesłusznie.

. . . . . . Cóż gdyby
Obaczył temi czasy pełne wiatrów mózgi,
I pełne dymów głowy, górne animusze,
Nadęte ambicyą, oraz próżną chwałą;
(K. OPALIŃSKI).

gdyby się znalazł wśród dzisiejszego mrowia reporterów, doktorów, adwokatów, księży, historyków, ekonomistów itp., którzy nie mając najmniejszego pojęcia o sztuce, gorzej, najsłabszego jej nawet odczucia, z całym spokojem i pewnością siebie wydają sądy nieodwołalne?

Dziś wszystko już inaczej, wszystko spoważniało;
Jako mówię, postawy dosyć, wątku mało.
(J. KOCHANOWSKI).

Zaiste, dziś dopiero powtórzyć można za Kantem, iż „in diesem Lande in der That noch kein sicheres Mass und Gewicht vorhanden ist, um Gründlichkeit von seichtem Geschwätze zu unterscheiden.“ Że nietylko u nas tak się dzieje, słuszna przeto zastanowić się nad obejmującą wiek ubiegły ewolucyą, która ze schyłkiem stulecia do tak opłakanych doprowadziła rezultatów.

Rewolucya francuska i czasy Napoleońskie wprowadziły na widownię świata, i to pod hasłem absolutnej równości, całe nowe, dotychczas nie uczestniczące w życiu duchowem, masy społeczne, i dały sztuce nową *publiczność*, zupełnie różną od tego, co tak się zwało przed rokiem 1789.

Jakież to były te nowe warstwy? Przyjrzyjmy się zupełnie objektywnie. Ludzie, którzy dotąd przeważnie nic nie mieli do czynienia z rzeczami intelektualnemi, pozbawieni wszelkiej kultury artystycznej, nieznający żadnych tradycyj twórczych, ignoranci pod temi względami absolutni, zajęci zresztą zbytnio swą nową sytuacyą polityczną i społeczną, aby mogli interesować się rzeczami duchowemi. Pod wpływem trybunad i deklamacyj menerów rewolucyi, stracili oni, już u wejścia, wszelką prostotę i szczerość i, acz przez pewien czas oglądali się jeszcze na sądy i zdania mniejszości kulturalniejszych (cała np. walka z romantyzmem francuskim była wyłącznie jeszcze dziełem tych mniejszości), wkrótce wszakże, z jednej strony przez nienawiść przeszłości i obawę reakcyi, z drugiej zaś dzięki rzuconym przez romantyzm ziarnom indywidualizmu i buntu przeciw wszelkim regułom, zapragnęli, nawet w rzeczach sztuki, rządzić się sami, stawiać własne wymagania i narzucać swe sądy. Jakie mogły być te ostatnie, łatwo odgadnąć. Poruszać ich mogły tylko dzieła odpowiednie do ich słabej wrażliwości i niewyrobionego intelektu, zatrącające raczej grubszy naskórek, aniżeli wnętrze duszne. A więc literatura i sztuka tendencyjna, anegdotyczna, miłosna, melodramatyczna, łatwa do strawienia, niewymagająca żadnej subtelności ani żadnego wysiłku. Rzeczy głębsze, gorętsze, niepozbawione wzlotów mistycznych czy metafizycznych, niezrozumiałych i niedostępnych dla tych nowych przybyszów, zaczęły wprędce robić na nich wrażenie znienawidzonego arystokratyzmu, i niebawem rozpoczęło się usuwanie w cień, w niepamięć różnych Berliozów czy Novalisów na korzyść dostępniejszych dostawców. Takie były cechy wrodzone, naturalne tej nowej publiczności. Rozwinęły się one i ukształtowały ostatecznie pod wpływem tworzących się zwolna nowych warunków życiowych, oraz demokratycznego przymusu co do oświaty

elementarnej bez zapewnienia dalszego, rzeczywistego wykształcenia.

Pod wpływem wzmagającego się coraz potężniej kapitalizmu i industryalizmu, życie rozpościerające się dawniej wolno i szeroko po całych krajów obszarach, jęło skupiać się w olbrzymich, niekiedy zupełnie sztucznie wytworzonych ogniskach. Nastąpiła epoka dyktatury wielkich stolic. „Miasta pijawcze," wysunąwszy drapieżnie swe macki we wszystkie strony, jęły wysysać z najdalszych kraju okolic nietylko bogactwa materyalne, lecz i siły duchowe. W kolosalnem stłoczeniu olbrzymich mas ludności na stosunkowo nieznacznych przestrzeniach musiały wytworzyć się objawy bardzo niepożądane: z jednej strony, gorączkowe ubieganie się za zyskiem, chęć wybicia się materyalnego, zajadła walka o byt — i, jako owoc tego wszystkiego, zupełny brak skupienia, zastanawiania się, istotnego życia wnętrznego, które rozprasza się i zanika w zgiełku stutysięcznych interesów, pogłosek, zdarzeń i szmerów wielkomiejskich; z drugiej, niwelacya ogólna, zatarcie odrębności, sparaliżowanie głębszych porywów indywidualnych i ostateczna, miażdżąca przewaga tłumów psychologicznych, w których intelektualne zdolności osobników zacierają się, a natomiast zwycięzko wydobywają się na powierzchnię wszelkie spryty, zręczności, dowcipy i umiejętności eksploatatorskie. Wielkie miasta doprowadziły do niewidzianego przedtem rozpasania najmateryalniejszych instynktów i żądz ludzkich, do niesłychanego wyjałowienia, wypłytczenia i zmiernienia umysłów, do wyziębienia wszelkich zapałów i uniesień, i wytworzyły to, co Leon Bloy streszcza w słowach: *l'absence radicale, essentielle de l'entousiasme en ces temps-ci.*—Przymusowe wykształcenie elementarne, o którego ujemnym raczej wpływie na moralność publiczną wspomniał już niegdyś Spencer, a którego niewesołe rezultaty stwierdzają staty-

styki współczesne, spowodowało gwałtowniejszy jeszcze napływ do wielkich miast całej masy nie wychodzących poza mierność inteligencyj, które chciały odnieść korzyść bezpośrednią ze swego „ukształcenia.“ Wytworzył się przerażający, nigdy snadź dotąd niewidziany proletaryat umysłowy, pełny samozadowolenia, patrzący wrogo na wychylające głowę z pod równościowego strychulca zdolności i wymagający od nich bezwarunkowego naginania się do przeciętnego poziomu. Rozpasała się frenetyczna orgia mierności, podtrzymywana i podniecana jeszcze przez przeróżnych trybunów i heroldów równości, schlebiających tłumom, mówiących im o „tajemniczych silach socyalnych,“ które mają być źródłem całego postępu, o ojcowstwie i *eo ipso* zwierzchniczem stanowisku środowisk i chwil dziejowych względem głębszych, genialnych jednostek, o wyższości zdrowego rozsądku mas nad wszelkiego rodzaju filozoficznemi koncepcyami czy intuicyjnemi wizyami artystów. Czas jakiś, ten „zdrowy rozsądek,“ którego istotę rzeczywistą tak wiekopomnie i tak bezlitośnie odsłonił Kant już niegdyś,*) wystarczał, ze swemi dogmatycznemi apoftegmatami, samozadowoleniu i próżności tłumów. Że jednak natura ludzka ma zawsze popęd do pewnej systematyzacyi i motywowania, i że zresztą każda teraźniejszość jest — według Jana Paul'a Richter'a — małpą przeszłości, więc ci sami, którzy odrzucili, lżąc je słowem

*) In der That ist's eine grosse Gabe des Himmels, einen geraden Menschenverstand zu besitzen. Aber man muss ihn durch Thaten beweisen, durch das Ueberlegte und Vernünftige, was man denkt und sagt, nicht aber dadurch, dass, wenn man nichts Kluges zu seiner Rechtfertigung vorzubringen weiss, man sich auf ihn als ein Orakel beruft... Beim Lichte besehen, ist diese Appellation nichts anders, als eine Berufung auf das Urtheil der Menge; ein Zuklatschen, über das der Philosoph errötet, der populäre Witzling aber triumphirt, und trotzig thut.

I. Kant: Prolegomena.

Hirngespinnst, wszystkie filozofie i metafizyki, zapragnęli mieć swoją własnę filozofię.

I zjawił się „genialny *wulgaryzator,*" August Comte, który zdemokratyzował filozofię i umiał zniwelować wszystko, równie co do doktryny jak co do metody. Przeczuł on i odgadł — powiada E. de Roberty — aspiracye równościowe swojej epoki; zastosował swój pogląd na świat do zdolności umysłowej nowych warstw społecznych, nie przyniósł właściwie nic nowego, związał jeno dogmatycznie w snop jeden pojęcia trzech głównych prądów filozoficznych, które go wyprzedzały: agnostycznego, historyczno-ewolucyjnego i monistycznego, i zdołał sprowadzić je do pozornej harmonii; strzegł się poruszania jakichkolwiek głębszych i zasadniczych kwestyj, badania pryncypiów i punktów wyjścia, bezceremonialnie odrzucał wszystko subtelniejsze i wymagające natężenia umysłu; odwoływał się co chwila do „zdrowego rozsądku" tłumów i doświadczenia codziennego; uspokoił ostatnie skrupuły świadomości ludzkiej, postawiwszy im dogmatycznie granice niepoznawalności; dokonał wreszcie zasadniczej Umwerthung der Werthe, podporządkowując absolutnie człowieka społeczeństwu, temu społeczeństwu, które ma racyę bytu i sens jakiś tylko o tyle, o ile, ułatwiając człowiekowi zwalczanie stawianych przez naturę przeszkód materyalnych, pomaga mu pośrednio do rozwoju idealnego i osiągnięcia najwyższych celów metafizycznych. Nic dziwnego, że usuwając w ten sposób wszystko, co wychodzi poza doczesność, że przemawiając jedynie do niższej, cielesnej połowy człowieka i ubóstwiając ją niejako, że, jednem słowem, schlebiając w ten sposób płaskiej zarozumiałości, lenistwu myślenia, wygodnemu agnostycyzmowi i wszelkiej miernocie, pozytywizm Comte'a natychmiastowe zyskał uznanie i w tryumfatorskim pochodzie zagarnął wszystkie kraje i warstwy społeczne. Uświadomił

on i uprawnił wszystkie bezwiedne pochylenia tłumów z powrotem ku zwierzęcości, całą ich rezygnacyę z godności człowieczej, — i dlatego burżuazyę — w znaczeniu Flaubert'owskiego: *j'appelle bourgeois quiconque pense bassement* — można śmiało, i nawet należy, nazwać jego tworem. *Quiconque pense bassement* — powtarzamy, albowiem burżuazyi nie stanowi wyłącznie pewna klasa, pewna warstwa społeczeństwa, lecz wszyscy, którzy myślą i czują nisko, płasko, przyziemnie, którym „laeva in parte mamillae nil salit“ (Juvealis), którzy zrzekają się wszystkich tęsknot i pragnień idealnych, lub podporządkowują je rzeczom „praktycznym“ i „realnym,“ którzy szydzą ze wszystkich wzlotów, goryczą się na wszystkie porywy i zapały, którzy nie rozumieją, co to jest „życie wzbijające się ponad życie,“ wykazując *ee ipso*, że życiem nazywają jakiś chaos fenomenów żywiołowych; ci wreszcie nawet, którzy, nie czując, jaki to regres, przeciwstawiają z chlubą „żywiołowość,“ to jest sprowadzenie człowieka do roli bezwolnego kółka w maszynie przyrody, uświadomieniu, które jest najwyższym celem istoty ludzkiej. A więc: wszyscy demokraci, którzy upojeni tym swoim tytułem zapominają, że przedewszystkiem są ludźmi; uczeni, którzy, uwielbiwszy „fakt,“ nie pomną, iż twórczość jest zasadniczym warunkiem nauki, i eksperymentują rzemieślniczo pod hasłem *ignoramus et ignorabimus;* księża, którzy, wdawszy się zbytnio w ziemskie sprawy, zapominają o najwyższych celach religii; reformatorzy społeczni i ekonomiczni, którzy nie chcą wiedzieć o żadnych celach i zadaniach człowieka, a teoryę szczęścia budują wyłącznie na dobrobycie doczesnym; artyści, którzy schodząc z podniosłego stanowiska twórców, ograniczają się do roli kopistów i rzemieślników; wszyscy, jednem słowem, którzy *propter vitam vivendi perdunt causas.*

Tych wszystkich, tej ogromnej burżuazyjnej „compacte Majorität“ służebnicą niegdyś była korną, a dziś władczynią jest bezwzględną — rozrosła nagle, gigantycznie, zdumiewająco, nakształt bajecznego głowonoga, prasa peryodyczna. Zacząwszy od przystosowywania się do potrzeb występującej na widownię świata, nowej publiczności, poświęciła ona wprędce, w ofierze molochowi aktualności, — znajomość przedmiotu, o którym się pisze, sumienność i gruntowność w rozpatrywaniu tej czy owej kwestyi, ścisłość i konsekwencyę w udowodnieniach i argumentacyach, samą umiejętność pisania wreszcie, styl oraz indywidualność autorską. Nawet prawi, utalentowani ludzie pióra, nawet pisarze z powołania, nie z rzemiosła, którzy dla jakichbądź przyczyn wpadli w maelstrom dziennikarski, nie zdołali uratować od rozbicia tych kamieni węgielnych zawodu pisarskiego. Konieczność produkowania z dziś na jutro nie pozwalała im ani wyczerpująco poznać przedmiotu, ani dostatecznie pogłębić swych sądów, ani nawet wystarczająco opracować formy zewnętrznej. Wkrótce zresztą, zostali oni zdystansowani i na drugi plan usunięci przez samą kolej wypadków. Przymus szkolny zwielokrotnił niesłychanie liczbę czytelników, niezdolnych w skutek swego pseudo-ukształcenia do korzystania z poważnej produkcyi literackiej czy naukowej, a natomiast ciekawych niezmiernie wszelkiego rodzaju aktualności, spragnionych nie wiedzy, lecz wiadomości. Jednocześnie, ta sama hyperprodukcya niedokształconych ludzi wywołała prawdziwą epidemię pisania, scribendi cacoethes, powiedziałby, przekręcając κακὸν ἦθος, Juvenalis. Dla zapełnienia olbrzymich płacht niepoliczonych dzienników i tygodników, okazała się potrzeba znakomitego wzmożenia produkcyi pisarskiej i liczby piszących. Ponieważ zaś dziennikarstwo stało się zawodem nader zyskownym, więc cała masa ludzi bez talentu, bez kultury, bez znajo-

mości sztuki pisarskiej, ludzi, którzy z równem prawem mogliby — lub raczej nie mogliby — być ratajami, szewcami, lub klownami cyrkowymi, ludzi, którzy — jak mówi Lessing — przez śmierć chyba, stając się prochem z niczego, zyskaćby mogli, ludzi ożywionych jedynie poziomemi żądzami zarobku i taniej sławy, ale duchem i wrażliwością reprezentujących olbrzymie zero, des gens quelconques (słowa humorysty J. Renard'a) qui n'impressionneraient pas une plaque photographique, rzuciła się gromadnie na nowoodkryte, złotodajne Kalifornie tego rzemiosła i obniżyła pod każdym względem, do niemożebnych granic, i tak już nizki poziom prasy. Względy zarobkowe i konkurencyjne wskazały, wprędce już teraz, że niedość jest iść *à la remorque de l'opinion,* niedość dogadzać złym gustom publiczności i do nich się przystosowywać; że trzeba wyprzedzać je, rozwijać dalej i kształtować; że trzeba uderzyć do najsłabszych stron słabej natury ludzkiej, wziąć w opiekę najmizerniejsze instynkty tłumu, bo wtedy, z jednej strony, zdobywa się potężnych sprzymierzeńców w próżności filisterskiej, lenistwie umysłowem i innych podobnych właściwościach czytelników, z drugiej zaś, usuwa potrzebę jakichkolwiek ulepszeń, jakichkolwiek zdolności czy umiejętności. I rozpoczęło się przerażające dzieło korrupcyi, oparte na schlebianiu wrodzonej zarozumiałości ludzkiej i kadzeniu płytkiemu „zdrowemu rozsądkowi.“ Wyrabiano otwartą niechęć do każdej rzeczy gruntowniejszej lub głębszej, jako do zamachu na indolencyę umysłową czytelnika, a zarazem do karygodnej chęci imponowania mu. Ganiono i potępiano z tychże względów każdy poryw ku nowości i oryginalności, a wychwalano natomiast nieprzeszkadzającą dobremu trawieniu banalność, zdawkowość i wierność zużytym frazesom. Uczono zastępować znajomość i zdolność charakteryzowania przedmiotu umiejętnością sprytnego etykietowania

rzeczy jakiembądź, choćby nic nie mówiącem, ale chodzącem odtąd, jak liczman dobrze sfałszowany, słówkiem. Studzono gorliwie wszelkie zapały, porywy i entuzyazmy, ośmieszając je i piętnując wzgardliwemi mianami szaleństwa, młodzieńczości, poezyi (tak!), donkichoteryi i t. p. Zabijano wszelką wrażliwość, odzwyczajając od chwilowego choćby milczenia i zastanowienia; ośmielano wreszcie do wydawania najzuchwalej stanowczych sądów, w najbardziej szablonowych i nic nie mówiących frazesach. Zaraza jęła szerzyć się piorunująco. Obniżenie poziomu dusznego doszło do ostatecznych granic. 99% tego, co się szumnie zwie dzisiaj inteligencyą, podciągnąć można stanowczo pod kategoryę wspomnianej wyżej burżuazyi, która życiem swem zadaje kłam racyi swojego istnienia. Trudno znaleźć dzisiaj człowieka z trochą milczenia, wrażliwości i cichego a gorącego zapału. Na ogół zgiełk tylko „przecinających wszystkie kwestye“ a próżnych treści głosów. Nikt dziś prawie nie żyje, nie czuje, nie myśli dla siebie, dla zgłębienia, rozszerzenia i podniesienia własnej duszy. Wszystko mówi się i robi na pokaz, dla zdobycia bądź zysku bezpośredniego, bądź karyery, bądź popularności taniej. Same cele doczesne i przemijające; o wielkiem słowie: „cóż mi przyjdzie, choćbym świat cały zyskał, jeżelim duszę stracił,“ nikt zdaje się nie pamiętać. Zaraza padła nawet na tych, którzy z natury powołania czy zawodu swego winni byli okazać się niezłomnymi stróżami i obrońcami rzeczy najwyższych, na duchowieństwo i na artystów samych. I ci nawet dali się pociągnąć ogólnemu prądowi i występują częstokroć wrogo przeciwko głębszym sztuki objawom. Co do księży, jakże smutnym — po wielkich tradycyach przeszłości — zjawiskiem jest np. gromadne prawie przyłączenie się do krucyaty przeciwko Pięknu, ogłoszonej przez takie uosobienie płytkości, płaskości dusznej i praktycznego materyalizmu,

jakiem był smutnej sławy Max Nordau. Z artystów znowu

in medio qui
Scripta foro recitent, sunt multi;
(HORATIUS)

mając do wyboru zapomnienie albo popularność, którą daje prasa, ta wyłączna pośredniczka między twórcą a publicznością, większość ich godzi się na kompromisy i ustępstwa oportunistycznie przystosowuje się do zdania ogółu i stacza się powoli na jego poziom.

Widownią walki ze sztuką były początkowo tylko łamy dzienników. Tam ograniczała się ona do inwektyw i napaści przeważnie gołosłownych i dlatego mniej jeszcze szkodliwych. Gdy publiczność została już należycie „wychowana,“ dziennikarze, nie zadowalniając się już sporadycznemi wycieczkami we wzmiankach i doraźnych artykulikach, jęli systematyzować swe teorye i postulaty i pociągnęli za sobą gromady dotkniętych „chorobą pisania.“ I posypały się całe masy broszur, książek, studyów o sztuce i literaturze, pisanych bez najmniejszego przygotowania i znajomości rzeczy, rabujących wprost lub pośrednio dzieła, które jednocześnie lżono lub ośmieszano, robiących zarzuty, które tylko wobec ogólnej bezmyślności na seryo mogły być brane, stawiających wreszcie teorye i wnioski świadczące o braku jakiegobądź przetrawienia nawet tego, co się miało pod ręką, i o zdumiewającej poprostu niezdolności porządnego myślenia. Wiekuistemi pomnikami takich produkcyj zostaną: *Enquête sur l'évolution littéraire* Huret'a (gdzie reporter-autor, podpisany na okładce, lży w przedmowie pisarzy, z których zdań i wynurzeń zlepił swoją książkę, nic absolutnie od siebie nie dodając), oraz ten szczyt akantofagii, ta sui generis biblia pauperum, to vade mecum bezduszności burżuazyjnej: *Entartung* Maxa Nordau, z całem, niepoliczonem potomstwem.

Die Schriftstellerei — powiedział ongi Schlegel — *ist, je nachdem man sie treibt, eine Infamie, eine Ausschweifung, eine Taglöhnerei, ein Handwerk, eine Kunst, eine Tugend.* Z sześciu tych kategoryj dwie ostatnie zawsze były w mniejszości, w drugiej wszakże wieku ubiegłego połowie znikły prawie doszczętnie w czterech pierwszych zalewie.

Nie wojowanie czcze, ani nawracanie tych, co z prądem już poszli, celem jest powyższych refleksyj. Co do pierwszego, powiedział już wprawdzie przed laty Jean Paul Richter: „es gibt Menschen und Zeiten, wo einen rechtschaffenen Mann nichts mehr erquicken könnte als — Prügel die er gäbe"; ale u schyłku wieku zwrócił uwagę Leon Bloy, że życie jest zbyt krótkie „pour rosser tout le monde." Co do nawracania zaś, można rzec śmiało, że byłaby to praca zupełnie stracona. Chodzi nam więc tylko o tych nielicznych, którzy, mając w rzeczach sztuki podnioślejsze aspiracye, nie mogą jednak sami dać sobie rady wśród chaosu pseudo-poważnych, stawianych nowym kierunkom zarzutów (niezdrowia, zmysłowości, kosmopolityzmu, pessymizmu, egotyzmu, niezrozumiałości, mistycyzmu, dekadentyzmu), oraz płytko, bez zrozumienia lub ze złą wolą używanych terminów i definicyj (symbolu, sztuki, piękna, geniuszu, treści i formy, sztuki dla sztuki i t. p.), i błąkają się rozpaczliwie w tym lesie, nie znajdując żadnej ku wyjściu wiodącej ścieżyny. Chodzi nam przedewszystkiem o nowe, wchodzące w życie generacye twórcze, które przez chaotyczną tego wszystkiego gęstwinę przedzierać się muszą. Dziś, jak nigdy, „ludzi młodych myśli dziwnie się wahają" (KOCHANOWSKI za Homerem), dziś, jak nigdy, „es ist dafür gesorgt, dass die Bäume nicht in den Himmel wachsen" (GOETHE). Gwoli tym szukającym, gwoli tym młodym, chcemy rozpa-

trzyć kolejno wszystkie wymienione wyżej zarzuty i określenia, co równoznacznem będzie z próbą rozstrząśnięcia nanowo zasadniczych zagadnień estetyki, sztuki i twórczości. Nauczać nie chcemy nikogo; pragniemy jedynie, aby rozstrząsania nasze obudziły lub podnieciły zdolność głębszego, sięgającego aż ku dnom rzeczy zastanawiania się. Wiedzę, świadomość każdy czerpać musi z siebie, nie z innych, atoli drogę dobrym wysiłkom przez usunięcie namułów frazesowych skutecznie utorować można, i to — po niniejszem wstępnem stwierdzeniu ogólnego stanu atmosfery duchowej — naszem będzie zadaniem.

Zenon Przesmycki.

Wół i Żóraw.

Wiosną, kiedy żórawie
i inne włóczęgi
z cudzoziemskich wróciły wód,
i w młodej trawie ojczystej brodząc
za żerem (wszędzie ściga nas głód),
zwiedzały błonia, moczary i łęgi;
kiedy owadom miłosne mgnienie i śmierci erę
zwłastował czarną jaskółek przylot;
kiedy mazgaje słowiki żonom po gajach kwilą;
gdy nad ruczaje chwiejne wikliny
iście pochylą; kiedy motylom już porzucono,
jak nowe cacka,
w darń polne kwiaty dziecinnolice;
kiedy pastucha, grając tęsknicę swoją
z prostacka,
w fujarki wylot stukał „palicem";
gdy w jarach jaśmin i głóg zakwita,
powój zroszoną wypręża czarę: —
orką strudzony pod żyta jare, Wół
na pastwisku legł, nieciekawe oko
w dal wlepił i żuł murawę.
Żóraw, co właśnie był na tę chwilę
skończył swą wartę,
skierował w stronę Wołu badyle nożne
i rzekł w te słowa nieco utarte:
— „Witaj mi, jego mości wołowa."
— „Witajcie kmotrze. Goście z was rzadcy."
— „Jak zdrowie radcy?"
— „Ot, aby-aby. A wam jak służy?"
— „Dziękuję, nieźle jak po podróży."
— „Powiedz też, panie obieżyświecie,
czy na obczyźnie słodsze są żaby

i czy nie nuży wciąż tak się szastać
po bożym świecie? Mnie-bo przechadzka nawet
do sioła z roli obrzydła: jest bez pożytku.
Wybacz, jeżeli tem cię obrażę, alebym wolał,
żebyś raz osiadł już, do stu jarzem!
Co cię tam woła?“
— „Dość mam was, bydła, mój czworonogu,
wiosną i latem! Gdybyś miał skrzydła,
to mógłbyś pojąć, co mnie tak goni.
Bodaj w Assyryi czy Babilonii niegdyś bywały
hufce skrzydlate wołów czy byków,
słowem — mołojców: te wzlatywały
nad ziemską trawę... Lecz dzisiaj niema
ni ojców byczych takich ni matek!
Pługi wam tylko
włóczyć niemrawem cielskiem w zagonie!
gnój wam na podściół i czarna skiba!
cała poezya w was — chyba kwiatek
przy sztuce mięsa, po marnym zgonie
za murem jatek!“
Słuchal Wół, słuchał, i coraz niżej
ciężka się schyla głowa wołowa.
— „Tak, tak... Lecz co tam, kmotrze — baj-baju...
Jeśli cię latać już tak przypila —
toć możesz w kraju.
Jeśli koniecznie już tam w niebiosy'ć trzeba,
czyż mało swojskich przestworzy?
Albo to u nas ptaków nie dosyć,
którym nie śniło się o podróży,
i żyją — żyją cały rok boży?
A jak to miło co dnia w rodzinne
wracać pielesze w pobliżu chaty,
albo na strzesze... Cenią cię, strzegą...
A przyjdą mrozy, to z indyczkami
masz pomieszkanie: ciepło jak w uchu,
na zawołanie wikt —“
— „I rozmowa z pseudo-kolegą,
który nad studnią kubełek trzyma, —
życie — niczego!.. Zrozumiej, Wole,
że nie każdemu znów się uśmiecha
kołkiem zabita rodzinna strzecha...

Czy wam tak wiecznie żyć przeznaczono
w ciepłym stosunku z radłem i broną?
Czy wam tu nigdy, nawet we święto
dusze nie płoną?.. I gdzież wy myślą
jesteście, kiedy wytchnienia cisze
legły wieczorne, kiedy uprzęże
zdjęto z was, kiedy zwolna ustają
roboty orne i noc się lęże?
Czy was, w mozole, Wołów oślepłych,
już w nozdrza kole wszystko,
co nie tchnie odorem mierzwy?
Czy wam, ratajom, nic się tu nie śni,
że tam przedwieczne w kamiennej cieśni
szlochają morza, że obłąkany wichr
puszcze łamie, że po szkieletach
brną karawany; że góry tają żar i płomienie
law na zniszczenie prac od stuleci?..
Wam dobrze, którym dość, że rozsądny
wiatr kornie dźwiga wał wiatraczany,
że owinięta we mgły, tumany, śpi
ziema płaska — dobrze wam; ale
nas, ptaki, łowi tu człowiek „cwany"
w wyzysku pęta... Ot masz —
bocianom już niemowlęta każe przynosić!
albo studziany żóraw? — zeń drewno,
skrzypiące skargą w poziomym trudzie
zrobili ludzie. Im jeno pozwól,
wnet cię zaprzęgą. O, sambyś pewno,
stary ciemięgo, zaryczał raźniej,
gdybyś mógł z nami fruwać nad ziemią,
tam, pod chmurami, kiedy w tryanguł zgięci
lecimy — tam... Czy dasz wiarę? — tam niema zimy:
na lodozwały górskie wygnana
ziębnie samotna w bieli skostniałej.
Tam rozbiegane morze się tłucze w dole
o skalną krawędź i pieni
i łamiąc dłonie z bladej bezsiły
powraca w tonie, a my — wzniesieni — lecimy —
klangor dzwoniący!"
— „Tak, tak... poezya... dziecinada...
wyobraźnia chora... Mój kmotrze,

nie żyje się od wczora, słucha się,
gada, toć zawsze coś-nie-coś o uszy się otrze.
Górne loty!.. Poezya!.. Znam ją.
Pamiętam, gdym byczkiem tylim-ot był,
od stadam odbiegł raz i, luzem chadzając,
wlazłem w zakazaną wyczkę.
I cóż powiesz? Poskubawszy trochę,
wróciło się z guzem do obory — i finis.
Takie rzeczy plamią.
Szczerze ci powiadam: rzuć latanie płoche;
jak mnie tu żywego widzisz —
najlepiej przy pracy...
Ale com to chciał mówić?.. Powiedz-no,
dlaczego wy, ptacy,
jeśli lubicie obcy daleki kraj ten,
jeżeli łaskawsze są dla was te morza, te spieki:
nie zostajecie w tym kraju nazawsze?"
— „A ty, szanowna arko rolnicza, powiedz,
czy nigdy nie gna cię w pole
nic oprócz bicza? Jakże z tym Majem?
Pytasz, dlaczego tam na obczyźnie
nie pozostaję? dla czego wracam?
Wracam, ponieważ tutejsza wasza
wiosna... ponieważ... E, co tu gadać!.. Jest chwila
kiedy ból ci się wśliźnie w serce
i dręczy tak, że — zaśpiewasz, krzykniesz
i lecisz... Chcesz jak najdalęj być od krainy,
gdzie wszystko pali,
gdzie sztywny kaktus się rozpanasza;
gdzie aloesy, tkwiące w szczelinach,
grzeją zielone cielska, jak płazy;
gdzie oschły cyprys ponuro wwierca
korzeń w upłazy; gdzie cień mordują żary i susze,
gdzie rzeki niebu oddają dusze,
pokotem leżąc, pousychane, jak wężów skóry...
Widać to z góry... Widać, jak pinie zgarbione,
małe, na szczyt się skrabią wyżyn, upałem
zdjęte; w przelocie widzisz odarty
z kory eukalyptus uwiędły, chory, i palmę,
która w cień nie odziewa pnia,
co, bezlistny, jak kij żebraczy

w pustynnym blasku!..
U was inaczej!
Tu już wiosenna przeszła ulewa.
Mokra, spłókana czerni się droga,
niebo różowi ranna pożoga; leniwe chmury
pół-senne biegą, i przydrożami — hen, wedle płota,
wsiowi zdążają zwolna, gęsiego.
I nad rosami pól wczesnem ranem lecąc,
obejmiesz skrzydłem zmachanem
widok tych nizin, tych błót i błoni,
i padniesz w łące, w kwietnej ustroni.
Tu cię muzyką jak najgoręcej wita
owadzi chór i ptaszęcy;
tu ci radośniej dźwięczy brzęczenie
mizernej muszki; radośniej kwitną
małe kwiatuszki, co swe liściny
chwieją posłuszne lichym wietrzykom;
twój nawet, wole, kadłub mnie cieszy..."
— „Przerwij, Żórawiu, do stu lemieszy,
nudną tyradę! Niech tam już sobie
„kwiatuszki" rade, ale mi nie chwal much,
tych hultajów bąków —
pijawek, co wciąż mnie kłują!
Dość tych zabawek!
Precz z tym owadem, precz z tobą, z Majem!..
To ja, przy sosze, wylewam w glebę
ostatnie poty, od ludzi batem dostaję,
od was pogardę znoszę, hołoty, —
naści!!!"
Tu, chcąc Żórawia przebóść, nastawia
już do napaści łeb, ale Żóraw
zerwał się z muraw, i to go zbawia.

Wół rozjuszony
ziemię w rankorze kopytem orał
i traw zielony liść kalał śliną,
a ptak zaśpiewał jakowyś chorał
i w lazurowe — hen, ku wyżynom —
leciał bezdroże.

Jan Lemański.

GLOSSY.

Krytycy i recenzenci.

Nie bądź mi stryjem, Rzymianie mawiali,
Kiedy się komu karać nie dawali.
(J. KOCHANOWSKI).

Stryjami *Chimerze* chcieli być wszyscy. Powitano ją „życzliwie", ale tak się, widać, przyzwyczajono do pism zakładanych bez świadomości celu i dowiadujących się dopiero od krytyków, po co właściwie były założone, — że i w tym wypadku każdy stryjaszek poprawiał, objaśniał, wskazywał wzory, dawał admonicye lub aprobaty i z łaskawą względnością przyznawał nam „pewne" zasługi. *Di magni, salaputium disertum!* chciało się zawołać z Catullem, po przeczytaniu każdej krytyki z osobna. Nie mogliśmy wyjść z podziwu, że przy tylu znawcach, wiedzących daleko lepiej od nas, co i jak robić należy, kraj nasz oddawna już nie posiada pisma w typie *Chimery*, a raczej daleko lepszego od niej. Chcąc skorzystać z rad wszystkich, ułożyliśmy zdania o każdym po kolei z zawartych w I numerze *Chimery* utworów i artykułów, w tablicę synoptyczną. I śmiechem wybuchnęliśmy serdecznym. W zestawieniu tem dopiero, gdy jedna pewność siebie zaczęła kłócić się z drugim „aplombem," wyszły na jaw olśniewająco: ignorancya zupełna w rzeczach sztuki i literatury, zdziecinnienie poprostu w myśleniu i wnioskowaniu, dziwna mania rozpatrywania sztuki ze wszystkich stanowisk, prócz jedynie właściwego — jej własnego, nawyknienie do szermowania nic nie mówiącemi, przeżytemi pojęciami lub frazesami, wreszcie gruboskórność ostateczna, wykluczająca z góry wszelkie prawdopodobieństwo jakiejkolwiek wrażliwości estetycznej. Biedni stryjowie (jeżeli wyjmiemy kilka poważnych głosów, które cenić umiemy) rozprawiali, zda się, o żelaznym wilku; to też podobnego chaosu krzyżujących się zdań dawno snadź u nas nie widziano. Jęliśmy tedy pytać stryjaszków o legitygimacye. Reporterzy, jako ludzie bezimienni i pozbawieni osobowości, dyskretnie w tył się cofnęli. Z lewicą na sercu sprezentował się posągowo b. (niestety!) poseł narodu, motywując swe prawa do

wyroków o *Chimerze* brakiem jakichkolwiek stosunków z ministeryum oświaty podczas swojej działalności parlamentarnej. Za nim kroczył półoficyalnie c. k. radca i redaktor i, bawiąc się od niechcenia kluczykiem szambelańskim, okazał nam jako dokument wystarczający fotografię swoją z wybitnym powieściopisarzem. Gromadnie posunęli się reformatorzy społeczni, przedstawiając pudełeczka różnych doktrynek, oraz „flaszeczki ducha“ do „wylania ich na miliony,“ i roniąc słodkie łzy wszechwspółczucia. Księża usprawiedliwiali obecność swoją tem, że dawno wszelkie ze sztuką zerwali stosunki. Znawcy obcych doskonałości wydobyli z kieszeni jednozgodnym ruchem najnowszy typ *cri-cri* i oświadczyli jednogłośnie, że czują puls świata bijący na *Avenue de l'Opéra*. Kolej przyszła na różnych Hopsztyckich, którzy mają majątek, stanowisko lub urząd, *a więc* znają się na sztuce. Za nimi delegaci powiatów i zaścianków (zwłaszcza lwowskiego) wołali chórem: „W imię kapusty! w imię kapusty!“ Na końcu szło kilku poetów dziwnego nabożeństwa, kłaniających się na wszystkie strony i plujących żółcią w imieniu zapoznawanych — „uznanych.“

Pełno nas, a jakoby nikogo nie było, powtórzyliśmy cicho za Kochanowskim.

. . . .

Tak jest, panowie, u was to właśnie laurowo i ciemno, czyli — tłumacząc na dostępniejszy dla was język — zarozumiale i bezmyślnie. Nie mamy do was pretensyi za wasze krytyki czy nagany, lecz i polemizować z wami nie będziemy. Niepodona przy każdej kwestyi z każdym z osobna zaczynać od A. Zamiast czynić to dorywczo w odpowiedziach na zarzuty, wolimy systematycznie i konsekwentnie rozstrząsnąć wszystkie kwestye, które się wam wydają spornemi, w seryi gruntowniejszych artykułów. Rozpoczynamy je w dzisiejszym zeszycie i do nich was odsyłamy.

Dwóm tylko panom kategoryczną raz na zawsze musimy dać odprawę, z powodu, iż do niedziwiącej nas płytkości sądów oraz ignorancyi dodali zupełnie wyraźną nieuczciwość.

U p. Krechowieckiego, zestawienie poematu Zeyera z hasłem *écrasez l'infame* można wytłumaczyć tylko jedną z alternatyw: albo p. K. jest tak maluczki duchem, że przez naiwność miesza sprzeczne biegunowo koncepcye, albo też jest to prosta nieuczciwość, świadoma fałszu swego denuncyacya, mająca źródło w nienawiści do wielkiej sztuki, lub też w przyjaźni do pewnego „kochanego“ (nie „dobrego“— panie K. — „kochanego!“) pana. Że jest to raczej świadoma zła

wola, świadczy cały szereg drobniejszych, lecz niemniej „uczciwych“ insynuacyjek i sfałszowanych cytat z pierwszego numeru „Chimery.“ *Chimera* nie gardzi czytającymi, t. j. ludźmi szczerymi i pragnącymi czegoś; po tysiąckroć natomiast stwierdza pogardę swą dla nieczytających, niemyślących, a zuchwałe wydających sądy — i tych jedynie nazywa „motłochem.“ —*Chimera* mówiła o Sienkiewiczu, nie o panu K., to też nie proponowała wcale wieńczenia go makaronami włoskiemi. Owszem, nie wchodząc w merytoryczne zasług roztrząsanie, zwracała ona jednak uwagę urządzających obchód, że jeśli się kogoś czci, to czcić wypada z należytą powagą, ze świadomością, czem jest wawrzyn, i nie klepiąc wieńczonego po ramieniu. — Niewymownie smaczna lecz i bardzo tania jest insynuacya co do „zawiedzionych ambicyj.“—Denuncyacyjką pod adresem samozadowolenia i próżności tłumów pachnie zarzut „wyniosłej bezwzględności sądu.“ — Uwaga o nadmiarze cytat, mającym dowodzić „nieprzeżucia, nieprzetrawienia“ i braku oryginalności (wszystko to się tak gładko mówi bez dowodów), — nie skłoni nas do praktykowanego tak często „przeżuwania“ cudzych myśli aż do... wydania ich za swoje własne. — Należałoby, dalej, raz skończyć z ciągłem odsyłaniem do języka Kochanowskich, Skargów, Mickiewiczów, Słowackich. Gdyby Skarga oglądał się ciągle na Kochanowskiego, a Mickiewicz i Słowacki spożytkowywali jedynie spuściznę Kochanowskiego i Skargi, to nie mielibyśmy ani języka Skargi, ani Mickiewicza, ani Słowackiego. Gdyby pisarze żyli przeszłością jedynie, byliby tylko jej pasorzytami; gdyby język przestał się rozwijać i wzbogacać, zacząłby w tejże samej chwili cofać się i, mimo całej świetnej przeszłości, po pewnym czasie obumarłby niezawodnie. Jeżeli kto zresztą może mówić o języku, to z pewnością nie p. K. Traktując z góry i protekcyonalnie takich twórców jak Zeyer, Kasprowicz, Przybyszewski, a biorąc natomiast za dogmat prostą omyłkę dziennikarską, nb. sprostowaną wnet potem przez autora (to się po panu K. nie pokaże), stwierdza on dowodnie, że nie tylko nie zna słów najpospolitszych, ale chwiejny jest bardzo nawet w przypadkowaniu. Pomijamy cały szereg innych świadomie pofałszowanych lub wykrętnie komentowanych cytat z *Chimery;* pomijamy insynuacye o „usłużnym reklamiście“ (jeżeli p. K. miał na myśli wzmiankę na parę dni przed jego felietonem zamieszczoną w *Gazecie lwowskiej,* świadczyłoby to tylko o słabych zdolnościach redaktorskich lub zmienności usposobień), — natomiast liczne aluzye do powieści Przybyszewskiego i do „ulubionych mu dziś tematów,“ musimy nazwać prostem — chamstwem.

Artykuł w *Przeglądzie katolickim* pisany jest z pianą na ustach, co już samo nie przystoi księdzu, jakim zapewne jest szlachetnie bezimienny X. Pominiemy tu znowu całą ignorancyę autora, fantastyczne imiona nieistniejących pisarzy (Amginst?!), błędy gramatyczne („nie wielbi tak otchłannego twórcę“ — sic, sic, panie łaskawy!), pominiemy wszystkie tak niesłychanie dowcipne bzdurstwa o panegirykach, laurach, ciemnościach, zapoznaniach. Wszystko to są rezultaty owej piany na ustach, oraz nieuctwa, nad którem w tym samym numerze *Przeglądu katolickiego* zastanawia się w dalszym ciągu ks. Niedziałkowski. W temże samem nieuctwie, nawet co do kwestyj teologicznych, w niezdolności do wzniesienia się ku najwyższym pojęciom teologii i filozofii, można jeszcze i jedynie szukać źródła sądu o *Na Synaj* Zeyera. Za to mianem prostej nieuczciwości napiętnować musimy wszystkie inne zarzuty bezimiennego recenzenta. Popełnia on kłamstwo *świadome,* twierdząc, iż pierwszy akt *Axela,* „pełen jest najstraszniejszych i najszkaradniejszych inwektyw i nikczemnych zarzutów przeciwko życiu zakonnemu.“ *Niema tam* — twierdzimy to kategorycznie — *najmniejszego śladu czegoś podobnego* — i pan X., gdyby się był chciał nieco poinformować, byłby się dowiedział, że hr. de Villiers de l'Isle Adam nie był wcale „ateistą,“ lecz jednym z najżarliwszych katolików. Oszczerstwem równie świadodomem jest zarzut niemoralności zrobiony poematowi Kasprowicza. Znaczenie ma jedynie duch utworu, zamiar autora, nie zaś pojedyncze słowa czy wyrażenia. Gdyby inaczej było, musielibyśmy nazwać niemoralnością prosty rachunek sumienia w książce do nabożeństwa, a jeżeli chodzi o dosadność wyrażeń, to zapewne p. X. nazwałby również bluźniercami — dajmy na to — Odona z Cluny, przy języku którego bledną najśmielsze analizy współczesne, wydają się nieśmiałemi najbrutalniejsze autopsye; Klemensa Aleksandryjskiego, który żądał prawa nazywania wszystkiego po imieniu; św. Bernarda bądź za jego kazanie *de immunditia,* bądź za *Przygotowanie do sądu ostatecznego;* wreszcie wszystkich teologów, którzy skodyfikowali, stworzyli moechialogię. Dla nas jest zupełnie jasnem, że wszyscy oni szukali najjaskrawszych obrazów dla zohydzenia zła — i tylko dusze zepsute mogą dopatrywać się w tem niemoralności. Kasprowicz nic innego nie czyni, i tak zrozumieli rzecz wszyscy sprawozdawcy, z wyjątkiem jednego pana X. To samo powiedzieć musimy o napaściach na „bezeceństwa i hipokryzye“ w powieści Przybyszewskiego. Jeżeli kto hipokrytą się okazuje, to chyba nie autor *Malaryi.* — Całe to wystąpienie, oparte na kłamstwach świadomych i obłudnych insynuacyach jest w najwyższym

stopniu niemoralne, a kto chce moralizować drugich, ten przedewszystkiem dobry przykład dawać powinien.

Medale papierowe. — Po turnieju — wystawa. Warszawskie Towarzystwo Artystyczne okazuje stanowczo murzyński pociąg do szychów i świecidełek. Turniej był, zda się, na to urządzony, by różni „artyści“ mogli się sprezentować konno lub pieszo w mniej lub bardziej kolorowych kostyumach, zwykły bowiem cel tego rodzaju karuzelów: wywołanie ogólnego, harmonijnego wrażenia estetycznego (coś nakształt starożytnej orchestyki) — został usunięty na ostatnie plany. Wystawa znowu, jak wnioskować można z regulaminu przedwstępnego, będzie zabawką w medale, i to papierowe, „piśmiennie“ dawane. Jest to chyba motyw główny, a kto wie, czy nie jedyny. Wobec nieustającej ekspozycyi dzieł nowych w gmachu Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych i w urządzonym dziś po europejsku Salonie Krywulta, potrzeba jakiejś nowej, trzeciej wystawy byłaby o tyle usprawiedliwiona, o ile ta różniłaby się od poprzednich jakiemiś ulepszeniami lub zmianami zasadniczemi. Niestety, smętnie po polsku, z jeszcze smętniejszemi eksplikacyami francuskiemi, zredagowany regulamin odbiera nam tę nadzieję. Ze złych stron wystaw zbiorowych, o których mówiliśmy w numerze poprzednim, ani jedna nie została usunięta; gorzej: wszystkie zostały skombinowane i przez chaotyczne pomieszanie spotęgowane jeszcze. Ma to być w najszerszem znaczeniu wystawa zbiorowa. Do współudziału Towarzystwo Artystyczne zaprasza nie pewną odrębną grupę, nie jakiś wybór najwybitniejszych artystów, wreszcie nie członków swoich wyłącznie, lecz wszystkich absolutnie malarzy, rzeźbiarzy, architektów i rytowników polskich, — tylko że nie wszystkich na równych prawach. Obok wymienionego w regulaminie *jury d'admission* i *jury de recompences* (tak!) funkcyonuje trzecia jeszcze komisya sędziów, decydujących, komu posłać zaproszenie, a kogo zawiadomić tylko. Dzieła zaproszonych będą przyjęte bezwarunkowo (choćby i najlichsze? co przecież i najlepszemu artyście zdarzyć się może). Zawiadomieni tylko (a tem bardziej niezawiadomieni) poddać się muszą jakiejś, równie bezimiennej, jak komisya zaproszeń, komisyi przyjmującej. Nie będziemy podnosili po tyle razy powtarzanych protestów i zarzutów wszelkiego rodzaju przeciw *jury d'admission*, znamy bowiem złe strony „salonów niezależnych,“ o ile takowe nie powstały dzięki inicyatywie kilku tęgich, kulturalnych artystów drogą stopniowej kooptacyi. Ale dziwilibyśmy się bardzo, gdyby zupełna anonimowość komisyi zaproszeń i komisyi przyjmującej nie zniechęciła wielu artystów do ubiegania się o papierowy medal „srebrny“

lub „złoty.“ Bo któż, zostawszy raz zdyskwalifikowanym poniekąd przez proste „zawiadomienie,“ zechciałby poddawać się drugiemu kompletowi sędziów, również bezimiennemu w chwili składania deklaracyi? Wielu, nawet z „zaproszonych,“ odstraszyć może sama komedya nagród, o której z przykładów zagranicznych wiedzą dobrze, co mają sądzić. Wystawa skutkiem regulaminu może się nie udać. Ale nie o to przecież chodzi. Towarzystwo Artystyczne chce się zabawić w medale.

„Zahipnotyzowana publiczność.“ — „Wiek XX wypełni walka ekonomiczna... Biada tym, którzy nie potrafią wytwarzać taniej i lepiej... Jakże my wyglądamy wobec tych haseł?... Inteligentny polak nierównie wyżej ceni sobie tytuł poety, muzyka, malarza, aniżeli przemyslowca albo kupca... Nie przedsiębiorczość jest u nas zaszczytną, lecz artyzm!... — Oho! — powie jakiś apostoł estetyzmu — mamy znowu wyprawę przeciw sztukom... — Ale gdzież tam! — odpowiem — niech kwitną sztuki, niech bawią się ci, którym służy dobry humor, niech ludzie zapełniają teatry, sale koncertowe i galerye obrazów. Ale niech wszystkie te przyjemności nie odegrywają roli narkotyków usypiających nas dla rzeczywistego życia.“

Nous voici éclairés: Sztuka jest dla tych, którzy mają dobry humor. Upamiętniamy te nowe „złote myśli“ B. Prusa — bez żadnych komentarzy, odsyłając jeno czytelnika do artykułu „Walka ze sztuką.“

Tredecim.

POEZYA.

Antoni Lange. *Fragmenta.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — G. Daniłowski. *Na wyspie.* Warszawa, St. Demby. — Fr. Mirandolla. *Liryki.* Lwów, Księgarnia Polska. — Leopold Staff. *Sny o potędze.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — Emef. *Szał.* Warszawa. Skl. gl. G. Centnerszwer. — Emde. *Symfonia: Do niej.* Warszawa. Druk W. Tow. Akc. Art.-Wyd.

Fragmenta. Ułomki? Szczątki? Ma-ż to oznaczać wyjątki, najpiękniejsze czy najdroższe ustępy z utworów skończonych, z poematów napisanych czy wydrukowanych? Czy też poeta ukrył w tym tytule melancholijny symbol, że wszystko co się osiągnęło, co się stworzyło, jest tylko złomkiem, fragmentem, zwaliskiem jakiejś kolosalnej, nęcącej a niedościgłej budowy snów o wielkości, mocy,

pięknie i szczęściu? Z pomieszanemi uczuciami smętku i rzewności przewracam karty niewielkiej książki. Cały w niej Lange: dusza na pozór tak bardzo skomplikowana, a w istocie taka prosta i kilkoma pierwiastkami wytłumaczyć się dająca. Ważą się w niej nieustannie, przemagają się naprzemian wzajemnie i kolejno z nową siłą na jaw występują: mistyczne, nieokreślne pragnienia, ku sferom wlokące absolutnym — i dość ciasne doktrynerstwo pozytywne czy naukowe; nieodparte poczucie wiecznej samotności ducha — i społeczne, trybuńskie zapędy; rwanie się ku wyżynom, na które człowiek samotnie jeno iść może — i dziwnie dobrowolne zstępowanie na niziny, aby tam z rozczarowaniem uczuć się jeszcze samotniejszym; utopijne, optymistyczne pragnienia bezpośrednich rozwiązań, uroczyste, weselne z ich niby osiągnięcia entuzyazmy — i znowu, mimo wmawiania w siebie i w innych spokoju, zadowolenia, ufności, ta sama wieczna, nieukojna, dręcząca, bezbrzeżnie smutna tęsknota. Ona była Lilithą, ową „panią piękną i okrutną,“ ona postaciowała się w Venus-Żebraczce, ona kazała poecie pogrążać się w snach proroków, tajniach wedyckich i żądnie wdzierać się w zagadki palingenezy, ona dyktowała mu te bezdennie nostalgiczne balady pijackie, ona wodziła go, nowego Holendra latającego, po wszystkich krajach i światach, ona, po tylu zwątpieniach i upojeniach twórczych, po tylu walkach i zwycięstwach, wyrywa mu z ust gorzkie słowa:

I życie moje przeszło jałowe, bezpłodne,
I serce moje próżne i jak upiór głodne....

Mówiło się wiele o filozoficzności (chciano rzec zapewne: metafizyczności) poezyi Langego. Weszło to w komunał u wszystkrytyków i sprawozdawców. Nie znam duszy mniej filozoficznej, mniej zdolnej do odczucia jedności świata i do wielkiego syntetycznego ogarnięcia wszystkości. Nie znam też wszakże duszy bardziej i beznadziejniej tęskniącej. Poeta błądzi nad brzegami niezmiernego oceanu zjawisk, i pragnie, i rozpacznie spręża się, aby dotrzeć do jego istoty, aby usłyszeć magiczne słowo, streszczające w sobie wszystkie otchłanie. Jednocześnie wszakże fascynuje go powierzchnia fali, jej załamy, jej grzywy spienione, jej migotliwie tańczące połyski — i ostatecznie suma tych złudnych fenomenów przeważa: poeta daje się otumanić ich wirowi, ich zawierusze, zaczyna przypuszczać, że one to są życiem, prawdą, istotą, i zapomina rzucić się w głąb', gdzie w ogromnej, kryształnej ciszy kryją się tajemnicze, wszystkich tych przemijających fantasmagoryj źródliska. Ilekroć poeta da głos samemu pragnieniu swemu, samej gorącej, gwałtownej, namiętnej tęsknocie, tyle razy ma moc, i ogień, i wielkość, i przeczucie nie-

skończoności, tyle razy rzuca w dusze płodny siew na jakieś przyszłe „sny o potędze.“ Ilekroć wszakże, uniesiony zrozumiałym głodem rozwiązań, przystępuje do budowy bardziej określonego marzeń swych gmachu, tyle razy upada i albo cofa się, pozostaje przy fragmencie, albo też powierzchowną, nie sięgającą w głąb' zadowala się koncepcyą. Więcej szarpań się, więcej podrywów i więcej niedokończonych, lecz wspaniałych fragmentów miał Lange, gdy bawił za krajem. Warszawa, pełna najprzeróżniejszych ciasnych doktrynek i lubiąca narzucać je, była dla ducha jego niezdrowym, malarycznym gruntem. Kiedyś szerzej może przedstawimy bolesne dzieje tej duszy, której namiętne, bijące wzwyż wykrzyki jęły, śród zatęchłej ciszy okolnej, zmieniać się zwolna — tam gdzie poeta najtajniejsze wnętrza swego odkrywa głębie — w niewymownego znękania pełne westchnienia. Dziś skonstatujemy tylko z żalem brak we **Fragmentach** kilku najpiękniejszych — i drogich nam ze wspomnień — poematów, jak „Wyrwidąb i Waligóra,“ niektóre sonety z „Wizyj“, — i inne.

Jeżeli Lange, wskutek swej uczuciowej raczej niż świadomościowej natury, nie ma dość odporności, i częstokroć, ulegając ciasnym, acz pozornie wzniosłym doktrynom, opada z wyżyny najwspanialszych wzlotów na ziemię, to jednak dusza jego drga nieustannie przeczuciami celów ostatecznych, ku którym, jak mówi Słowacki, masa narodu (a tem bardziej, dodamy, każda jednostka) musi być ciągle jako morze przez gwiazdę miesięczną podnoszona, bo inaczej ogarnie ją bezwładność i martwota duszna. P. Daniłowski nawet przeczuć takich nigdy, zda się, nie miał. Horyzont jego widzenia nie sięga poza rozmaite interesa i sprawy czysto ziemskiej, przemijającej natury, które w stosunku do owych celów ostatecznych zaledwo za środek do ich urzeczywistnienia uważane być mogą. Poemat jego **Na wyspie** jest dość suchą alegoryą lub raczej tezą, mającą udowodnić, że sztuka powinna iść w służbę altruistycznych ideałów, jeżeli nie chce zostać „arkadyjskim piknikiem w wiszącym ogrodzie.“ Przypuśćmy, na chwilę, że godzimy się na ten postulat. Zwracamy wszakże uwagę, że samo „ukochanie milionów“ jest tylko frazesem, o ile prędzej czy później nie dowiemy się, w czem ono ma się objawiać. Wszystkie objaśnienia, jakie w tej kwestyi daje Dajmon, nie wychodzą ani na chwilę poza zużyte przez wszystkich trybunów i reformatorów społecznych komunały. Wolność, równość cielesna, dobrobyt fizyczny — oto wszystko! Frazes o „budzeniu duszy każdej słowem: wskrześnij!“ musimy uważać za daremne chełpienie się zdolnością cudotwórczą. Budzi się i wskrzesza nie jakimś wykrzyknikiem, lecz tem, co się w sobie ma i w pieśni zawiera. Aby coś

komuś dać, powiada Elizeusz Reclus, trzeba naprzód coś w sobie mieć. To znaczy trzeba naprzód owładnąć duszą własną, wydobyć na jaw jej najgłębsze pierwiastki — i wcielić je. Tymczasem Dajmon, na definicyę króla, iż pieśń powinna duszy być wcieleniem, odpowiada wzgardliwem: „Niech o sobie pieją samoluby.“ Prawie Nordau'owska głębokość tego pojęcia o egotyzmie w sztuce, jest tak wyraźna, że uwalnia nas od dalszego spierania się o tezę. Nie spieralibyśmy się zresztą wogóle, gdyby p. Danilowski udowodnił był czynem, faktem, to jest, doskonałością swego poematu, że oddanie sztuki w służbę ideałów ziemskich nie szkodzi jej przynajmniej. Niestety, dowód jest raczej przeciwny. Poemat Daniłowskiego jest suchą, sztuczną i płytką alegoryą. Niemasz tam ludzi, tylko manekiny drapujące się arcykapłańsko w sposób przypominający najbardziej zmanierowanych pozerów romantyzmu. Obrazy i przenośnie są albo banalne, albo niezbyt szczęśliwe (np. owa barka — sonet z banderą zamiast tytułu). Opowiadanie albo jest aktorsko patetyczne, albo też dorównywa co do prozaiczności typowym wzorom Coppée'owskim, sparodyowanym tak bezlitośnie przez Lemaître'a w słynnym „Sonecie.“ Całość robi wrażenie rzeczy mozolnie wykutej i skutkiem tego „poprawnej.“

Liryki Mirandolli smutnym są przykładem chaosu panującego w duszach wielu poetów ostatniej generacyi. Czego tam niema? Zbyt wyraźne, acz przeważnie powierzchowne, odbicia Maeterlinck'ów, Nietzsche'ów, Verlaine'ów, impresyonizmy, „vers-libryzmy,“ i t. p. — a jednocześnie najbardziej zużyte, najbardziej wyszarzane zdawkowości, których tyle się u nas wytworzyło od czasu, gdy poczęto rozmieniać szczere złoto wielkich romantyków na bilon bezwartościowy. Przytem mania ciągłych apostrof pouczających lub ganiących pod adresem innych, a stanowczo zamałe wymagania stawiane samemu sobie. I u Mirandolli wiersze takie jak „Clamantibus“ lub „Przybywaj pieśni,“ zwłaszcza jeśli się je zestawi z wyznaniem słabości własnej w sonecie „Przyjdź,“ wprost komiczne robią wrażenie. A szkoda, gdyż Mirandolla ma niewątpliwą zdolność podchwytywania i wcielania pewnych subtelnych, acz niedość pogłębionych i przez to wpólnieświadomych odcieni dusznych.

Rzeźwiące, krzepkie wrażenie robią **Sny o potędze** L. Staffa i, jako pierwsza książka młodego poety, wiele o jego przyszłości wnioskować każą. Śmiałek to i bogacz nielada, a przytem dziwnie władający sobą, świadomy i wytrwały. Dotarł aż do dna wnętrza swego, odkrył tam „całą bezkształtną masę kruszców drogocennych,“ a odkrywszy nie zaczął rozrzewniać się nad sobą, przeciwstawiać

się innym, lecz poczuł, że mu „wykonać trzeba dzieło wielkie, pilne,“ wykuć sobie z tych kruszców duszę, serce, całą osobowość odrębną. I zdołał urzeczywistnić to w pierwszym już zbiorku. Książka jest jeszcze bardzo nierówna. Mieszają się w niej blade nieco i nikłe wrażenia pierwsze budzącej się duszy, potem różne stymulujące głębszy już pokład duszny wpływy obce, dalej gorączkowe i częstokroć rozpaczne poszukiwania najskrytszych wnętrza swego tajników trwożne poczucie własnej nicości, własnej „małości nędznej“ (póki się nie sięgnie do dna, do istoty), potem „buntu burza jasna“ — aż nareszcie, w ostatnim cyklu, od którego zbiór cały wziął nazwę, odkrycie charakteru swego najwnętrzniejszego, treści swej istotnej, tego, co się ma w sobie i czego się pragnie całem jestestwem. Jakimż tryumfalnym hejnałem gra wtedy „poczucie pełni“ wnętrznej, poczucie odrębnego istnienia.

Wszystko, co we mnie trwożne, poddańcze, pokorne,
Zgniotłem brutalną, dziką pięścią wielkoluda,
Bom ubóstwił potęgi szalejącej cuda,
Orkany rozkiełznane, butne i niesforne!

I rozdzwoniłem serce me w rozgrane tętno,
Rozbujałem mą duszę niezłomną i hardą
W pieśń mocy wielką, prostą, surową i twardą,
W pieśń burzy i swobody, zuchwałą, namiętną.

Znalazłem siebie w wichrów rozuzdaniu ślepem,
W ryku gromu, co wstrząsa oceanu łożem,
W błyskawicy, co pomrocz rozdziera północną.

Teraz jestem bezbrzeżnym, wolnym, dzikim stepem!
Teraz jestem huczącem, rozpętanem morzem
I burzą gwiezdnych wirów potężną, wszechmocną!

Przy takiem rozszaleniu elementarnem, autor miał wszelkie dane, aby zostać poetą „żywiołowym.“ Lecz do mocy przyłączyła się szlachetna duma. Zrozumiał, że wielkość człowieka polega wyłącznie i jedynie na wzniesieniu się nad żywiołowe moce, na opanowaniu ich i świadomem niemi rządzeniu:

Boska to gra — żywioły trzymać na obroży,
Rozhukanych szaleństwem rumaków być panem,
Chwycić burzę za włosy, spętać — niech się korzy! —
I władać jak igraszką grzmiącym oceanem!

Tylko słaby doświadcza czynem swego władztwa.
Zbyt wielką jest potęga ma i me bogactwa!
Dla ogromu mej mocy w czynie ujścia niema!

Boska to gra — czuć siły niespożyte, wieczne,
Jak snem bezczynu w ciszy śpią bezużyteczne
Po wolą mą, co silną dłoń nad niemi trzyma!

Kto pod takiemi znakami w świat wstępuje, ten niewątpliwie do wielkich powołany jest rzeczy. Tylko zawsze ku głębiom! Zawsze z równą mocą, niezłomnością i wytrwałością! Ślemy panu Staffowi, u tych złotych progów jego żywota twórczego, serdeczne, braterskie powitanie.

P. Emef ma w swoim **Szale** parę strof pięknych, ale ani jednego utworu w całości dobrego. Nierówności ogromne w treści i formie niepozwalają nam nic wnioskować z tego krótkiego zbiorku.

P. Emde zrozumie, że o jego **Symfonii** nie mamy nic do powiedzenia.

Miriam.

SZTUKI PLASTYCZNE.

Aleksander Gierymski. — Wystawy. — W kwestyi drobnego nieporozumienia

Aleksander Gierymski

ur. 1852 r. — zmarł w Rzymie d. 6 marca 1901.

Pamiętam go w pracowni. Wracaliśmy z Dębickim z Paryża do kraju i, zatrzymawszy się w Monachium, poszliśmy prosto z dworca kolejowego odwiedzić mistrza. Trafiliśmy w dobrą chwilę. Skończył był właśnie *Plac Maksymiliana* i, czy to było zadowolenie z dokonanej pracy, czy inny jakiś powód, dość, że ten żółciowiec, ten mi-

zantrop przyjął nas nieskończenie życzliwie. Dębickiego wprost nawet jakby radośnie. Poprowadził nas zaraz przed świeżo ukończony obraz i tam, chwytając za rękę mego towarzysza, nieco zdumionego, że mistrz chce rady od młodego chłopca (było to lat temu dziesięć przeszło), jął gorączkowo wypytywać go, jak mu się wydaje ton nieba, czy uważa, że należycie jest pochwycony, czy nie jest zdania, aby go nieco jeszcze rozjaśnić, czy ściemnić. Oglądaliśmy potem inne płótna, parę krajobrazów z gór bawarskich, oraz duży szkic do jakiegoś „obrazu z sentymentem", jak, z pewną niedbałością, wyraził się Gierymski. Atelier robiło wrażenie pracowni alchemika, owieszone całe tekturowemi, pooblepianemi złotym i srebrnym papierem, reflektorami, służącemi do przypominania rozmaitych, widzianych w naturze kombinacyj świetlnych, a może i do wywoływania niespodzianych, nowych, jakich natura nie zna... Widoczne było, że właściciel pracowni uprawiał całą jakąś alchemię świateł. W ciągu całodziennego później, cygańskiego włóczenia się w trójkę po różnych browarach i winiarniach, uważałem, że Gierymski, w rozmowach o malarstwie z towarzyszem mym, powracał nieustannie do światła. Przedmiot, kompozycyę, „sentyment", linię, barwę zdawał się traktować jako rzeczy wstępne, przygotowawcze. których znajomość w rzemiośle malarskiem rozumie się sama przez się. Całą natomiast uwagę miał, zdało się, wytężoną na światło, na jego zmiany, kombinacye, oddziaływania wzajemne, przelewania się i stapiania. Gierymski mówił o tem wszystkiem, tonem realistycznego malarza, jako o naśladowaniu natury i największem zbliżaniu się do jej wzoru. Czuć było wszakże, iż światło fascynowało go tak dalece, że — może nieświadomie dla siebie samego — pragnął z całem wytężeniem dotrzeć do jego istoty, wykryć, jak natura je tworzy, i w ten sam sposób, co ona, uzupełniając niejako tę mistrzynię tworzyć samodzielnie w dalszym ciągu.

I tak było niewątpliwie. Gierymski nie był realistą czyli tem, co słowo to oznacza: niewolniczym kopistą, nieprzebierającym w tematach i pragnącym jedynie wiernie oddać to, co natura stawia mu przed oczy. On był przedewszystkiem i jedynie wielkim twórcą, wielkim poetą światła, uganiającym się niezmordowanie i aż rozpacznie za samą światła istotą. Miał, zda się, nadzieję przychwycić ją najsnadniej w owych niepewnych chwilach przejściowych, gdy światłość dzienna przelewa się nieuchwytnie w coraz gęstszą zmroków popielność, albo gdy światła rewerberów i latarń walczą z ostatniemi zmroków szarościami i z tajemniczą nocnego nawet nieba jasnością, albo wreszcie, gdy przedzierająca się przez ściemione wie-

kiem różyce witrażowe jasność dnia roztrąca w mrocznych tumów i bazylik wnętrzach zwisające ze sklepiennych załomów cienie i wywalcza sobie pośród nich miejsce. To też takie były, zwłaszcza w ostatnich czasach ulubione temata Gierymskiego (Plac Maksymiliana, Brama w Luwrze, Wnętrze św. Marka, i inne). Bo nie trzymał się on bynajmniej zasady realistów: tout est bon à peindre. Wybierał i pod koniec zamykał się nawet wyłącznie prawie w kole pewnych tematów; nie był to wszakże wybór co do fabuły, anegdoty, takiego lub innego krajobrazu lub sstafażu, pięknej linii lub kompozycyi, lecz jedynie co do światła. Bylibyśmy skłonni twierdzić, że już w *Trąbkach* i *Solcu* światło odgrywa dominującą rolę, acz Gierymski zwraca tam jeszcze uwagę na charakter postaci i krajobrazu. W ostatnich (wymienionych wyżej) obrazach, wszystko, ludzie, architektura, treść cała obrazu służy jedynie za podłoże światłu, za powierzchnię, na której grać, i za kanty, o które rozbijać się ono może.

Jak namiętna była ta pogoń za tajemnicą światła, jak uparte zmaganie się z nią, świadczy, obok nieprześcignionej pod tym względem doskonałości ostatnich zwłaszcza obrazów Gierymskiego, względnie mała ogólna prac jego liczba. Mocował się on poprostu ze swemi obrazami, długo bardzo nie wypuszczał ich z pracowni, poprawiał, przerabiał, aby, o ile można, zbliżyć się do swojej wizyi świetlnej, do swego snu o jakiejś istocie światła, szarpał się niewątpliwie, dręczył, przechodził martyrium całe, jak każdy z tych nielicznych, co dążą do najwyższych i przez to samo niedających się pochwycić w zupełności rzeczy, — i nieraz, w chwilach zwątpienia i upadku ducha, powtarzał może nawet, „z czołem w lodowatym pocie“:

Żali ten sen, to bóstwo — nie widmem w istocie?

Z tego wytężenia biorą zapewne początek i mizantropia jego, i zdenerwowanie, i może nawet katastrofa ostatnia. Niechaj pamięć jego, jako tego, który życie całe oddał swemu marzeniu, przyświeca wszystkim młodym artystom!

§ §.

Wystawy. I w Towarzystwie Zachęty i w Salonie Krywulta pustka przerażająca. Płócien moc, ale jakich? C'est à s'en aller dans tous les déserts pour y mourir de dégoût afin d'en ressusciter de fureur (L. Bloy). Oazą w tej puszczy są — obok paru dawniej już omówionych na tem miejscu rzeczy, oraz obok Św. Marka i, świadczącego o chorobliwym już jakimś wysiłku, własnego portretu Gierymskiego — te zdumiewające *Kuropatwy* na śniegu, którym tak piękny ustęp poświęcił p. Jasieński we francuskiej swej

książce. Biała równina śnieżna i na pierwszym planie stadko przemykających się cicho, zatroskanych kuropatw — nic więcej! A jednak cóż za zdumiewające i nagłe przeniesienie widza w sam środek natury! Określić wprost niepodobna, co tak niesłychanie działa na człowieka z tego obrazu. Tak działałaby sama natura chyba, a to wskazuje znowu, że niemasz tu nic z realizmu, z kopiowania natury. Odgrywała tu rolę nie obserwacya niewolnicza, nie podpatrywanie jakieś na gorącym uczynku, lecz cudowna intuicya, która nie potrzebuje świadectwa zmysłów. Chełmoński tworzył tu jak natura tworzy.

U Krywulta pociechą oczom są portrety p. Krzyżanowskiego. Postęp od tych, które omawialiśmy w N-rze 1-szym, ogromny. Kobieta w czarnej sukni, jakby zatrzymana w półruchu, żyje niesłychanie. Wolelibyśmy tylko mniej rąbania pędzlem w wykonaniu sukni i tła. Można lepiej wykończyć, a być dalekim od pomadek i zbytnich gładkości. Świadkiem choćby Whistlerowski portret matki w Luksemburgu. Podnieść natomiast musimy przepyszną kolorowość soczystych czarności Krzyżanowskiego. Fantastyczny szkic do portretu p. P. nie trzyma się zupełnie. Biały, dobrotliwy spokój twarzy w rozdźwięku jest zupełnym z wścieklemi, wichurowemi, demonicznemi smugami czarności, które wiją się i splatają naokół. Doskonały jest portret p. Jasieńskiego. Ogromnie w nim wiele skupienia, jedności, a lekkie, lecz nadzwyczaj suggestyjne przymglenie, łagodzące ostrość dotknięć, miłe zdziwiło nas u artysty, dla którego obawialiśmy się, wyznajemy to, zmanierowania w stronę energii. Rzeczą niesłychanie ciekawą jest intuicyjny portret Warneńczyka. Przedziwna jakaś ufność dziecięca, oraz gorące, bezgraniczne oddanie się swojej wierze, cechują tę głowę młodzieńczą, na której jednocześnie leży nieuchwytny jakiś cień, jakby przeczucie przyszłych losów tragicznych. Czyżby Z. Sarnecki miał racyę? Czyżby w p. Krzyżanowskim krył się istotnie przepyszny malarz historyczny, taki, jakim tenże być powinien, t. j., potężny wskrzesiciel intuicyjny charakteru epoki i indywidualności? Daj Boże! — Wyborne to malowidło zostało podobno za radą niektórych malarzy warszawskich odrzucone przez osobę, która je zamówiła. Taki sam, zresztą, los spotkał wspaniałe dzieło E. Okunia.

O bogatej wystawie japońskiej ze zbiorów p. F. Jasieńskiego pomówimy obszerniej w przyszłym N-rze.

Z. P.

W kwestyi drobnego nieporozumienia. Tutejsza gmina ewangelicko-augsburska poniosła wielką stratę: zmarł Wojciech Gerson, prezes zarządu zboru i kolegium kościelnego. Był to człowiek zacny, dobry i sympatyczny. Przez długi szereg lat opiekował się ochronami, szwalniami, domem starców i kalek oraz, szkołami gminy ewangelicko-augsburskiej. W chwilach wolnych od wyżej wymienionych zajęć zajmował się malarstwem i pisaniem sprawozdań artystycznych.

Perłą naszej sztuki kulinarnej jest bigos. Rzecz to bezwątpienia dobra; wpływ jednak wywarła fatalny: przyzwyczajono się bowiem u nas robić bigos — zawsze i wszędzie — z rzeczy, które w jednym i tym samym kotle pod żadnym pozorem figurować nie powinny. Wszak dla całego naszego społeczeństwa wyroby rzymskiej filii firmy Fryderyka Pulsa, prowadzonej przez Henryka Pulsa — chciałem rzec: Siemiradzkiego, są dziełami sztuki, a nawet polskiej sztuki. Że ś. p. Gerson kochał sztukę, że pragnął stworzyć sztukę naszą, że pracował niezmordowanie, jak mógł i umiał — nie ulega to żadnej wątpliwości. Nie ulega jednak żadnej wątpliwości również i to, że rezultat tych usiłowań był marny — jeżeli zrobimy przegląd owoców pracy; równający się zeru — jeżeli chodzi o działalność nauczycielską; opłakany wreszcie co do wpływu na czytającą publiczność.

Ponieważ ś. p. Gerson nie był artystą i nie stworzył nigdy dzieła, mającego chociażby dalekie z dziełem sztuki podobieństwo, nie jest — jak głosi prasa polska — artystą wielkim, znakomitym. Ponieważ ś. p. Gerson miał o sztuce wyobrażenie jak najfałszywsze, nie mógł być profesorem malarstwa; nie mógł być również i krytykiem sztuki. Ś. p. Gerson piastował jednakże u nas mnóstwo godności, gdyż społeczeństwo nasze nie wiedziało (i nie wie do dziś dnia), co to jest sztuka, czego ma żądać od dzieła sztuki, czem być powinna krytyka artystyczna i na czem ograniczać się winna działalność nauczycielska, jeżeli jej wogóle w sztuce przyznamy racyę bytu.

Przez pracownię ś. p. Gersona przepłynęły tysiące uczniów. Drobne strumienie, natrafiwszy na bagno, wsiąkają w nie; potężne rzeki płyną dalej i nie poznasz nawet po kolorze fal przebytej drogi. Talent prawdziwy ma to do siebie, że jest zawsze sobą — quand même. Kilku wybitnych malarzy naszych znajdowało się przez chwilę w pracowni ś. p. Gersona; jeżeli tworzą dzieła sztuki, to właśnie dla tego, że się w tych dziełach najdrobniejszego nawet wpływu dopatrzeć nie podobna.

RADA udzielona przez dobrego profesora — rzecz to nader cenna. Tych profesorów jest jednak nie wielu. Na dwadzieścia

tysięcy panien, które wyszły ze szkół warszawskich profesorów, ile jest artystek i co właściwie nauczycielom zawdzięczają? Jeżeli szkoła jest wszechmocną, niechaj nam robi z każdego dorożkarza Rembrandta lub Velasqueza.

Jeśli wszakże żądamy uwolnienia uczniów z kajdan nakładanych na ich indywidualności przez nierozsądnych profesorów, którzy mylą się, utrzymując, że „to można — a tego nie można“ (talent na wszystko odważyć się może!), ganiąc nie to, co jest złe, lecz to, co uważają za złe, przeto że jest INNE, — nie znaczy to bynajmniej, abyśmy tych uczniów namawiali do wyprawiania bezmyślnych harców na wzór cieląt, wypuszczonych na okólnik. „Chlapnięcie“ — dla, tego, że jest chlapnięciem — nie jest jeszcze dziełem sztuki. Dłubanie a subtelność — to dwie rzeczy różne. Pomiędzy szkicem malarza, którego stać na obraz, a szkicem malarza, który się szkicem wykręca, — ogromna zachodzi różnica. Prawdziwy talent jest sam sobie najsurowszym sędzią i nauczycielem. Mistrzów nie należy naśladować, lecz trzeba wielbić i pilnie studyować. Natury kopiować nie należy, w księgę natury trzeba się jednak wczytywać niezmordowanie i dokładać starań, aby patrzeć na tę naturę wciąż nowemi oczyma, wypowiadać otrzymane wrażenia szczerze i w sposób, ile możności, swój. Powtarzamy wreszcie raz jeszcze: walczymy nie przeciwko myślącym malarzom, lecz myślicielom malującym, przeciwko ludziom, którzy artystami nie są, a używają sztuki jako sposobu wypowiadania swych myśli i pragnień. Wielka zachodzi różnica pomiędzy malarzem historycznym a historyozofem malującym. Prawdziwemu artyście wszechstronne i ciągłe kształcenie się nigdy nie zaszkodzi. Z drugiej strony, człowiek wykształcony, lecz nie mający wyobrażenia o tem, czem malarstwo być powinno, nie ma prawa uczyć innych tego, o czem sam nie ma pojęcia. Bezwarunkowo zaś nie miał prawa powstawać przeciwko sosom fioletowym człowiek, który przez lat kilkadziesiąt kąpał świat w „jeneralnym“ sosie rudym.

Działalność ś. p. Gersona, jako krytyka, była zgubną. Wpływ jego na publiczność niewykształconą i obałamuconą — wielki. Każdy młody artysta, godny tego tytułu, mógł nieboszczyka podziwiać w roli głównodowodzącego armią filistrów, każde istotne dzieło sztuki miało w ś. p. Gersonie nieubłaganego wroga. Siał kąkol hojną ręką, utrudniając rozwój tej sztuki, którą szlachetnem sercem szczerze i gorąco kochał. Historya sztuki naszej — jeżeli istnieć będzie — wybrukowaną zostanie dobremi chęciami ś. p. Gersona.

Godzien jest wszelako najwyższego uznania i naśladowania pod jednym względem: za bezwzględne wypowiadanie własnego zdania, wypływającego z szczerych przekonań, po głębokim namyśle, zdania czystego jak kryształ, bez jakiejkolwiek domieszki pobudek postronnych lub osobistych. Tutaj wytworzył szkolę, szkołę, składającą się może z jednego tylko ucznia,*) uczeń ten stoi na przeciwległym biegunie, ale że mistrza zrozumiał i śladem jego iść pragnie, świadczy to, iż, wypowiedziawszy słowa, które wypowiedzieć za obowiązek poczytywał, oddaje mu hołd — jedyny jaki oddać wypada: hołd należny pracownikowi ożywionemu najlepszemi chęciami i człowiekowi nieskazitelnego charakteru.

Uznanie wroga, oparte na gruncie rzeczywistym, było - by dla nieboszczyka z pewnością cenniejsze od nierozsądnych zachwytów przyjaciół. Wszystkich nas, krytyków i artystów, dzielić mogą poglądy na sztukę: niechaj nas wszelako łączy przywiązanie bezinteresowne do sztuki i gorąca chęć służenia jej wedle sił i możności.

Feliks Jasieński.

Post-scriptum. Pan Rabski utrzymuje, iż ś. p. Gersonowi należy postawić pomnik. Co do pomnika — jesteśmy w zgodzie, ale pokłócimy się, gdy przyjdzie na stół kwestya ułożenia napisu. Prawemu obywatelowi — zacnemu czlowiekowi, ani słowa więcej. Powiecie, że w takim razie pomnik nie ma racyi bytu? Błąd wielki. Gersonów jest u nas tak mało, że możemy im stawiać pomniki — bez wahania.

KSIĄŻKI NADESŁANE.

POEZYA. — Gustaw Danilowski. *Na wyspie.* St. Demby. Warszawa. — Emde. *Symfonia: Do niej.* Warszawa. Druk Warsz. Tow. Akc. Art.-Wyd. — Mieczysław Emef. *Szał.* Skł. gł. G. Centnerszwer. Warszawa. — Władysław Karoli. *Przyszłość.* J. Fiszer. Warszawa. — Antoni Lange. *Fragmenty.* Gebethner i Wolff. Warszawa. — Fr. Mirandolla. *Liryki.* J. Fiszer. Warszawa. — Leopold Staff. *Sny o Potędze.* Gebethner i Wolff. Warszawa.

POWIEŚĆ. — Janina Baudouin de Courtenay. *Nowelle.* Skł. gł. J. Fiszer Warszawa. — Artur Gruszecki. *Na Wyścigach,* tom I i II. Biblioteka dzieł wyborowych. Warszawa. — Paź. *Obrazki.* L. Idzikowski. Kijów. — Mieczysław hr. Pininski *Szkice z życia wiejskiego.* H. Altenberg. Lwów. — Fr. Rawita. *Złudzenia.* H. Altenberg.

*) Gdy chodzi o uczniów, nie mówi się o mistrzach takich, jakim jest np. Witkiewicz.

Lwów.—H. Sienkiewicz. *Pisma*, tom. II, III i IV. St. Demby. Warszawa.—A. Suszczyńska. *Przekonana*. K. Grendyszyński. Petersburg.—Cecylia Walewska. *Bez duszy*. T. Paprocki Warszawa.

TEATR. — Lew Tołstoj. *Władza ciemności*. Przełożył M. Przybyłowicz. Spółka wydawnicza Polska. Kraków.

STUDYA LITERACKIE i ESTETYCZNE. — Dr. Jan Boloz Antoniewicz. *Portret Cecylii Gallerani przez Lionarda da Vinci w muzeum książąt Czartoryskich w Krakowie*. Referat III Zjazdu Historyków Polskich w Krakowie (sekcya IV).—Dr. Jan Bołoz Antoniewicz. *Świątynia Zagadkowa Lionarda da Vinci*. Lwów. — Franciszek Kvapil. *Životem k Idealu. Literarni Vzpominky a Skizzy*. J. Otto. Praga — Edward Porębowicz. *Tryady Zygmunta Krasińskiego*. Lwów. — John Ruskin. *Królowa powietrza*. T. Paprocki. Warszawa. — Hr. Lew Tołstoj. *Co to jest sztuka?* Przełożył A. J. Cohn. J. Fiszer. Warszawa.

HISTORYA. — J. Chociszewski. *Historya Polski*. M. Borkowski. Warszawa.— G. Ducoudray. *Historya Cywilizacyi Powszechnej*, tom I—IV „Niwa Polska." Warszawa. — Stanislaw Krzyżanowski. *Najstarsze karty Metryki Uniwersyteckiej*. Druk „Czasu." Kraków. — Stanislaw Krzyżanowski. *Poselstwo Kazimierza Wielkiego do Awinionu i pierwsze Uniwersyteckie przywileje*. Druk „Czasu." Kraków. — Dr. Bronislaw Łoziński. *Agenor hrabia Gołuchowski w pierwszym okresie rządów swoich*. H. Altenberg. Lwów. — *Pamatnik na Oslavu Padesatiletého Panovnického Jubilea Jeho Veliczenstva Cisarze a Krále Frantiszka Josefa I*. Wyd. Akademii Czeskiej. Praga. — Fryderyk Szulc. *Polska w roku 1793*. „Niwa Polska." Warszawa. —

HERALDYKA. — Adam Boniecki. *Herbarz Polski*, część I, tom. I—III. Skł. gl. Gebethner i Wolff. Warszawa.

NAUKI FILOZOFICZNE. — Emil Dubois-Reimond. *Granice poznania natury, Siedm zagadek wszechświatowych*. Przekład Marjana Massoniusa. „Przegląd Filozoficzny." Warszawa. — Dr. Henryk Gomperz. *Krytyka Hedonizmu*. Przełożył Antoni Krasnowolski. „Przegląd Filozoficzny." Warszawa. — O. Herman Gruber T. J. *Życie i Doktryna Augusta Comte'a*. Przełożyl ks. Wł. M. Dębicki. „Niwa." Warszawa. — Immanuel Kant. *Marzenia Jasnowidzącego objaśnione przez marzenia metafizyki*. Skł. gł. J. Fiszer. Warszawa. — E. Macha. *Odczyty popularno-naukowe*. Przekład Stanisława Kramsztyka. „Przegląd Filozoficzny." Łódź. — D. Mercier. *Historya Psychologii Nowożytnej*. „Przegląd Filozoficzny." Warszawa. — Ks. R. P. Zahm. *Uczeni Katoliccy*. Szkice z dziedziny wiedzy. „Niwa." Warszawa.

ARCHEOLOGIA. — K. B. Madl. *Soupis Pamatek Historickych a Umieleckych v Královstvi Czeském od pravieku do poczatku XIX stoleti*, tom I—IX. Wyd. Komisyi Archeologicznej przy Akademii Czeskiej. Praga. — *Światowit*, tom I i II. Skł. gł. E. Wende i S-ka. Warszawa.

SZTUKI PLASTYCZNE. — Maryan Wawrzeniecki. *Rysunek i Malarstwo*. B. Wierzbicki i S-ka. Warszawa.

GEOGRAFIA. OPISY. PODRÓŻE. — W. Doroszewicz, przeł. z rosyjskiego Zenon Pietkiewicz. *Sachalin*, tom I, II i III. Biblioteka Dzieł Wyborowych. Warszawa. — W. Kędzierski. *Z okolic Warszawy*, (zdjęcia z natury). B. Wierzbicki i S-ka. Warszawa. — Ludwik Leger. *Austro-Węgry w XIX wieku*. „Niwa." Warszawa. — Rys. Jan Olszewski. *Brzegiem Wisły*. B. Wierzbicki i S-ka. Warszawa. — Leon Rousset. *W Chinach i o Chinach*. Wrażenia z podróży. „Niwa." Warszawa. — M. Serao. przeł. z włoskiego A. Morzkowska. *W Ziemi Świętej*. S. Orgelbrand i Synowie. Warszawa.

PEDAGOGIA. — Edmund Demolins. *Potęga Wychowania czyli Wyższość Anglo-Saksońskiej Rasy*. „Niwa Polska." Warszawa.

VARIA. — Adolf D'Assier. *Ludzkość pośmiertna* (Posthumous humanity). *Studyum nad widmami i marami*. Przeł. Dr. Józef Drzewiecki. „Niwa." Warszawa. — Filibert Audebrand. *Czy Napoleon był szczęśliwym*. Przeł. Helena Maciejowska.

„Niwa." Warszawa. — Rudolf Falb. *Gwiazdy i Ludzie.* „Niwa." Warszawa. — Prof. Dr. Stanisław Krzyżanowski. *Wielka własność gruntowa i jej wpływ na organizacyę społeczną i polityczną wieków średnich.* Referat III Zjazdu Historyków Polskich. Kraków. — Ksiądz Piotr Skarga. *Kazania Sejmowe.* „Niwa Polska." Warszawa. — Max Wolff. *Zwyrodnienie Kobiety Współczesnej.* „Niwa," Warszawa. — *Złudzenia Cywilizacyi.* Przeł. z ang. Helena Maciejowska, „Niwa Polska." Warszawa.

CZASOPISMA. — *Książka.* №№ 1 i 2, 1901 r. Warszawa. — *Przegląd Farmaceutyczny,* №№ I i II. Warszawa. — *Pszczelarz i Ogrodnik,* №№ 1, 2 i 3. Warszawa.

LITERATURY OBCE. — Stefan George. *Der Teppich des Lebens und die Lieder von Traum und Tod mit einem Vorspiel.* Zweite Ausgabe. Georg Bondi. Berlin.—*Blätter für die Kunst. Eine Auslese aus den Jahren 1892—98.* Georg Bondi. Berlin.—J. S. Machar. *Confiteor.* 2 vyd. F. Szimaczek. Praga.—J. S. Machar. *Magdalena.* 2 vyd. F. Szimaczek. Praga. — J. S. Machar. *Tristium Vindobona I. XX.* 2 vyd. F. Szimaczek. Praga. — J. S. Machar. *Vylet na Krym.* F. Szimaczek. Praga. — Jan Rokyta. *Lekniny na Hlubinách,* Baśnie. Tiskl Alois Wiesner. Praga. — Jan Rokyta. *Lilie z Tvych zahrad,* Grosman a Svoboda. Praga. — Marcel Barrière. *Le nouveau Don Juan* (T. I. *l'Education d'un contemporain,* T. II. *le Roman de l'Ambition,* T. III. *les Ruines de l'Amour).* A. Lemerre. Paris.

PRZEKŁADY. — *Czarodziejskie powieści Andersena,* tom I i II. „Niwa Polska." Warszawa. — J. J. Astor. *Podróż na Jowisza.* Przełożyła Marya Milkuszyc. „Niwa." Warszawa. — *Bonaparte i Żydzi,* powieść historyczna. „Niwa." Warszawa. — Pisma O. Ludwika Colomy. *Apfe.* Nowelle i Opowiadania, przeł. z hiszp. H. J. Biblioteka dzieł wyborowych. Warszawa. — Pisma O. Ludwika Colomy. *Tumany i kałuże.* Przeł. z hiszp. H. J. Biblioteka dzieł wyborowych. Warszawa. — H. Rider Haggard *Ona.* Przeł. z ang. Marya Goltz. „Niwa Polska." Warszawa. — Karol M. Sheldon. *W Jego Ślady. Jakby Chrystus postąpił.* Przełożył Wojciech Szukiewicz. Gebethner i Spółka. Kraków.

CZASOPISMA NADESŁANE

ATENEUM. Warszawa (Luty 1901). — M. Tatarkiewicz: *Msza Majowa.* — St. Piotrowski: *Wspólna własność ziemska.* — I. B. Marchlewski: *Postępy techniki a kwestya społeczna.* — Jozefat Nowiński: *Życie i marzenie.* — S. Dickstein: *Nowe dzieło o Koperniku.* — Maksymiljan Gumplowicz: *Żywot Balduina Gallusa.* — Stefan Żeromski: *Aryman mści się.* — Michał Mutermilch: *Droga sztuki.* — Pst: *Kronika ekonomiczna.* — Henryk Galle: *Z najnowszych powieści.* — *Dwudziestopięciolecie Muzeum Przemysłu i Rolnictwa.* — *Rozbiory i sprawozdania.* — *Nowości naukowe i literackie.* — *Kronika miesięczna.*

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA. Warszawa (Luty 1901). Treść: Adam Krasiński: *Poeta myśli.* — Kazimierz Rakowski: *Kolonia Polska w Berlinie.* — Józef Weyssenhoff: *Sprawa Dołęgi.* — Władysław Bogusławski: *Józef Verdi.* — J. Jeziorański: *Stowarzyszenia Rolnicze.* — Romanus: *Rok jubileuszowy w Rzymie.* — *Piśmiennictwo.* — *Kronika miesięczna.* — *Wiadomości bibliograficzne.*

CZASOPIS MUSEA KRALOVSTVI CZESKEHO. Praha (svazek prvni 1901). Treść: Dr. J. V. Szimak: *Pozustalost Dobnerova.* — Josef Veys: *Hlaholsky zlomek nalezeny v Augustiańskem klaszterze v Praze.* — Jaroslav Kamper: *Julius Zeyer.* —

Dr. V. Flajszhans: *Novie nalezené zbytky t. zv. „zlomku Epickych“.* — Jaroslav Kamper: *Ladislav Stroupeżnicky, jeho żivot a dilo.* — Hanusz Kuffner: *Bojisztie válek husitskych od r. 1419 — 1434. — Hlidka literarni. — Zpravy knihopisné: Publikaczni czinnost Czeské Akademie za rok 1900. — Zpráva o Museu král. Czeského od 1 dubna do 31 srpna r. 1900. — Zpráva o stavu Musea kral. Czeského za rok 1900. — Zpráva o Matici Czeské.*

DIE INSEL (Berlin), März 1901. — R. Dehmel: *Zwei Menschen.* — Callot: *Zwei Kupferstiche.* — H. G. Wells: *Die ungewöhnliche Orchidee.* — O. J. Bierbaum: *Eine sentimentale Reise.* — F. Valloton: *Zwei Zeichnungen.* — J. Renard: *Fuchs* (übers von H. v. Hofmannsthal. — M. Behmer: *Märchen.* — F. Wedekind: *Prolog zum Erdgeist.* — *Zwei japanische Holzschnitte.* — *Anmerkungen.*

MODERNI REVUE. Praha (Unor 1901) Treść: Frantiszek Bilek: *Podobizna Julia Zeyera.* — Jirzi Karasek: *Za Juliem Zeyerem.* — Julius Zeyer: *Uryvky z dopisu.* — Otokar Brzezina: *Czisté jitro.* — Viktor Dyk: *Stud.* — Hubert Cyriak: *Husuv pomnik.* — Oskar Wilde: *Ballada o żalárzi v Readingu.* — A. P.: *Kronika.* — Jirzi Karmin: *Erotica.* — Jirzi Karasek: *Nové knihy francouzské a polské.* — Alap: *Nové knihy vlaské a szpanielské.* — Jan Opolsky: *Zasláno.* — Viktor Dyk: *Procz ta żaba*... — Josef Holy: *Pisnie slepého mládence.* — V. D.: *Piseń poetowa.* — J. Hnátek, *Vignetta.*

PRZEGLĄD FILOZOGICZNY. Warszawa (Zeszyt I 1901 r.).—Władysław Gosiewski: *Zarys teoryi matematycznej monadologii. — Przegląd krytyczny. — Filozoficzny kongres międzynarodowy. — Psychologiczny kongres międzynarodowy. — Książki nadesłane.*

LA RASSEGNA INTERNAZIONALE. Firenze (1 Marzo 1901). — Ettore Ximenes: *Rodin.* — Alberto Manzi: *La leggenda delle Amazzoni nell' Amasonia (La storia — Le leggende.)* — Francesco Gaeta: *Un romanzo Religioso.* — Guido Gasperini: *Lo Spirito del Risorgimento Italiano nelle opere di G. Verdi.* — La Rassegna Internazionale: *Ramon de Campoamor.* — Ramon de Campoamor: *Gli amori di Giovanna. — (Traduzione di Luigi Suner).* — Sem Benelli: *Rassegna Italiana.* — Amy A. Bernardy: *Rassegna Nord Americana.* — Cesare Levi: *Cronaca dramatica.* — *Notiziario Generale.*

SLOVANSKY PRZEHLED. Praha. — (Brzezen 1901). Rużena Jesenska: *Z poesie Maloruske. Ivan Franko.* — Sztiepan Radić: *Slovanska politická tragedie.* — Adolf Czerny: *Sto let lużicko-serbske poesie.* — Stan. Klima: *Ze Slovenska.* — *R.: Vystiehovatelstvi z bosenske krajiny.* — Dopisy: *Z Lużice. — Z Dolni Lużice. — Z Krainy. — Z Krakova. — Z Poznanie. — Rozhledy a zpravy: Slovane severozápadni. — Slovane wychodni.*

TYGODNIK ILLUSTOWANY. (Warszawa), № 5 — 8. T. T. Jeż: *Od kolebki przez życie.* — Kazimierz Tetmajer: *Panna Mery.* — S. B.: *Sylwetki galicyjskie (Kazimierz Bartoszewicz).* — W. Bogusławski: *Józef Verdi.* — W. Pr.: *Zawisza Czarny.* — Wł. Jabłonowski: *Z dziedziny myśli.* — Aleksander Kraushar: *Zabytki Warszawskie.* — St. R. Lewandowski: *Teodor Axentowicz.* — Ignacy Matuszewski: *Ideały życiowe Prusa.* — Julian Maszyński: *Źródło stylu zakopiańskiego.* — T. Jaroszyński: *Wystawa sztuki japońskiej. — Kronika. — Sprawozdania. — Ryciny.*

WIADOMOŚCI ARTYSTYCZNE. (Lwów), № 8—12. W. Feldman: *Powieść jubileuszowa Sienkiewicza.* — Zygmunt Noskowski: *Dwie kolędy.* — D-mol: *Suite.* — St. Bursa: *Mieczysław Sołtys.* — s. b: *Dwudziestolecie „Lutni“ lwowskiej.* — H. Cepnik: *Pierwszy kwartał w nowym teatrze. — Poezye:* Zawrata, Rossowskiego. — *Sprawozdania. — Kronika. — Ryciny. — Dodatki muzyczne.*

WISŁA. Warszawa (Zeszyt I, 1901) — St. Górka: *Skulscy „Ochweśnicy“.* — A. Rummel: *Obrzędy weselne we wsi Masi.* — A. Rummel: *Pieśń dożynkowa.* — Z. A. K.: *„Przepowiadki“ z Józwowa.* — Jadwiga Milewska: *Kołysanki z Ciechanowskiego.* — M. Wawrzeniecki: *Dzwonnica i Wspornik (z rycinami).* — Romuald

Łazęga: *Powiat Brodnicki (z mapą).* — Jerzy Ohr: *Przysłowia Rabinów.* — K. Rhamm: *Przyczynek do historyi rozwoju spichlerza słowiańskiego.* — *Poszukiwania.* — *Sprawozdania i krytyka.* — *Przegląd czasopism.* — *Z akademii Towarzystw i Muzeów* — *Drobiazgi Ludoznawcze.* — *Kącik archeologiczny.*

ŽIVOT. U Zagrebu, (Veljacza 1901). — (Treść:) Srgjan Tucić: *Preludi.* — Oton Zupanczić: *Deviza.* — Branimir Livadić. *Mali probici,* — Drag M. Domjanić: *Moja ljubav.* — G. D' Annunzio: *Raskosznik i Lazar* (prevela Nina Vavra). — Sergij P.: *Iz dubrovaczkih soneta.* — Milan Marjanović: *Gabriele D' Annunzio.* — A. G. Matosz: *Mileta Jakszić.* — *Iz književnog i umjetniczkog svijeta:, Kazaliszte, Književnost, Umjetnost, Smotra.* — (Ilustracye:) Giorgione: *Venus.* — R. Valdec: *Biskup I. I. Strossmajer. Franjo Raczki. M Dimitrijevicz. Grofica M. Khuen-Hedervary. Kiparstwo Slikarstvo.*

VARIA

Wystawy sztuki w salonie „Chimery". — Roman de Campoamor. — Pomnik Artura Rimbaud. — Biblioteka Asnyka. — Manggha. — Konkurs Związku Naukowo Literackiego we Lwowie. — Od Komitetu Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych. — Wydanie wytworne „Chimery". — Sprawozdanie o powieści i teatrze. — Litografia kolorowa Jana Stanisławskiego.

Wystawy sztuki w salonie „Chimery". Wspomnieliśmy już w prospekcie, że znamy tylko jedną, nierozdzielną sztukę i że na wszystkie jej sposoby czy odgałęzienia jednaką chcemy zwracać uwagę. Sztuki plastyczne, w samem piśmie, z natury swojej, w dostatecznej mierze uwzględnione być nie mogą. Przedewszystkiem, niepodobna okazać samych oryginałów. Powtóre, liczba doskonałych reprodukcyj (dawanie złych uważamy za bezcelowe i nawet szkodliwe) nie może, z powodu ogromnych kosztów, przechodzić pewnych granic. Aby uzupełnić ten brak, nosiliśmy się, już w chwili zakładania pisma, z myślą urządzenia całego szeregu wystaw, które, zaznajamiając zarówno z najkapitalniejszemi dziełami z czasów minionych i z twórczością najwybitniejszych artystów doby dzisiejszej, prowadziłyby do ukształcenia smaku, wyrobienia wrażliwości i podniesienia kultury estetycznej. Mieliśmy naturalnie na oku nie jakieś wystawy zbiorowe, których złe strony wykazaliśmy w numerze poprzednim, lecz ekspozycye bądź pojedynczych artystów, bądź poszczególnych rodzajów sztuki (np. portret, akwaforta, litografia, ornamentyka i t. p.), na których widz odbiera jednolite i stanowiące pewną całość wrażenie.

Dzięki zgodzie artystów, z którymi znieśliśmy się w tym celu, oraz dzięki niewymownej uprzejmości i dobrej woli p. Feliksa Jasieńskiego, który z całą gotowością oddał nam do rozporządzenia wspaniałe swe zbiory, możemy urzeczywistnić tę myśl wcześniej, niż przypuszczaliśmy.

Z dniem 1 kwietnia otwieramy szereg nieustający tych wystaw, które zostaną chwilowo zawieszone tylko w ciągu trzech letnich miesięcy, od 15 czerwca do 15 września.

Wystawy następować będą po sobie bez przerwy, każda z nich trwać będzie 2 tygodnie.

Wstęp wolny dla abonentów *Chimery* i osób przez nich wprowadzonych, oraz dla artystów, literatów i gości zaproszonych.

Do dnia 15 czerwca odbędą się wystawy następujące:

1 — 15 kwietnia.

Albrecht Dürer: *Wielka Męka Pana naszego Jezusa Chrystusa* (12 drzeworytów w reprodukcyi faksimilowej sposobem P. W. van de Weijer'a w Utrechcie). — *Objawienie Św. Jana* (15 reprodukcyj naturalnej wielkości podług rysunków własnoręcznych). — Nadto albumy, edycye i książki: *A. Dürers Sämmtliche Kupferstiche* (wyd. w natur. wielkości A. Zemsch). — *La Vie de la Sainte Vierge Marie* (wyd. P. W. van de Weijer'a). — *Kleine Passion* (wyd. G. Hirth). — *Die Randzeichnungen zum Gebetbuche des Kaisers Maximilian I* (wyd. G. Hirth). — Rysunki Dürera w edycyi: *Handzeichnungen alter Meister aus der Albertina und anderen Sammlungen.* — Charles Ephrussi: *Albert Durer et ses dessins.*

15 kwietnia — 1 maja.

Henryk Rivière: — 2 serye sztychów dekoracyjnych (estampes décoratives) w kolorach: *Les aspects de la nature* (12 oryginalnych litografij). — *Paris* (8 plansz oryginalnych). — Nadto albumy: *La marche à l'étoile, l'Enfant prodigue, Clair de lune.*

1 — 15 maja.

F. Piranesi — *Rzym w XVIII stuleciu* (30 oryginalnych miedziorytów, oraz slynny z wielkości swej Widok ogólny Rzymu z Janikulu, również w miedziorycie).

15 maja — 1 czerwca.

Stanisław Masłowski jako akwarelista (oryginalne akwarele ze zbiorów prywatnych).

1 — 15 czerwca.

Ornamentyka arabska (dekoracye ścienne, plafony, mozaiki, posadzki, boazerye, witraże, materye, dywany, oprawy, fajanse) w bogatych reprodukcyach chromolitograficznych Lemercier'a, —

oraz kolekcya fotografij z podróży na Wschód (Konstantynopol, Damaszek, Jerozolima, Kair) — widoki i architektura.

W dniu otwarcia konferencya p. F. Jasieńskiego o Wschodzie.

Od 15 września rozpocznie się nowa, następująca serya wystaw:

Hiroshige jako pejzażysta — 300 oryg. drzeworytów kolorowych. Nadto: kilkanaście albumów oryginalnych.

Pejzażyści francuscy Szkoła Barbizońska. (24 faksimil. rysunków T. Rousseau; krajobrazy Millet'a, Corot'a, Dupré'go, Daubigny'ego — w fotograwiurach). Nadto albumy i książki: Millet — *les Paysans;* L. Roger Milès — *Corot; Paysagistes contemporains;* Muther — *Französische Malerei des XIX Jahrhunderts.* Dla porównań: *les Aquarellistes anglais* i *les Dessins à la plume.*

Afisze oryginalne francuskie (Willette, Chéret, Steinlen, Caran d'Ache, Toulouze Lautrec, Moreau Nelaton, Grasset), oraz reprodukcye z celniejszych afiszów artystów innych narodowości. Nadto albumy i książki: E. Maindron — *les Programmes illustrés* i 3 roczniki A. Mellerio — *l'Estampe et l'Affiche.*

Surimona (60 sztuk). Gakutei, Hokusai i jego szkoła.

Max Klinger (Handschuh, Dramen, Ein Leben, Eva und die Zukunft, Rettungen Ovidischer Opfer, Eine Liebe, Christus, Amor und Psyche). Nadto, wszystko, co wyszło o Klingerze.

Wyjaśnień udzielać będzie p. F. Jasieński.

Przyczynek do historyi portretu. Portrety polskich artystów współczesnych: Krzyżanowskiego, Malczewskiego, Pieńkowskiego, Podkowińskiego, Wyczółkowskiego i innych (ze zbiorów prywatnych). Reprodukcye z portretów dawnych mistrzów (Dürer, Holbein, Leonardo da Vinci, Rembrandt, Van Dyck, Velasquez i inni). Nadto: *Allgemeines historisches Porträtwerk* (wyd. G. Hirth), oraz *l'Image de la femme.*

Utamaro. Kobieta i pejzaż (około 100 drzeworytów.) Nadto albumy *les Maisons Vertes* (patrz monografię Goncourt'a).

Gustaw Moreau. Reprodukcye dzieł najcelniejszych — (akwaforty, heliograwiury, fotografie).

W dniu otwarcia konferencya p. Z. Przesmyckiego.

Kuniyoshi — legendy, bitwy, bohaterowie (około 150 drzeworytów).

Akwaforta, litografia i drzeworyt (F. Rops, M. Klinger, Valère Bernard, de Feure, Cassiers, Steinlen, Willette, artyści z Karlsruhe i t. d. — odbitki oryginalne). — Nadto, albumy i książki: *Entr' Actes de pierres* (akwaf. Eug. Béjot); A. Mellerio — *la Lithographie en couleurs; l'Image* (odrodzenie się drzeworytnictwa we Francyi).

Hokusai jako pejzażysta. Plansze drzeworytowe, oraz 40 albumów (Manggha — 9 tomów, 100 widoków Fużi — 3 tomy, i t. d.).

Franciszek Goya. Akwaforty, rysunki, albumy, fotografie z obrazów.

W dniu otwarcia konferencya S. Przybyszewskiego.

Miniatura w Europie do końca XVIII w. (w znakomitych barwnych reprodukcyach Owen Jones'a).

Rysunki starych mistrzów wszystkich narodów (w reprodukcyach faksimil.: *Handzeichnungen alter Meister* oraz *Kupferstichkabinet).*

Harunobu; Koriusai; Shunsho; Yosai (20 tomów: Bohaterowie, uczeni, poeci Japonii); **Korin.**

Ornamentyka ostatniej doby.

Co do **współczesnych artystów polskich** bądź mamy przyobiecane wystawy, bądź spodziewamy się uzyskać współudział: St. Dębickiego, K. Krzyżanowskiego, J. Mehoffera, T. Noskowskiego (litografia), E. Okunia, St. Ostrowskiego, J. Pankiewicza, I. Pieńkowskiego, St. Pstrokońskiego, E. Siedleckiego, J. Stanisławskiego, M. Wawrzenieckiego, W. Weissa, St. Wyspiańskiego, i innych.

Ze względu na ważność **sztuki stosowanej**, pragniemy i jej poświęcić cały szereg ekspozycyj. Mamy już zapewnioną wystawę kowalstwa i ślusarstwa artystycznego. Ufamy nadto, że osoby mające większe zbiory z innych działów tego zakresu (tkaniny, pasy, ceramika, dzbany, konwie cynowe i miedziane, oprawy książkowe i t. p.) zechcą ze swej strony poprzeć nasze usiłowania.

Ramon de Campoamor, jeden z największych i najoryginalniejszych poetów kastylskich, ten, który zamyka dobę romantyzmu hiszpańskiego, a otwiera dwa nowe kierunki: poezyi realistycznej i poezyi filozoficznej, zmarł w Madrycie. Urodził się w tymże roku co Zorilla, 1815. Z utworów jego poetyckich najważniejsze są: *Doloras,* zbiór krótkich, niesłychanie skondensowanych poemacików, tu ironicznych, ówdzie aż humorystycznych, gdzieindziej znowu elegijnych, ale zawsze pełnych głębokiej treści filozoficznej; bardziej rodzajowe, ale o dużej głębi uczuciowej, *Małe poemaciki,* które ktoś nazwał miniaturami wielkich ram życia; wreszcie dwie wspaniałe epopeje filozoficzne: *Krzysztof Kolumb* i zwłaszcza *Dramat powszechny,* obfitujący we wspaniałe, fantastyczne obrazy (że przypomnimy tylko scenę, gdy duch Honoryusza zbliża się do szczątków Karola V). **Życie** warszawskie drukowało w roku 1888 jeden poemacik z cyklu: *Doloras y Cantares,* p. t. *Metampsychozy,* w pięknym przekładzie E. Porębowicza.

Pomnik Artura Rimbaud. Komitet złożony z najwybitniejszych poetów i artystów francuskich zawiadamia nas, że rozpoczął zbierać składki na wzniesienie pomnika znakomitemu twórcy „Statku pijanego“ oraz „Illuminacyj“ w Charleville, rodzinnem jego mieście. Adres skarbnika komitetu: M. Ernest Delahaye, 45, boulevard Pasteur, Paris, XV. (France).

Biblioteka Asnyka. *Zwon* czeski, a za nim i nasze pisma zwróciły uwagę, że książki z biblioteki Asnyka błąkają się już po antykwarniach krakowskich. Zważywszy, iż był to może jedyny poeta w naszej dobie, którego w należyty sposób uznawano, i przypomniawszy sobie, jak niewiele czasu od śmierci jego upłynęło, musimy stwierdzić, że pamięć nawet o wielbionych poetach trwa dosyć krótko.

Manggha. Donoszą nam z Paryża, że książka p. Feliksa Jasieńskiego w języku francuskim p. t. *Manggha,* zawierająca wrażenia z podróży, sztuki, literatury, filozofii, czyli całą i bogatą treść wytwornego duchowego żywota, obudziła w paryskich kołach literackich i artystycznych, z któremi autor przez dłuższy czas dość blizko obcował, żywe zajęcie. Pierwsze wydanie jest już podobno wyczerpane. Paru tłumaczy niemieckich zgłosiło się do wydawcy z prośbą o prawo przekładu. Podamy w *Chimerze* niektóre ustępy z tego ciekawego dziennika à la Goncourt, a tymczasem przesyłamy przyjacielowi naszemu serdeczne powinszowanie.

Konkurs Związku Naukowo - Literackiego we Lwowie. „Związek Naukowo - Literacki we Lwowie“, dla uczczenia dwudziestopięciolecia pracy pisarskiej Henryka Sienkiewicza, ogłasza niniejszem następujący konkurs literacki.

Konkurs obejmuje charakterystyki współczesnych polskich pisarzy i artystów (charakterystykę twórczości lub pewnych stron twórczości poetów, beletrystów, krytyków sztuki i literatury, oraz artystów twórczych, nie zaś odtwarzających tylko). Prace poszczególne nie powinny przekraczać objętości trzech arkuszy (48 stron) druku, formatu „Wiedzy i Życia“ (Wydawnictwo Związku N. - L. Nakład księgarni Altenberga we Lwowie). Termin nadsyłania prac do 1 maja r. b. Prace przesyłać należy na ręce prezesa Związku N. - L. *(„Prof. Jan Pawlikowski, Lwów, ul. 3-go Maja l. 5.“).* Mają one być zaopatrzone godłem, a w dołączonej zamkniętej ko-

percie zawierać nazwisko i adres autora, tudzież jego oświadczenie tej treści: „Oświadczam, że praca pod godłem.... dotąd drukiem ogłoszoną nie była, i że pod warunkami, konkursem oznaczonymi, oddaję ją na wyłączną własność Związku naukowo-liiterackiego we Lwowie“.

Nagród ustanawia się pięć: jedna na 200 koron, jedna na 100 koron, trzy po 50 koron. Zarówno prace nagrodzone, jak i te, które sąd konkursowy obok nich jako najlepsze odszczególni, przechodzą na własność Związku. Nawzajem Związek zobowiązuje się ogłosić je drukiem, bądź w wydawnictwie swem „Wiedza i Życie“, bądź w osobnem wydaniu, najdalej w przeciągu pół roku od chwili rozstrzygnięcia konkursu, płacąc po 60 koron honoraryum od arkusza (16 stron) druku formatu „Wiedzy i Życia“. Nagrody będą wypłacane zaraz po rozstrzygnięciu konkursu, honorarya po wydrukowaniu.

Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem komunikuje nam, że Zarząd Cesarskich fabryk porcelany i szkła ogłosił konkurs na rysunki artystyczne, podług których mogłyby być wykonywane przedmioty z tych materyałów. Warunki konkursu są do przejrzenia w Kancelaryi Towarzystwa.

Wydanie wytworne Chimery. Wiele osób zgłosiło się do nas, bądź osobiście bądź listownie, z prośbą o ułatwienie im nabycia wytwornego wydania *Chimery* przez rozłożenie ceny prenumeracyjnej na raty. Czyniąc zadość temu żądaniu, przyjmować będziemy prenumeratę półroczną w kwocie 15 rb. (z przesyłką pocztową 17 rb. 50 kop.) i kwartalnie w kwocie 7 rb 50 kop. (z przesyłką pocztową 8 rb. 75 kop.).

Ocenę ostatnich powieści, poprzedzoną uwagami ogólnemi o zadaniach oraz o stanie dzisiejszym tego rodzaju poetyckiego, musimy z powodu nawału materyałów odłożyć do następnego numeru, gdzie zastanowimy się również nad teatrem i twórczością dramatyczną.

Litografia pięciobarwna Jana Stanisławskiego będzie może dla czytelników naszych pewną nowością. O ile produkt czysto mechaniczny zwany chromolitografią był u nas aż zanadto może

rozpowszechniony, o tyle oryginalna litografia w kolorach w ostatnich dopiero czasach zwróciła uwagę paru artystów polskich. Nie jest ona jak chromolitografia reprodukcyą tylko faksimilową jakiegoś oryginału barwnego, lecz koncepcyą odrębną, w której pomysł artysty wiąże się z góry z daną techniką, jako najodpowiedniejszą do jego urzeczywistnienia. Artysta sam rysuje na kamieniu, sam rozkłada i kombinuje kolory i kolej ich nakładania, a rola litografa sprowadza się jedynie prawie do starannego odbijania gotowych płyt.

Do egzemplarzy wytwornych dodajemy litografię J. Stanisławskiego w dwóch odbiciach, na matowym szarym, i na białym gładkim, mięsistym papierze. Zestawienie to zainteresuje niewątpliwie znawców i amatorów, pozwalając dopiero ocenić należycie ten niesłychanie intensywny poemat świateł i wszystkie jego subtelności.

W jednym z przyszłych N-ów damy krótki rzut oka na — niedawny i zagranicą — rozwój litografii *barwnej*.

Trzeci zeszyt „Chimery" wyjdzie z końcem kwietnia; czwarty i piąty ukażą się z końcem maja.



OGŁOSZENIA W „CHIMERZE".

„CHIMERA" przyjmuje w dziale ogłoszeń *jedynie* anonse takich firm i zakładów, które w bliższym lub dalszym stoją związku z produkcyą artystyczną i literacką (fabryki i składy papierów, farb, przyborów malarskich, narzędzi muzycznych, zakłady fotograficzne, litograficzne i w ogóle reprodukcyjne, składy obrazów, firmy wydawnicze książek, nut i plastycznych dzieł sztuki, drukarnie, gisernie, księgarnie, antykwarnie, przemysł artystyczny, stałe i peryodyczne wystawy sztuki, sale koncertowe i odczytowe, sezony koncertowe i teatralne, akademie i szkoły sztuk plastycznych, konserwatorya i prywatne szkoły muzyczne i dramatyczne, lekcye prywatne z zakresu literatury i sztuki, pracownie do wynajęcia, adresy i ogłoszenia od artystów pochodzące itd. itd.).

Cena ogłoszeń:

Na stronnicach poprzedzających tekst literacki, za wiersz petitowy lub jego miejsce . . . . **40** kop.
Na stronnicach po tekscie literackim za wiersz petitowy lub jego miejsce . . . . **30** kop.

„**CHIMERA**" Gustawa Moreau. Niewielka ilość pozostałych egzemplarzy heliograwiury Paulussena z przepysznej tej kompozycyi jest do nabycia *w administracyi „CHIMERY" i we wszystkich księgarniach*, po cenach następujących:

Format papieru $16 \times 24\frac{1}{2}$ cent	Cena rb.	1	kop.	—
Tenże format na grubym papierze	„ „	1	„	50
Format 24×34 na grubym papierze w trzech odbiciach.	„ „	2	„	—
Format tenże, odbicie na chinie	„ „	3	„	—
Format tenże na papierze japońskim (tylko sześć egzemplarzy)	„ „	5	„	—

Przekłady **Miriama:**

Leconte de Lisle -- *Erynnie* (tragedya wierszem). Cena kop. 50.
J. Vrchlicki. — *Uszy Midasa* (komedya) . . . . . Cena kop. 50.

Niewielka ilość pozostałych egzemplarzy do nabycia w administracyi *„CHIMERY"*.

„WISŁA"

Miesięcznik geograficzno-etnograficzny z ilustracyami.

W Warszawie — rocznie rb. 6, półrocznie rb. 3.

Z przesyłką pocztową — rocznie rb. 7, półrocznie rb. 3 k. 50.

Premium na rok 1901: obficie illustrowany tom *„Światowita"* za rok 1901.

Redakcya: Złota № 61; administracya w Księgarni Wendego, Krak Przedm. 9. Redaktor i Wydawca. *E. Majewski*.

Stanisław Przybyszewski:

Na tym padole płaczu. (Z rysunkami W. Wyspiańskiego) . . . . Rb. 1 k. —
Dla Szczęścia, dramat . . . . „ 0 „ 75
Homo sapiens I. Na rozstaju . . . . . . „ 1 „ 50

Pod prasą:

Homo sapiens. III. W Malstromie.
Taniec miłości i śmierci: „Po złote runo”—„Goście”.

Wydawnictwa Księgarni Polskiej we Lwowie.

ARGUS de la PRESSE

FONDÉ EN 1879

*Pour être sûr de ne pas laisser échapper un journal qui l'aurait nommé, il était abonné à l'***Argus de la Presse** *„qui lit, découpe et traduit tous les journaux du monde, et en fournit les extraits sur n'importe quel sujet.”*

Hector Malot *(ZYTE, p. 70 et 323).*

L'Argus de la Presse fournit aux artistes, littérateurs, savants, hommes politiques, tout ce qui parait sur leur compte dans les journaux et revues du monde entier.

L'Argus de la Presse est le collaborateur indiqué de tous ceux qui preparent un ouvrage, etudient une question, s'occupent de statistique, etc., etc

*S'adresser aux bureaux de l'*Argus, **14, rue Drouot, Paris.**—*Téléphone.*

L'Argus lit 5,000 journaux par jour.

CHIMERA

revue mensuelle de littérature et d'art.
7, rue des Princes, Varsovie.

Sommaire du N-ro de février 1901:

TEXTE: Cyprien Norwid — *Epitre à Valentin Pomian Z.;* Stanislas Przybyszewski — *les Fils de la terre (suite);* Ed. Porębowicz — *Traductions de la poésie populaire Scandinave (fin);* de Villiers de l'Isle Adam — *Axel* (suite); J. R. Krobicki — *Trois strophes;* B. Leśmian — *Jardin enchanté;* E. Leszczyński — *Prière a l'âme, Elle viendra;* W. Perzyński — *l'Angélus, l'Aube;* Johannes Schlaf — *le Chant;* A. Giraud — *Rondels bergamasques:* Z. Przesmycki — *La lutte contre l'art;* J. Lemański — *le Boeuf et la Grue.—Revue du mois: Glosses, Poésie, Art plastique, Bibliographie, Divers.*

GRAVURE HORS TEXTE: l'Eglise de Saint Marc, litographie en cinq couleurs de Jean Stanislawski.

DESSINS DANS LE TEXTE — de Dębicki, Klimt, Krzysztalowicz, Mehoffer, Siedlecki.

COUVERTURE de J. Mehoffer.

CHIMERA

WARSZAWA — ULICA KSIĄŻĘCA 7
Skrzynka pocztowa Nr 523.

Wychodzi w drugiej połowie każdego miesiąca w objętości
10 — 12 arkuszy druku

Redaktor ZENON PRZESMYCKI (MIRIAM)
przyjmuje od 1-ej do 3-ej pp.
Administracya otwarta codziennie od 11-ej do 3-ej pp.

Rodzaje wydawnictwa i warunki przedpłaty.

WYDANIE ZWYKŁE

	w Warszawie	z przesyłką pocztową	za granicą
Rocznie	**9** rs.	**12** rs.	**35** fr. **27** mar. **33** kor.
Półrocznie	**5** rs.	**6** rs. **50** k.	**20** fr. **15** mar. **18** kor.
Kwartalnie	**3** rs.	**3** rs. **50** k.	**11** fr. **8** mar. **10** kor.

WYDANIE WYTWORNE

na robionym dla CHIMERY grubym papierze żeberkowym.

	rocznie	półr.	kwart.
w Warszawie:	**30** rb.	**15** rb.	**7** rb. **50** k.
z przes. pocztową:	„ **35** „	„ **17 50**	„ **8** „ **75** „

za granicą rocznie **95** fr., **75** mar., **90** kor.

Cena zeszytu 2-go:

z litografią pięciobarwną Jana Stanisławskiego	rs. 2.
bez litografii — —	rs. 1 kop. 50

Przedpłatę przyjmuje administracya (która odpowiada wtedy za regularne dostarczanie pisma), oraz wszystkie znaczniejsze księgarnie w kraju i za granicą. NUMERÓW OKAZOWYCH SIĘ NIE WYSYŁA. PROSPEKT NA ŻĄDANIE.

Wszystkie wydawnictwa nadesłane do Redakcyi (książki czasopisma, nuty, reprodukcye dzieł sztuki, przedmioty sztuki stosowanej i t. d.) będą, w miarę znaczenia, bądź wzmiankowane, bądź omawiane w dziale sprawozdań.

—

IL SERA RENDU COMPTE DE TOUTES LES PUBLICATIONS (LIVRES, REVUES, MUSIQUE, GRAVURES, OBJETS D'ART etc.) ADRESSÉES A LA REVUE.

RĘKOPISÓW SIĘ NIE ODSYŁA. Autorowie, nie zawiadomieni w przeciągu dwóch miesięcy o przyjęciu ich utworów, mogą odebrać takowe przed upływem pól roku, osobiście w Redakcyi, lub droga pocztową po nadesłaniu kosztów przesyłki.
ODPOWIEDZI NA LISTY jedynie za nadesłaniem marki pocztowej.

Redaktor i wydawca ZENON PRZESMYCKI.

Дозволено Цензурою. Варшава, 20 Марта 1901 года.

WARSZAWSKIE AKC. T-STWO ARTYSTYCZNO WYDAWNICZE.